OBRAZ SŁOWA POLSKIEGO

i

JEGO ODMIAN.

LIST DO REDAKTORA PRZEGLĄDU.

Szanowny przyjacielu!

Już od lat kilku przyrzekłem był dać Ci, do twego pisma, wiadomość o odkryciu zrobionném przezemnie na obszernych niwach naszego językowego pola; ale z przyrzeczenia uiścić się nie zdołałem. Widząc jednak jak codzień Gramatyka nasza kulawo stąpa, a ja siedzę z lekarstwem w ręku, i milczę, i muszę patrzeć, co gorsza, na to jéj niezgrabne stąpanie; doprawdy wstyd mię zjął, żem z lekarstwem nie pospieszył, i żal, że chora kilka lat dłużéj niepotrzebnie cierpiała. Dziś przeto moją winę zdążam tém skwapliwiéj naprawić.

Wiesz, że to odkrycie tyczy się najgłówniejszéj części naszego języka, samego jego jądra, to jest *słowa*. *Słowo* nasze dotychczas rządziło się mnóstwem praw dorywczych, to jest, nie znało żadnego prawa. Jeśli bowiem dla istoty jakiéj o wielu zjawiskach, piszemy tyle praw, ile w niéj jest zjawisk, nieza przeczenie tém samém świadczymy, że prawa téj istoty nie znamy Tak było, i jest dotychczas, w języku i Gramatyce naszéj, ze słowem. Odkrycie które przynoszę, ma za przedmiot jedno stałe prawo, czyli raczéj zakon, rządzący naszém słowem i wszystkiemi jego odmianami.

Chceszli wiedzieć jak się ono stało?

Stało się, jak wszelkie odkrycia rzeczy przez długi czas niepostrzeżonych, a tak prostych, iż potém zdaje się że o nich ludzie zawsze wiedzieli. Bóg nawiedzi myśl człowieka, kiedy raz zechce aby o jakiéj rzeczy wiedziano, postawi przed jéj oczyma obraz cały téj rzeczy; i myśl w jednéj chwili, z własném zadziwieniem, widzi to, czego inni przed nią nie widzieli, czego ona sama przed tą chwilą nie widziała nigdy Tak się dzieją odkrycia. Potém przychodzą rachunki, dowody, sprawdzenie. Ale to wszystko poprzedziło odkrycie, jedną chwilą światłą wywołane.

Lat temu kilka kiedym czytał, w jednym wystawione obrazie, cośmy dotychczas odkryli i wiemy o budowie języka naszego, a cośmy głównie i niemal jedynie winni niepospolitemu naszemu Mrozińskiemu, zachwycony porządkiem, strojnością i ładem jaki w samych dźwiękach tego języka panuje, jaki potém całém jego przypadkowaniem rządzi, przyszedłszy do słowa, zrażony byłem w najprzykrzejszy sposób. Piękność wtedy innych części języka dla tego tylko zdała się być tak wydatną, aby tém wydatniejszém uczynić kalectwo téj najważniejszéj; jak ów sławny tułow' watykański, bez rąk, bez nóg, bez głowy, im piękniéj w całości rysuje się przed myślą, tém przykrzéj w swych szczątkach oczy uderza Wtedy rzekłem: to być nie może! Nasz język jest jedną i żyjącą całością: jeśli w czém jest doskonały, musi być równie doskonały we wszystkiém.

Przekonanie że się na prawie, czyli raczéj na zakonie jakim nasze słowo jest rządzone, dotychczas nie poznano, przejęło głąb myśli mojéj. Zawsze miałem za pewnik niewzruszony, że język nie jest utworem ludzkim; i dla tego wielką litość, jako słuszna, miałem zawsze dla tych, co myślili, że ludzie język wynaleźli. I doprawdy! Oto sto lat niemal, najuczeńsi ludzie z narodu naszego, których zdolnościom, dowcipowi, nauce i mozolnym usiłowaniom, najwinniejszy hołd tu składam, pracują nad napisaniem Gramatyki, i jeszcze jéj napisać nie potrafili! Jakże

tedy ten język mógł być wynaleziony przez ludzi, co nietylko czytać i pisać, ale nawet mówić nie umieli; wynaleziony ze wszystkiemi swemi tak rozlicznemi a tak sztucznemi odmianami, których właśnie ludzie najuczeńsi, przez sto lat rozmyślając i pisząc, prawideł dojść i odgadnąć nie zdołali! O głupoto ludzka! wiecznym twojim[1]) pomnikiem to będzie, iż byli kiedyś ludzie, a może nawet i są jeszcze, co myślili że język ludzie wynaleźli!

Język jest tak samo stworzony i objawiony przez Boga, jak ten świat. I jak na tym świecie prawa i zakony istotami rządzące nie stwarzają się przez ludzi, ale się tylko odkrywają, tak i w języku prawidła, jego częściami rządzące, odkrywają się, a nie stwarzają. Kto wie? Może Pan Bóg umyślnie utworzenie Gramatyki naszéj tak utrudnił i spóźnił, aby nas o téj prawdzie przekonać, i dać dowód, dosyć nam dzisiaj, niestety! potrzebny, że przodkowie nasi i praszczury doprawdy tego języka nie utworzyli, którego my, uczeni ich wnukowie, lichéj Gramatyki tak długo napisać nie umieliśmy.

W tém tedy przekonaniu że zakonu, słowém polskiém rządzącego, dotąd nie odgadnięto, postawiłem przed sobą słowo polskie, i wziąłem przed oczy wszystkie jego zjawiska, aby przyjść, jeśli się uda, do odkrycia zakonu, co niemi rządzi. Ze zjawisk bowiem, przychodzi się do poznania zakonu w świecie przyrodzonym, ze zjawisk również i w świecie umysłowym; ten nasz sposób, ta nasza droga, tu na ziemi — I patrz! Snać że

[1]) Proszę łaskawego czytelnika o zezwolenie na tę pisownię. Że trzeba pisać: mojim, twojim, swojim, każdy to przyzna kto lepiéj nad rzeczą się zastanowi. Wstręt do téj pisowni pochodzi z błędnego mniemania, że po *jota* nie można pisać samogloski *i*. Tymczasem zważmy że Łacinnicy mówiąc w pierwszym przypadku Pompejus, Gajus, Vellejus, mówią i piszą w drugim: Pompeji, Gaji, Velleji i t. d. Ta sama przyczyna powinna zmusić i nas, mówiących w pierwszym przypadku: nadzieja, knieja, zawieja, abyśmy nietylko mówili (bo to czynimy), ale i pisali w drugim: nadzieji, knieji, zawieji. To samo tyczy się zaimków: mój, twój, swój w odpowiednych przypadkach. Ale najbardziéj potrzeba tego czuć się daje w słowach niektórych zakończonych na *ję* w pierwszéj osobie, a w drugiéj na *isz*, np. goję, gojisz, poję, pojisz, maję, majisz, raję, rajisz i t. d., z których wyrzuciwszy *jotę*, psuje się cała ich foremność, jak się to niżéj pokaże. Ta głównie przyczyna zmusiła nas do téj małéj odmiany naszéj pisowni, już zresztą przez innych (Lelewela) przyjętéj.

przekonanie z którém do rzeczy przystąpiłem, było najlepszém do osiągnienia skutku przygotowaniem; nie wstałem z miejsca, a cały zakon słowem polskiém rządzący stał mi najjaśniéj przed oczyma.

Tego wypadku tu ci udzielam, szanowny przyjacielu! Nim atoli do jego wyłożenia będę mógł przystąpić, będę musiał w kilku słowach powiedzieć, jakie głównie zjawiska naprowadziły mię na drogę: aby czytelnikowi tę samą drogę przyjścia do tegoż wypadku ułatwić. Jakkolwiek bowiem wypadek jest niezaprzeczony, i zakon tu przezemnie podany, jest niezawodnie zakonem który naszém słowem rządzi; jednakże tak on jest przeciwny wyobrażeniom w téj mierze przyjętym, i od dzieciństwa powtarzanym, że potrzeba pewnego przygotowania, sprostowania niektórych przesądów, przypomnienia niektórych pewników, zanim do pojęcia téj rzeczy przystęp się otworzy. To téż na wstępie starałem się uczynić.

Puszczając to odkrycie na użytek publiczny, idzie mi nietylko o oddanie przysługi językowi, idzie mi i o to, aby prawda ogólna, to światło wszystkich ludzi, co na tém zyskała w umysłach ludzkich. Zyska zaś, jeśli ta prawda szczególna, któréj wyżéj dotknąłem: że ludzie języka nie wynaleźli, przez to odkrycie, jako przez mocny i niezbity dowód, popartą zostanie. Bardzo mi o to idzie, aby rzecz ta ten pożytek przyniosła Będzie to dla mnie najmilszą nagrodą; nie za odkrycie, bo w tém żadnéj zasługi nie mam, i com darmo otrzymał, to téż bez przywłaszczenia udzielam: ale nagrodą za tę maluczką pracę jakąm w wyłożeniu téj rzeczy podjął.

Tyle chciałem w tym wstępie powiedzieć do Ciebie szanowny przyjacielu, a za pośrednictwem twojém do każdego czytelnika. Teraz przystępuję do rzeczy saméj; żegnam Cię i Bogu polecam.

Paryż, 23. Czerwca 1851.

X. Piotr Semenenko.

I.

Dla przygotowania umysłu czytelnika, stawię na samém czele przesądy obok pewników, jakich unikać, a jakich trzymać się w naszym sądzie o słowie, powinniśmy.

Przesąd 1. Źródłem słowa ma być tryb bezokoliczny.

Przesąd najfałszywszy; a tak powszechny, że wszystkie słowniki nasze, zacząwszy od Lindego, kładą słowa nie w czasie teraźniejszym, ale w trybie bezokolicznym. Pojmuję Francuza który tak robi, pojmuję Niemca. Nie mogą oni od czasu teraźniejszego oderwać zaimka *je*, albo ich, zamiast *j'aime*, ich liebe, nie mogą oni mówić: *aime*, liebe, bo byłyby to tryby rozkazujące. Z drugiéj strony mają jeden tylko tryb bezokoliczny prosty, więc wolą, a nawet muszą słowa swoje znaczyć przez tryby bezokoliczne. Ale co w tych niedokładnych językach jest koniecznością, dla czegoż u nas ma być prawidłem?

Weźmy języki dokładne: weźmy łaciński i grecki. Tam każde słowo nie jeden, ale kilka ma trybów bezokolicznych; i tak łacińskie *amo*, ma *amare* i *amavisse*, greckie *λύω*, ma *λύειν*, *λύσειν*, *λῦσαι*, *λελυκέναι*. Któremuż kiedy Łacinnikowi, albo Grekowi, przyszło do głowy znaczyć swoje słowo, nie przez czas teraźniejszy, ale przez tryb bezokoliczny, i tyle słów robić z jednego i tego samego słowa, ile to słowo ma trybów bezokolicznych? Któżby się nie śmiał za czasów Kwintyliana, a nawet Warrona, z Gramatyka któryby poważnie dowodził, że słowo *amavisse* jest słowem osobném, dokonaném, a słowo *amare* inném słowem, niedokonaném, że to są dwa słowa odrębne od siebie, jak to u nas ciągle się powtarza, naprzykład: czytać i przeczytać, siąść i usiąść, zdejmować i zdjąć, rozbijać i rozbić?

Ponieważ tedy może być więcej niż jeden tryb bezokoliczny, w jedném i témże samém słowie, przetoż nigdy tryb bezokoliczny nie może oznaczać osobnego słowa; czyli, że tryb bezokoliczny nie może być znamieniem słowa: bo w takim razie byłoby więcéj znamion, aniżeli rzeczy znamionowanych. Kiedy mam przed sobą tłum ludzi, chcąc wiedzieć ile ich jest, trzeba mi policzyć ich głowy, wtedy nie pomylę się, bo każdy człowiek ma jednę tylko głowę. Ale gdybym zamiast tego powiedział sobie, że tyle jest ludzi ile rąk, i zaczął liczyć ich ręce, miałbym, jak każdy dobrze widzi, dwa razy większą liczbę niżeli jest w rzeczy saméj. A jednak tak postąpiono.

Gdy tedy tryb bezokoliczny nie może oznaczać osobnego słowa, jakaż jego odmiana tym znakiem być może? Oczywista, że nim jest czas teraźniejszy. Dwóch czasów teraźniejszych jednego trybu, w jedném słowie, być nie może; wprawdzie według różnych dyalektów, jak w greckim tak i w naszym mogą byś różne zakończenia tego czasu, chociaż i to bardzo rzadko; i tak np. może być: skaczę i ska-

kam, kołaczę i kołatam i t. d.; ale to nie wprowadza żadnéj różnicy w znaczeniu słowa, ani najmniejszego nawet odcienia, jak to przeciwnie dzieje się w trybie bezokolicznym, kiedy się mówi: czytać, przeczytać, rozcinać, rozciąć i t. d., jedném słowem, tam jest zawsze jeden i ten sam wzgląd słowa, jeden i ten sam czas teraźniejszy, a tu rozmaite względy, rozmaite czasy. Czas tedy teraźniejszy tylko może być jeden znakiem słowa, a ztąd wypływa następny pewnik:

Pewnik I. **Znakiem słowa nieomylnym jest czas teraźniejszy.**

Z tego następstwo, że te słowa które mają czas teraźniejszy, są prawdziwemi, osobnemi słowami. Te zaś ułamki słów, które do czasu teraźniejszego według swojéj formy sprowadzić się nie dają, nie są osobnemi słowami, ale są odmianami innych słów, mających swój czas teraźniejszy.

I tak, schodząc do przykładów: *robić* jest osobném słowem, bo ma czas teraźniejszy *robię*. Ale *zrobić*, nie jest osobném słowem, bo chcąc według téj formy utworzyć czas teraźniejszy, będziemy mieli *zrobię*, co jest czasem przyszłym, a nie teraźniejszym, i jak zobaczymy późniéj, czasem przyszłym tego samego słowa *robię*. Co innego jest z trybami bezokolicznemi: *przerabiać, rozrabiać, wyrabiać*, bo w nich wszystkich znajduję dokładne czasy teraźniejsze: *przerabiam, rozrabiam, wyrabiam*, są to więc osobne słowa; ale znowu inaczéj rzecz ma się z *przerobić, rozrobić, wyrobić*, bo podobne do nich *przerobię, rozrobię, wyrobię*, są czasami przyszłemi, więc to nie są osobne słowa, tylko osobne tryby, lub czasy, osobne odmiany innych słów, a w tym przypadku, tamtych pierwszych słów: *przerabiam, rozrabiam, wyrabiam.*

Przesąd II. **Przedstawki mają koniecznie słowa przerabiać na inne słowa.**

Przedstawkami nazywamy te malutkie cząstki mowy które dodajemy na początku słowa, jak np. rzucam, *prze*rzucam, puszczam, *wy*puszczam i t. d. Mamy takich w polskim języku szesnaście albo siedmnaście. Większa ich część rzeczywiście przemienia słowo na inne słowo; ale żeby wszystkie takie przedstawki słowa przemieniały, w tém jest błąd wielki i źródło dalszych błędów. Trzeba tu na to zważać, że inne języki mają także przedstawki, i że te są podwójnego rodzaju: jedne które zmieniają słowo na inne słowo, a drugie które służą tylko do tworzenia rozmaitych czasów i rozmaitych trybów jednego i tego samego słowa. Nie każdy przeto przedstawek zmienia słowo na inne słowo.

I tak w języku niemieckim przedstawek ge służy do tworzenia imiesłowów, np. geben, gegeben, schlafen, geschlafen. W greckim każdy niemal czas ma swój własny przedstawek, np. *φιλέω, ἐφίλεον, ἐφίλησα, πεφίληκα, ἐπεφιλήκειν* i t. d. Nawet w łacińskim jest mnóstwo wyrazów z takiemiż przedstawkami: do, dedi, cano, cecini, curro, cucurri i t. d., co dowodzi, że odmiany, w obrębie jednego słowa, robią się nietylko przez zakończenia, albo słowa

posiłkowe, ale i przez przedstawki. A cóż dopiero w językach wschodnich, w których wszystkie niemal zmiany dzieją się za pomocą przedstawków? Czemużby tedy tylko w polskim języku nie było przedstawków, mających własność nie zmieniania słowa z jednego na drugie, ale tylko tworzenia rozmaitych jego odmian? Myśl przeto że mogą być w polskim języku podobne przedstawki, daje się łatwo usprawiedliwić; jak zaś dowieść że się znajdują rzeczywiście, to nie ulega wielkiéj trudności.

Zapatrując się na przedstawki innych języków, spostrzegamy tę różnicę między przedstawkami zmieniającemi słowa na inne słowa, a przedstawkami niezmieniającemi, że pierwsze kładą się w czasie teraźniejszym, a drugie w tym czasie kłaść się nie mogą. Ztąd wypływa:

Pewnik II. **Te przedstawki zmieniają słowo na inne słowo, które mogą stać w czasie teraźniejszym**; inne służą tylko do przemian czasów i trybów jednego i tego samego słowa.

Chcąc np. wiedzieć czy przedstawek *ce* w słowie łacińskiém *cecini* należy do rzędu pierwszych, alboli też drugich, uważam czy stoji w czasie teraźniejszym. Nie stoji, bo nie można mówić *cecino*, więc to nie jest przedstawek tworzący inne słowo. To samo w greckiém *γέγραφα*, ponieważ nie można mówić *γεγράφω*, więc nie jest przedstawek słowo inne tworzący. Przeciwnie, ponieważ można mówić w czasie teraźniejszym *concino*, można mówić *ἐπιγράφω*, więc przedstawki *con* i *ἐπι* są przedstawkami inne słowa tworzącemi. I przyczyna tego leży głębiéj w naturze rzeczy. Albowiem każde słowo wyraża czynność. W każdéj czynności są dwa względy; wzgląd zewnętrzny, na natężenie, na trwanie i sposób przypadkowy czynności, i drugi wewnętrzny wzgląd, to jest na istotę i na sposób istotny téjże czynności. Pierwszy wzgląd, ponieważ tylko zważa na trwanie i na sposób przypadkowy czynności, t. j. czy oznajmujący, czy rozkazujący, czy bezokoliczny i t. d., a to trwanie, i ten sposób, znaczenia słowa nie zmieniają, więc wszystkie zmiany jakie przez ten wzgląd do słowa wprowadzone będą, znaczenia jego nie zmienią, a zatém ani słowa nie zmienią, i nie przerobią na inne. Będą to tylko odmiany czasów i trybów. Jak np. *robić*, *robiłem*, *zrobiłem*, *robiłbym*, *zrobiłbym*. Ale drugi wzgląd, ponieważ zważa na istotę słowa i na sposób istoty saméj dotykający, więc tam tylko ma miejsce, gdzie istota słowa różna jest jedna od drugiéj, albo przynajmniéj sposób istotny słowa. I tak, kiedy mówię: *spiewam* i *wołam*, rozróżniam dwie czynnoście, co do istoty swojéj różne od siebie; i znowu kiedy mówię: *wołam* i *przywołuję*, albo *wywołuję*, rozróżniam dwie czynnoście różne od siebie co do swego sposobu istotnego. Lecz ztąd wypływa że ten wzgląd zmieniając istotę słowa, zmienia samo znaczenie słowa, a zmieniając jego znaczenie, zmienia i słowo same, i przerabia je na inne. Otoż z tych dwóch względów, pierwszy nie może się wyrazić w czasie teraźniejszym każdego trybu,

inaczéj jak tylko jednym sposobem, dla téj prostéj przyczyny że ten wzgląd jest względem na czas, jest względem na trwanie; a trwanie w czasie teraźniejszym jednego trybu nie jest podwójne, ani potrójne, ale tylko jedno. Przeciwnie wzgląd na istotę słowa, lub na jego sposób istotny, może się wyrazić w czasie teraźniejszym tylą sposobami, ile jest względów w myśli; bo ten wzgląd nie ma trwania czynności na uwadze, ale istotę lub sposób czynności; a ta istota i sposób jest tyloraki w czasie teraźniejszym, co i w przeszłych i przyszłych. Ztąd to ogólne następstwo: że przedstawki te tylko stać mogą przy słowie w czasie teraźniejszym, które wyrażają ten drugi wzgląd wewnętrzny, i tém samém zamieniają znaczenie słowa, i robią osobne słowo; a przeciwnie te przedstawki które wyrażają wzgląd ów pierwszy, zewnętrzny, te wszystkie w czasie teraźniejszym przy słowie stać nie mogą, bo nie zmieniają znaczenia słowa, i nie robią słowa osobnego. Tym sposobem usprawiedliwiony jest, przez samą naturę rzeczy, nasz drugi pewnik, twierdzący: że przedstawki które stać nie mogą przy słowie w czasie teraźniejszym, nie tworzą innych słów; ale użyte są do odmian czasów i trybów jednego i tego samego słowa.

Teraz, zstępując do przykładów, jasno widzimy, że przedstawki *o*, *przy*, *roz*, *wy* i t. d., w słowach np. *otaczam*, *przytaczam*, *roztaczam*, *wytaczam* i t. d. tworzą tyleż słów osobnych i różnych od słowa *toczę*, od którego pochodzą; a to dla tego, że przedstawki te stoją przy tych słowach w czasie teraźniejszym. Przeciwnie przedstawki *po* i *na*, w trybach bezokolicznych: *potoczyć*, *natoczyć*, albo w czasach przeszłych: *potoczył*, *natoczył*, lub w czasach przyszłych: *potoczę*, *natoczę*, nie tworzą innych słów, dla téj przyczyny, że te przedstawki: *po* i *na*, nie mogą stać przy tém słowie w czasie teraźniejszym, albowiem nie możemy mówić *potaczam*, *nataczam*. Ztąd proste następstwo, że te wszystkie odmiany, czynione za pomocą przedstawków *po* i *na*, to jest: *potoczyć*, *potoczył*, *potoczę*, *natoczyć*, *natoczył*, *natoczę*, nie są odmianami jakichś dwóch słów osobnych, niemających czasu teraźniejszego (jakichś bezgłówków), ale są po prostu odmianami słowa *toczę*.

II.

Przesławszy naprzód te kilka uwag względem przesądów jakich unikać, i pewników jakich mamy się trzymać, przystąpimy teraz do wyłożenia prawidła, podług którego odmienia się słowo w naszym języku. Ponieważ wszystkie słowa nasze mogą się podzielić na dwa wielkie działy, jedne które czas przeszły dokonany tworzą także przez przedstawek, jak np. *kocham*, *kochałem*, *u k o c h a ł e m*, *czynię*, *czyniłem*, *u c z y n i ł e m*; drugie zaś, które czas przeszły dokonany tworzą przez wewnętrzne skrócenie samogłoski, albo jéj ściągnienie (contractio), jak np. *strzelam*, *strzelałem*, *s t r z e l i ł e m*,

dotrzymuję, dotrzymywałem, dotrzymałem i t. d.; przetoż weźmiemy dwa wzory słów, każde do innego działu należące, abyśmy tym sposobem oba sposoby odmieniania słów mieli przed oczyma. W tym wzorze naszym położymy także liczbę podwójną, bo ją mamy rzeczywiście; a choć jéj nie używamy, nie trzeba jednak, aby z pamięci wyszła. Czas teraźniejszy będzie tedy miał się następnie:

Czas teraźniejszy (Tempus praesens).

Liczba pojed.	Czynię	Strzelam
	czynisz	strzelasz
	czyni	strzela
L. podwójna.	czyniwa	strzelawa
	czynita	strzelata
Liczb. mnoga.	czynimy	strzelamy
	czynicie	strzelacie
	czynią.	strzelają.

Wybraliśmy umyślnie słowa niemające żadnego w czasie teraźniejszym przedstawku, dla łatwiejszego uważania zmian w następnych czasach. Czas przeszły niedokonany tworzy się od teraźniejszego. Prawidło tworzenia się niżéj objaśnimy i uzupełnimy, kiedy będziemy mówili o prawidłach szczególnych tworzenia się czasów; tu tylko położymy czas przeszły niedokonany, według tego ogólnego prawidła.

Będzie tedy:

Czas przeszły niedokonany (Praeteritum imperfectum).

Liczba pojed.	Czyniłem, łam, łom,	Strzelałem, łam, łom.
	czyniłeś, łaś, łoś,	strzelałeś, łaś, łoś,
	czynił, ła, ło,	strzelał, ła, ło,
L. podwójna.	czyniliśwa, łyśwa,	strzelaliśwa, łyśwa,
	czynilišta, łyśta,	strzelaliśta, łyśta,
Liczb. mnoga.	czyniliśmy, łyśmy,	strzelaliśmy, łyśmy,
	czyniliście, łyście,	strzelaliście, łyście,
	czynili, ły.	strzelali, ły.

Po czasie przeszłym niedokonanym nie idzie zaraz w naszym języku czas dokonany, albowiem mamy dwa inne czasy przeszłe, których nie wiem czy w innym jakim języku wzór się znajduje: czasy tworzące się przez dodanie przedstawków: *po* i *na*. Że się więc te czasy tworzą od przeszłego niedokonanego, i to takim prostym i jednostajnym sposobem, daleko prostszym i jednostajniejszym, aniżeli czas przeszły dokonany się tworzy, przetoż rozumiem, że we wzorze czasowania iść powinny te czasy tuż po przeszłym niedokonanym. Zresztą czasy te wyrażają czynność dokonaną, chociaż we właściwy sposób i zupełnie inny aniżeli czas dononany. I tak pierwszy z tych czasów, ten który się tworzy za pomocą przedstawka *po*, wyraża statecznie, z małemi wyjątkami, [1]) *wypływającemi z natury nie-*

[1]) Nie pisząc właściwéj Gramatyki, nie widzimy potrzeby wchodzić w wyliczanie i tłómaczenie wyjątków. To jedno czynimy wiadomém, że są bardzo nieliczne, i że bylibyśmy

których słów, taką czynność, która miała wiele przedmiotów, i na wszystkie się rozciągnęła. Nazwałbym tedy ten czas z tego względu że się na przedmioty rozciąga, czasem przedmiotowym, albo lepiéj przedsobnym (objectivum); że się zaś rozciąga na wszystkie, nazwałbym go pełnym (plenum). Będzie tedy ten czas:

Czas przeszły pełny pierwszy (Praeteritum plenum I.).

Liczba pojed.	Poczyniłem, łam, łom,	Postrzelałem, łam, łem,
	poczyniłeś, łaś, łoś,	postrzelałeś, łaś, łoś,
	poczynił, ła, ło,	postrzelał, ła, ło,
L. podwójna.	poczyniliśwa, łyśwa,	postrzelaliśwa, łyśwa,
	poczyniliśta, łyśta,	postrzelaliśta, łyśta,
Liczb. mnoga.	poczyniliśmy, łyśmy,	postrzelaliśmy, łyśmy,
	poczyniliście, łyście,	postrzelaliście, łyście,
	poczynili, ły.	postrzelali, ły.

Znaczenie tego czasu każdy łatwo pojmuje; owszem, nie tylko pojmuje, ale się nim wciąż wszyscy posługujemy, nie wiedząc nawet, jakie on w Gramatyce zajmuje miejsce. Któż np. nie powie: Co tylko kazałeś mi uczynić, wszystko *poczyniłem*. Albo: Spotkaliśmy na polowaniu dużo przepiórek, wszystkieśmy *postrzelali*. Batory gdzie jedno spotkał Moskali, wszędzie ich *pobił*. Dyoklecyan wszystkie chrześciany które schwytał, do więzień *powtrącał*, potém ich srodze *pomęczył*, kościoły ich *powywracał*, dobra *pozabierał*, i gdyby był mógł, wszystko, co jedno chrześciańskie, byłby *popalił*, *poburzył* i *poniszczył*.

Po tym pierwszym czasie pełnym przychodzi drugi czas podobny, tworzący się przez dodanie przedstawku *na* do czasu niedokonanego. Czas ten jest niemniéj stateczny i prawidlny jak tamten pierwszy. Znaczenie jego wyraża także pewną pełność, ale nie przedmiotów, tylko samejże czynności, i dla tego jak tamten byłbym nazwał przedsobnym, tak ten nazwałbym wsobnym (subjectivum). [1]) Żeby jednak dobrze sobie wyobrazić jaka jest wsobność tego czasu, trzeba mieć na uwadze, że on nie jest wsobnym (subjectivum) ze względu na osobę działającą, ale jest nim ze względu na czynność samą. Wyraża przeto pewną pełność, pewną obfitość czynności, pewną jéj mnogość, doszłą do jakiegoś kresu, do jakiéjś sytości, tak że już myśl spocząć może w téj czynności, jako w czém pełném i dostatecznem, chociaż jeszcze ani przedmiot, ani siła działającego niekoniecznie są wyczerpane. Taki tedy jest stan pod jakim myśl uważa słowo i jego czynność w tym czasie, stan wsobny, wsobnością w samejże czynności spoczywającą. Przykłady teraz ostatecznie rzecz

tu o nich nawet nie wspominali, gdyby ostrożność nie kazała nam przewidywać, że podczas czytania może komu przyjść wyjątek na myśl, i że wtedy nie będąc uprzedzonym że są pewne wyjątki, wziąłby samo prawidło za nieprawdziwe.

[1]) *Przedsobny* i *wsobny* lepiéj mi się w naszym języku zdają oddawać *objectivum* i *subjectivum*, aniżeli użyty przez niektórych: *przedmiotowy* i *podmiotowy*; bo ten ostatni przymiotnik, i styczne z nim rzeczowniki i przysłówki, wcale nie są smaczne.

objaśnią. Kiedy powiem: *Ile to on już złego uczynił!* czynność jest pełna; ale oczywiście że mogę dodać: *lękam się aby jeszcze nie uczynił więcéj!* Albo: Pełnąm torbę kaczek *nastrzelał*, gdybym był miał drugą byłbym wszystkie *postrzelał*, *pozbierał*, i do torby powkładawszy do domu przyniósł. Albo: *Nabiegaliśmy* się dosyć, *nacieszyliśmy* się polem i łąkami, *narwaliśmy* pełno kwiatów, teraz usiądziem i będziemy jedli i pili, a jak się *nasiedzimy*, i *najemy*, i *napijemy*, zaczniemy znowu biegać. Myślę że te przykłady najdostateczniéj rzecz objaśnią. Przystępuję zatém do położenia samego czasu o którym mowa.

Czas przeszły pełny wtóry (Praeteritum plenum II.).

Liczba pojed.	Naczyniłem, łam, łom,	Nastrzelałem, łam, łom,
	naczyniłeś, łaś, łoś,	nastrzelałeś, łaś, łoś,
	naczynił, ła, ło,	nastrzelał, ła, ło,
L. podwójna.	naczyniliśwa, łyśwa,	nastrzelaliśwa, łyśwa,
	naczynilišta, łyśta,	nastrzelališta, łyśta,
Liczb. mnoga.	naczyniliśmy, łyśmy,	nastrzelaliśmy, łyśmy,
	naczyniliście, łyście,	nastrzelaliście, łyście,
	naczynili, naczyniły,	nastrzelali, lały.

Teraz, po położeniu i objaśnieniu tych dwóch czasów, każdy widzi że czynność słowa nie jest bynajmniéj w tych czasach zmieniona, że to jest ta sama czynność co i w czasie teraźniejszym, tylko jest inny wzgląd na sposób zewnętrzny i na natężenie słowa. Jest więc inny czas, inna odmiana słowa, ale słowo zostaje to samo. Czy ja mówię *poczyniłem* i *postrzelałem*, *naczyniłem* i *nastrzelałem*, czy mówię *czynię* i *strzelam*, zawsze jest mowa o czynieniu, o strzelaniu, a nie o innéj jakiéj czynności. Niechże więc raz a dobrze rzecz się ta wyjaśni, i te czasy przestaną już błąkać się samopas po niewiedzieć jakich pustyniach, a zajmą miejsce obywatelstwa w swojim rodzinnym grodzie.

Po tych czasach pełnych, następuje czas przeszły dokonany, tworzący się za pomocą czasu niedokonanego, dwojakim, jakeśmy to wskazali, sposobem. Albo bowiem dodaje się na początku przedstawek jaki, a szczególniéj i najczęściéj *z* i *u*, bardzo często *o* i *za*, rzadziéj *prze* i *wy*, a najrzadziéj *roz* i *do* (np. kocham, ukochałem, robię, zrobiłem, sądzę, osądziłem, kwitnę, zakwitłem, czytam, przeczytałem, piję, wypiłem, draźnię, rozdraźniłem, gonię, dogoniłem); albo przez zmianę wewnętrzną, bądź to przez skrócenie samogłoski, zmienienie np. długiéj *a* na krótką *ą*, lub *i* albo *y* (dźwigałem, dźwignąłem, trącałem, trąciłem); bądź téż przez ściągnięcie dwóch zgłosek na jednę (padałem, padłem). Ten ostatni sposób, to jest przez zmianę wewnętrzną, rzadziéj jest w słowach niezłożonych, ale w słowach złożonych, to jest mających przedstawek w czasie teraźniejszym, pospolity (rozrzucałem, rozrzuciłem, oprowadzałem, oprowadziłem, przekraczałem, przekroczyłem, zapisywałem, zapisałem, wynosiłem, wyniosłem, dowodziłem, dowiodłem i t. d.).

Prawidła tworzenia się tego czasu niżéj wyłożymy, a teraz połóżmy sam czas:

Czas przeszły dokonany (Praeteritum perfectum).

Liczba pojed.	Uczyniłem, łam łom,	Strzeliłem, łam, łom,
	uczyniłeś, łaś łoś,	strzeliłeś, łaś, łoś,
	uczynił, ła, ło.	strzelił, ła, ło,
L. podwójna.	uczyniliśwa, łyśwa,	strzeliliśwa, łyśwa,
	uczyniliśta, łyśta,	strzeliliśta, łyśta,
Liczb. mnoga.	uczyniliśmy, łyśmy,	strzeliliśmy, łyśmy,
	uczyniliście, łyście,	strzeliliście, łyście,
	uczynili, ły.	strzelili, ły.

Samo się przez się rozumie, że w tworzeniu czasów dokonanych za pomocą przedstawków, słowa odpychają od siebie takie przedstawki z jakiemi mogą tworzyć inne słowa, i mieć czasy teraźniejsze. I tak: *czynię*, odpycha przedstawek *roz*, bo może z nim stać w czasie teraźniejszym, i tworzyć inne słowo: *rozczyniam*. Słowo *robię*, odpycha *u, o, za, prze, wy, roz*, to jest wszystkie przedstawki używane do czasu dokonanego, wyjąwszy jednego *z*; bo ze wszystkiemi innemi tworzy inne słowa: *urabiam, obrabiam, zarabiam, przerabiam, wyrabiam, rozrabiam.*

Te są naszego słowa czasy przeszłe proste. Jest ich jak się pokazuje cztery. Od każdego z tych czasów tworzy się czas zaprzeszły przez dodanie słowa rzeczownego *był*. Zresztą, o ile słowo rzeczowne wchodzi do tworzenia czasów powiemy niżéj, gdzie o tém tworzeniu będziemy mówili. Tutaj położymy nasze cztery czasy zaprzeszłe, które dla tego że są złożone, nie są zgoła mniéj prawdziwe, mniéj całkowite w sobie, i mniéj różne od tamtych prostych. Są one następne:

Czas zaprzeszły niedokonany (Longe praeteritum imperfectum).

Czyniłem był, łam była, łom było, albo: byłem czynił, byłam czyniła, byłom czyniło, i t. d.	Strzelałem był, łam była, łom było, albo: byłem strzelał, byłam strzelała, byłom strzelało, i t. d.

Czas zaprzeszły pełny pierwszy (Longe praeteritum plenum I.).

Poczyniłem był, łam była, łom było, albo: byłem poczynił, i t. d.	Postrzelałem był, łam była, łom było, albo: byłem postrzelał, i t. d.

Czas zaprzeszły pełny wtóry (Longe praeteritum plenum II.).

Naczyniłem był, łam była, łom było, albo: byłem naczynił, i t. d.	Nastrzelałem był, łam była, łom było, albo: byłem nastrzelał, i t. d.

Czas zaprzeszły dokonany (Longe praeteritum perfectum).

Uczyniłem był, łam była, łom było, albo: byłem uczynił, i t. d.	Strzeliłem był, łam była, łom było, albo: byłem strzelił, i t. d.

Tu się zarazem pokazuje jak niewłaściwie w innych językach nazwano czas zaprzeszły, albo raczéj dawno przeszły, czasem *plus quam perfectum*, więcéj niż dokonanym; jak gdyby mógł być czas jaki więcéj jak dokonany. I u nas nie dobrze to przetłómaczono przez czas zaprzeszły; bo to znaczy czas więcéj niż przeszły, a ta-

kiego czasu niema; tylko każdy przeszły, czy dawno czy swieżo przeszedł, jest prosto przeszłym, a nic więcéj niż przeszłym. Powiedziałem że źle nazwano czas ów więcéj niż dokonanym, a to nietylko z tego powodu że ściśle rzecz biorąc, takiego czasu niema, ale jeszcze i z tego, że często nie jest on czasem dokonanym. Odpowiada to *plus quam perfectum* innych języków często naszemu zaprzeszłemu niedokonanemu: niesłusznie przeto nazywa się dokonanym i jeszcze więcéj niż dokonanym.

Cztery tedy są czasy zaprzeszłe. Cztery także są czasy przyszłe, a nic piękniejszego i udatniejszego jak jich tworzenie się, i jich postać w naszém polskiém słowie. Są one następne:

Czas przeszły niedokonany (Futurum imperfectum).

Czynić będę (będę czynić),	Strzelać będę (będę strzelać),
albo: będę czynił, ła, ło, i t. d.	albo: będę strzelał, ła, ło, i t. d.

Czas przyszły pełny pierwszy (Futurum plenum I.).

Poczynię,	Postrzelam,
poczynisz, i t. d.	postrzelasz, i t. d.

Czas przyszły pełny wtóry (Futurum plenum II.).

Naczynię,	Nastrzelam,
naczynisz, i t. d.	nastrzelasz, i t. d.

Czas przyszły dokonany (Futurum perfectum).

Uczynię,	Strzelę,
uczynisz, i t. d.	strzelisz, i t. d.

Taki jest u nas tryb oznajmujący słowa. Idący po nim tryb rozkazujący ma cztery odmiany także, podobne do poprzednich.

Tryb rozkazujący (Modus Imperativus).

Niedokonany (Imperfectum).

L. pojed.	Czyń, czyńże,	Strzelaj, strzelajże,
	niech czyni, niechże czyni,	niech strzela, niechże strzela,
L. podw.	czyńwa, czyńważ,	strzelajwa, strzelajważ,
	czyńta, czyńtaż,	strzelajta, strzelajtaż,
L. mnog.	czyńmy, czyńmyż,	strzelajmy, strzelajmyż,
	czyńcie, czyńciez,	strzelajcie, strzelajcież,
	niech czynią, niechże czynią.	niech strzelają, niechże strzelają.

Pełny pierwszy (Plenum I.).

Poczyń, poczyńże, i t. d.	Postrzelaj, postrzelajże, i t. d.

Pełny wtóry (Plenum II.).

Naczyń, naczyńże, i t. d.	Nastrzelaj, nastrzelajże, i t. d.

Dokonany (Perfectum).

L. pojed.	Uczyń, uczyńże,	Strzel, strzelże,
	niech uczyni, niechże uczyni,	niech strzeli, niechże strzeli,
L. podw.	uczyńwa, uczyńważ,	strzelwa, strzelważ,
	uczyńta, uczyńtaż,	strzelta, strzeltaż,
L. mnog.	uczyńmy, uczyńmyż,	strzelmy, strzelmyż,
	uczyńcie, uczyńcież,	strzelcie, strzelcież,
	niech uczynią, niechże uczynią.	niech strzelą, niechże strzelą.

III.

Następuje tryb warunkowy, albo życzący, albo łączący, którybyśmy może lepiéj nazwali trybem łącznym, dla tego że on sam raczéj łączy się z innemi, zamiast coby miał inne z sobą łączyć. Tryb łączny w polskim języku niezupełnie odpowiada temu, jaki jest w łacińskim. Nie możemy powiedzieć jak oni: Dic mihi, quisnam *sis?* tylko musimy powiedzieć: Powiedz mi, kto taki jesteś? Nie możemy tém bardziéj powiedzieć kilku okresów po sobie samemi łącznikami, jak np. Cycero: *Roges* me qualem deorum naturam esse *ducam:* nihil fortasse *respondeam. Quaeras, putemne* talem esse, qualis modo a te *sit* exposita, nihil *dicam* mihi videri minus. (Cic. de nat. deor. I, 21. 57.) To wszystko musimy oddać w trybie oznajmującym: »Pytaj mię, jakiéj bogów natury być sądzę, nic może nie odpowiem. Badaj, czy takiéj być myślę, jaka teraz od ciebie jest wyłożona, powiem, że mi się nie zdaje bynajmniéj.« Czy to jest bogactwo łacińskiego, czy ubóstwo naszego języka? w to nie bardzo teraz wchodzimy, chociaż odpowiedź na to nie trudna. Nie jest to rzeczywiście ani bogactwem, ani ubóstwem; tylko jest to, że Łacinnicy posuwają daléj używanie trybu łącznego aniżeli my Polacy, i kładą go w każdym niemal przypadku gdzie zdanie nie jest główne, ale podrzędne, nie jest że tak powiem proste, ale boczne. Tego my nie czynimy, ale niemniéj dla tego ten tryb posiadamy. Wszakże gdyby nam nie chodziło o naszą polską zrozumiałość, ale o sam łaciński sposób wyrażenia się, moglibyśmy co do głoski przetłómaczyć Łacinę i powiedzieć: Pytałbyś mię, jakiéj bogów natury być sądziłbym, nic może nie odpowiedziałbym. Badałbyś, czy takiéj być myśliłbym, jaka przez ciebie teraz wyłożona, powiedziałbym, że nie zdawałoby mi się bynajmniéj. Jedném słowem: tryb łączny mamy, tylko nie wszędzie go tam stawiamy gdzie go kładą Łacinnicy. Kto lepiéj czyni? To pytanie należy nie do Gramatyki języka ale do jego Filozofii.

Głównie tedy używamy trybu łącznego w mówieniu życzącém i warunkowém, gdzie go i Łacinnicy używają. Ten tryb u nas jest bardzo prawidlny i całkowity.

Tworzy się on przez dodanie do wszystkich ośmiu czasów przeszłych trybu oznajmującego, zakończenia *bym, byś, by, byśmy, byście, by;* tak jak czas przeszły oznajmującego tworzy się od teraźniejszego przez dodanie zakończenia *łem, łeś, ł, liśmy, liście, li.* To zakończenie ostatnie można oderwać, przynajmniéj częściowo, od tego czasu, i przyłączyć do innego wyrazu, można zamiast *dobrze robiłem*, powiedzieć *dobrzem robił*, zamiast *źle spałem*, *źlem spał*. Czyż dla tego że to zakończenie oderwać można, i gdzieindziéj postawić, przestaje ono być zakończeniem właściwém czasowi przeszłemu, osobną odmianą gramatyczną, formą odrębną i prawdziwą stanowiącą i znamionującą w naszym języku czas przeszły? Oczywiście że nie, i nikt

nic podobnego nie twierdził. Dla czegoż, kiedy jest mowa o trybie łącznym, mielibyśmy utrzymywać że w naszym języku niema formy dla niego, i że ją zastępujemy przez spójnik *aby* i przez przystawek *by*, kiedy właśnie ten przystawek *by*, do słowa dodany, jest zakończeniem trybu łącznego, formą gramatyczną odrębną i prawdziwą, stanowiącą i znamionującą w naszym języku tryb łączny? To, że może być oderwany i gdzieindziéj postawiony, wcale rzeczy nie zmienia; tak, jak podobnaż okoliczność rzeczy nie zmienia w czasie przeszłym trybu oznajmującego. Jest to wygoda wielka i pomnożenie bogactw językowych, taka możność korzystania z nich na wielu miejscach, rozsyłania ich i rozmieszczania gdzie się mówiącemu podoba; ale czyż ztąd miałoby to wyniknąć, aby bogactwa, mogącego wszędzie być obecném, dla tego właśnie nigdzie nie dostrzegać?

Zresztą, że to zakończenie *bym, byś, by,* stanowi osobną i prawdziwą odmianę gramatyczną, dowodzi i to jeszcze, że od niego nie można oderwać zakończenia słowa *jestem*, nie można mówić: *żeby mówiłem*, *żeby pisałeś* i t. d., ale trzeba zawsze nienaruszoném zostawić to zakończenie *bym, byś* i t. d., tak samo jak ono *em, eś* w czasach przeszłych. Jest to niezawodnym dowodem, że to nie jest żaden spójnik lub cząstka mowy dowolnie użyta do oznaczenia trybu łącznego, ale że to jest właściwe i konieczne zakończenie gramatyczne, wchodzące do formy tego trybu.

Przyprowadźmy więc nasz tryb łączny do jego właściwéj postaci.

Tryb łączny (Modus Conjunctivus).

Czas teraźniejszy (Praesens).

L. poj.	Czyniłbym, łabym, łobym,	Strzelałbym, łabym, łobym,
	czyniłbyś, łabyś, łobyś,	strzelałbyś, łabyś, łobyś,
	czyniłby, łaby, łoby,	strzelałby, łaby, łoby,
L. pod.	czynilibyśwa, łybyśwa,	strzelalibyśwa, łybyśwa,
	czynilibyśta, łybyśta,	strzelalibyśta, łybyśta,
L. mn.	czynilibyśmy, łybyśmy,	strzelalibyśmy, łybyśmy,
	czynilibyście, łybyście,	strzelalibyście, łybyście,
	czyniliby, łyby.	strzelaliby, łyby.

Jest to rzeczywiście czas teraźniejszy, chociaż na pozór zdaje się przeszłym. Żeby się o tém przekonać, dosyć jest zważać na własność samego wyrażenia: wszakże kiedy mówię *czyniłbym*, mam na myśli *teraz*, w téj chwili, nie mam bynajmniéj myśli zwróconéj na przeszłość: bo wtedy mówię *byłbym czynił*, albo *byłbym uczynił*. I dla tego wszystkie czasy podobne łacińskie nie inaczéj tłómaczymy, jedno przez ten czas. Volo ut scias, *chcę abyś wiedział*. Oportet ut ambulas, *trzeba abyś chodził*. Niezawodnie nie jest to czas przeszły. Może słuszniéj kto powie, że to jest raczéj czas przyszły, w polskim i łacińskim. Na to odpowiemy, że zastępuje czas przyszły, że może nawet w naszym języku zastępować i czas przeszły, ale rzeczywiście sam w sobie jest teraźniejszym. Kiedy mówię: *będzie on cię naglił, abyś tam chodził*, zastępuje czas przyszły; kiedy mówię: *on ciebie*

naglił, *abyś tam chodził*, zastępuje czas przeszły; a kiedy mówię: *on cię nagli*, *abyś tam chodził*, zdaje się dopiero być w czasie teraźniejszym; ale rzeczywiście we wszystkich trzech razach jest w czasie teraźniejszym. Różnica właściwa czy przeszłego, czy przyszłego, czy teraźniejszego, wyraża się w każdym razie przez pierwsze słowo: *naglę;* a jak raz z tém słowem przeniosę się w czas jemu właściwy, druga czynność *chodzenia*, od tamtego słowa zawisła, wyraża się w czasie teraźniejszym względem tamtéj pierwszéj czynności; i tak właściwie to drugie słowo stoji w tych razach w czasie teraźniejszym, ale teraźniejszym nie prostym, tylko zależnym; i to właśnie jest co stanowi że z jednéj strony ten tryb nie jest prosty, oznajmujący, ale zależny, warunkowy, łączny; z drugiéj zaś strony, że to jest czas teraźniejszy, a nie przeszły, lub jaki inny. Gdyby to był przeszły, byłby prosty w swéj formie, byłby oznajmujący, a on właśnie nie jest prosty i oznajmujący, tylko zależny i łączny.

Taki więc jest czas teraźniejszy trybu łącznego. Przeszłych będzie cztery, o których mało co jest do powiedzenia, bo wszystkie porządnie się tworzą, i niewątpliwego są użycia.

Czas przeszły niedokonany (Imperfectum).

Czyniłbym był, łabym była, łobym było, albo: byłbym czynił, byłabym czyniła, byłobym czyniło, i t. d.	Strzelałbym był, łabym była, łobym było, albo: byłbym strzelał, byłabym strzelała, byłobym strzelało, i t. d.

Przeszły pełny pierwszy (Praeteritum plenum I.).

Poczyniłbym był, łabym była, łobym było, i t. d.	Postrzelałbym był, łabym była, łobym było, i t. d.

Przeszły pełny wtóry (Praeteritum plenum II.).

Naczyniłbym był, łabym była, łobym było, i t. d.	Strzeliłbym był, łabym była, łobym było, i t. d.

Przeszły dokonany (Praeteritum perfectum).

Uczyniłbym był, łabym była, łobym było, i t. d.	Strzeliłbym był, łabym była, łobym było, i t. d.

Następują czasy przyszłe. Dla czego są one przyszłe, a nie teraźniejsze lub przeszłe, zaraz powiemy. Jest ich zaś trzy, i są następujące:

Czas przyszły (Futurum).

Uczyniłbym, łabym, łobym.	Strzeliłbym, łabym, łobym.

Przyszły pełny pierwszy (Futurum plenum I.).

Poczyniłbym, łabym, łobym.	Postrzeliłbym, łabym, łobym.

Przyszły pełny wtóry (Futurum plenum II.).

Naczyniłbym, łabym, łobym.	Nastrzelałbym, łabym, łobym.

Są to czasy przyszłe, a nie teraźniejsze, jak jest teraźniejszym *czyniłbym*, *strzelałbym*, dla tego że wyrażają czynność dokonaną, czego nie wyraża: *czyniłbym, strzelałbym.* Owoż czynność dokonana nie może być wyrażoną w czasie teraźniejszym, tylko w przeszłym albo przyszłym. Wszystkie więc czasy dokonane trybu łącznego mogą

być tylko albo przeszłe, albo przyszłe. Lecz przeszłemi same przez się są te, które przybierają słowo *byłem, byłeś, był.* Przyszłemi więc będą te dokonane, które są proste. I to zgadza się z prawem wyżéj wyrażonem, według którego czas prosty niedokonany *czyniłbym,* w trybie warunkowym, staje się teraźniejszym.

To wszystko ma zresztą swoje potwierdzenie w rzeczy samej, i w zwyczaju, podług którego te czasy mają znaczenie przyszłe. I tak: *chcę abyś robił,* znaczy teraz, czas teraźniejszy; *chcę abyś zrobił,* znaczy kiedyś, czas przyszły; *chciałbym abyś był zrobił,* znaczy niegdyś, czas przeszły. *Gdybym miał sposób po temu* (jest czas teraźniejszy) *uczyniłbym wielkie rzeczy, wzruszyłbym umysły, pobudziłbym serca, powykorzeniałbym złe nałogi, a naszczepiłbym cnót i dobrych zwyczajów* (są to wszystko czasy przyszłe). Wprawdzie nic nie przeszkadza, aby te czasy stały i po czasach przeszłych, tak jak i teraźniejszy *czyniłbym* stać po nich może, według tego cośmy powiedzieli; ale jak ten teraźniejszy zachowuje w tych razach swoje znaczenie teraźniejsze, tak i te przyszłe zachowują swoje przyszłe; rozumie się, przyszłe względne, warunkowe, zależne od tamtego przeszłego, po którym stoją. Np. *Pragnąłem abyś ozdrowiał, Kazałem abyś to zjadł, Uczyniłem to abyś mi podziękował,* są czasy przyszłe względnie do tych przeszłych które je poprzedziły; i właśnie ten wzgląd stanowi i jich zależność, warunkowość, łączność (tryb łączny), i zarazem to że są przyszłe czasy, a nie przeszłe, bo w przeciwnym razie nie byłyby zależne, ale proste.

Z tych zasad wypływa bardzo ważne prawidło, którego dobre zrozumienie zależy od zrozumienia powyższych zasad. Prawidło to jest następne: że żadnego czasu przyszłego łącznego nie można stawić, w zdaniu naczelném (od którego inne zależą), zamiast czasu przeszłego; można to tylko w zdaniach zależnych. Można tedy mówić: *Uczyniłem to, abyś mi podziękował;* bo przeszły *uczyniłem* jest oznajmiający, więc przyszły łączny: *podziękował,* może stać po nim, jako zależny. Ale nie można mówić w znaczeniu przeszłém: *Gdybyś mi to uczynił, podziękowałbym ci za to;* tylko trzeba powiedzieć: *Gdybyś mi to był uczynił, byłbym ci podziękował za to.* Inaczéj będzie znaczenie przyszłe, i wtenczas lepiéj jest zamiast spójnika *gdy,* jako bardziéj właściwego do czasów przeszłych niż przyszłych, użyć jakiego innego: np. *Jeślibyś mi to uczynił, podziękowałbym ci za to.* Albo: *Jak skorobyś mi to uczynił, stałbyś się natychmiast mojim wielkim dobroczyńcą,* i. t. p. Oczywista że to są czasy przyszłe, że tedy zamiast przeszłych same przez się używane być nie mogą. Prawidło to jest bardzo wielkiéj wagi dla chcącego dobrze pisać po polsku, a zarazem dostateczném samo przez się stwierdzeniem całego naszego rozkładu trybu łącznego, i jego czasów.

Tryb bezokoliczny, który na końcu przychodzi, zamiast jednéj odmiany którą mu dotychczas dawano, z przyczepieniem jakiéjś drugiéj dokonanéj, ma jich cztery bardzo regularnych, i z których

każda ma równe prawo do obywatelstwa. Rozumiem, że po tém wszystkiém co się wyżéj powiedziało, nie trzeba każdéj z tych odmian osobno usprawiedliwiać, i dosyć będzie je wypisać.

Tryb bezokoliczny (Modus Infinitivus).

Niedokonany (Imperfectum).

Czynić.	Strzelać.

Pełny pierwszy. (Plenum I.)

Poczynić.	Postrzelać.

Pełny wtóry (Plenum II.).

Naczynić.	Nastrzelać.

Dokonany. (Perfectum).

Uczynić.	Strzelić.

Do tego trzeba dodać:

Tryb nieosobisty oznajmujący (Modus impersonalis Indicativus).

P. N.	Czyniono.	Strzelano.
P. P. P.	Poczyniono.	Postrzelano.
P. P. W.	Naczyniono.	Nastrzelano.
P. D.	Uczyniono.	Strzelano.

Tryb nieosobisty łączny (Modus impersonalis Conjunctivus).

P. N.	Czynionoby.	Strzelanoby.
P. P. P.	Poczynionoby.	Postrzelanoby.
P. P. W.	Naczynionoby.	Nastrzelanoby.
P. D.	Uczynionoby.	Strzelanoby.

Imiesłowy czynne (Participia activa).

Imiesłów teraźniejszy (Participium praesens).

Czyniący, ca, ce.	Strzelający, ca, ce.

Co do imiesłowu czynnego przeszłego, z wielkim żalem widzieć przychodzi żeśmy go w naszym języku nie zachowali, jak go zachował język rossyjski, a razem niech wolno będzie wyrazić *pium desiderium* aby mógł być u nas przyjętym. W téj jakiéjkolwiek nadzieji postawimy go między nawiasami.

Imiesłów przeszłego czasu (Participium praeteriti temporis).

[Czyniwszy, sza, sze,	Strzelawszy, sza, sze,]
[czyniwszego, éj, ego, i t. d.	strzelawszego, éj, ego, i t., d.]

Być może że to ze szczątków nieforemnych tego imiesłowu powstała owa zawołana w Polsce Litewszczyzna: *wybiwszy jest*, *uczyniwszy jest.* Idą daléj

Imiesłowy przyszłe (Participia futura).

N.	Czynić mający, a, e,	Strzelać mający, a, e,
P. P.	Poczynić mający, a, e.	Postrzelać mający, a, e.
P. W.	Naczynić mający, a, e.	Nastrzelić mający, a, e.
D.	Uczynić mający, a, e.	Strzelić mający, a, e.

Z powodu tego imiesłowu robimy uwagę iż słowo *mam*, wchodzące do jego składu, jest rzeczywiście słowem posiłkowém, ale takiém słowem, za pomocą którego każde słowo tworzy nowe, pię-

kne i potrzebne czasowanie, równie bogate jak to główne, leżące teraz przed oczyma naszemi. Podobnego temu czasowania ze słowem posiłkowém *mam,* w znajomych mi językach nie spotkałem, chyba w angielskim i to niedokładnie, bo i cóż niedokładniejszego nad angielskie czasowanie? i to tylko w czasach niektórych, gdzie nasze *mam* jest zastąpione przez *chcę* (I will), albo przez *powinienem* (I shall), lub też gdzieindziéj przez *mogę* (I can, I mag), lecz to ostatnie jest spólne wszystkim językom. U nas słowo posiłkowe *mam,* tworzy, jakem powiedział, odrębne i całkowite czasowanie: Mam czynić, miałem czynić, miałem był czynić, miałem poczynić, naczynić, uczynić, miałem był poczynić, naczynić, uczynić; potém czasy przyszłe: mam uczynić, poczynić, naczynić; daléj tryb warunkowy: miałbym czynić i t. d. Nie jest to ani francuzkie *j'ai à faire,* ani niemieckie: ich habe zu thun, bo to się tłómaczy przez polskie: *mam do czynienia;* tymczasem *mam czynić* zupełnie co innego znaczy. Przykład najlepiéj rzecz objaśni; i tak mówi się: *Wiele mam do czynienia, ale nie wiem czy mam to czynić. Nic nie mam do powiedzenia, a jednak mam mówić* i t. d., gdzie oczywista jest różnica między temi dwoma sposobami mówienia.

Z tego cośmy powiedzieli, z przykładów przytoczonych, i z tego co wnet powiemy, wynika, że to nie jest złożenie dwóch słów, jak np. *chcę mówić, pójdę robić, położył się spać* i t. d., ale że to jest rzeczywista osobna forma czasowania. Głównym i wewnętrznym powodem do utrzymywania tego, jest to, że te dwa słowa (*mam,* i to co mu się dodaje) nie zachowują swego osobnego każde znaczenia, ale zlewają się w jedno spólne znaczenie; tak dalece, że *mam* traci zupełnie swoję własność, i znika zjednoczone w jednę całość ze słowem któremu przychodzi w pomoc. Kiedy powiem: *chcę mówić,* volo loqui, to *chcę* zachowuje swoje znaczenie, a *mówić* swoje, ale kiedy powiem: *mam mówić*, jest wtedy to, co Łacinnicy wyrażają: *loquuturus sum*, jest jedno spólne znaczenie. Ten jest powód dla czego ta forma jest rzeczywiście całkowitém w sobie czasowaniem.

Rzecz wszakże prosta, że się tu nad nią dłużéj zastanawiać nie będziemy, ani do tablicy czasowania zamieszczać; dosyć tego, i nadto, cośmy o tém napomknęli. Wracamy do imiesłowów:

Imiesłów nieodmienny teraźniejszy (Participium indeclinabile praesens).

Czyniąc.	Strzelając.

Imiesłów nieodmienny przeszły (Participium indeclinabile praeteriti).

N.	Czyniwszy,	Strzelawszy,
P. P.	Poczyniwszy.	Postrzelawszy.
P. W.	Naczyniwszy.	Nastrzelawszy.
D.	Uczyniwszy.	Strzeliwszy.

Co do nieporozumienia gramatyków czy słowa nasze mają ten ostatni imiesłów w czasie niedokonanym (*czyniwszy, strzelawszy* i t. d.), małéj to wagi rzecz; jednakże, zdaje nam się że te imiesłowy niezaprzecznie w słowie naszém mają te czasy, i dla tego je

tu kładziemy. Wprawdzie ten imiesłów niemal nigdzie w mowie używany nie jest; prócz tego niektóre słowa zdają się go nie cierpieć, i nikomu pewno mile brzmieć nie będzie: *ruszawszy, rzucawszy, skakawszy* i t. d., wszyscy to zastąpią czasem teraźniejszym: *ruszając, rzucając, skakając*, co szczególniéj w słowach złożonych dobitniéj się pokazuje; bo i komuż dziko się nie wyda; *przepisywawszy, rozdmuchiwawszy, opalawszy, okradawszy, wypuszczawszy*, i t. d. i t. d. Mimo to jednak zdają się być powody za utrzymaniem tego imiesłowu, a głównym powodem zdaje się być ten, że od niego tworzą się następne imiesłowy; i tak od *czyniwszy* tworzy się *poczyniwszy, naczyniwszy, uczyniwszy;* od *strzelawszy, postrzelawszy, nastrzelawszy*, i samo nawet *strzeliwszy*, tylko innym sposobem, (przez skrócenie wewnętrzne), któryśmy wyżéj wskazali. To tworzenie się tak jest porządne, że w onych nawet ostatnich, dziko wydających się, przykładach, ma ten imiesłów swoje pochodne w bardzo kształtnéj postaci; i tak mówi się bardzo dobrze, i żadne ucho tém się nie obrazi: *poprzepisywawszy, porozdmuchiwawszy, poopalawszy, pookradawszy, powypuszczawszy* i t. d. i t. d. Co jest dowodem, że tamten pierwotny imiesłów od którego te pochodzą musi mieć przecie swoje istnienie. Drugim powodem przemawiającym za tém jego istnieniem jest to, że jest przyczyna rozumna jego istnienia. Imiesłów przeszły niedokonany *czyniwszy* co innego znaczy aniżeli teraźniejszy *czyniąc*, albo przeszły dokonany *uczyniwszy;* jest przeto miejsce dla niego właściwe. Dla czegożby więc być nie miał? Nieszczęście dla niego, że może być łatwo zastąpiony przez imiesłów teraźniejszy, i to jest przyczyną że jest u nas w mowie zupełnie zaniedbany. Ale o tym szczególe dosyć już, i za nadto.

Na ostatniém miejscu przychodzi imiesłów nieodmienny przyszły:

Imiesłów nieodmienny przyszły (Participium indeclinabile futurum).

N.	Mając czynić.	Mając strzelać.
P. P.	Mając poczynić.	Mając postrzelać.
P. W.	Mając naczynić.	Mając nastrzelać.
D.	Mając uczynić.	Mając strzelić.

Ten imiesłów równie jak i imiesłów czasu teraźniejszego używa się w zwykłém mówieniu, nietylko za czas przyszły, ale nawet i za przeszły. Prawdziwe jego znaczenie, które jest przyszłe, pokazuje się naprzykład w tém wyrażeniu: *Mając jutro mówić do ludu, przygotuję się wprzódy.* Cras verba facturus ad populum, praeparabo me antea. Ale używamy go i w przeszłym: *Wczora mając zejść się z Tytusem, wyruszyłem z domu.* Heri congressurus cum Tito, profectus sum domo. Myśliłbym że w tym ostatnim razie słuszniéj byłoby mówić: *miawszy zejść się.* Żeby jednak nie pomnażać liczby odmian naszego słowa, i trzymać się we wszystkiém powszechnego zwyczaju, opuszczamy nasze zdanie; zwłaszcza że zwyczaj nasz ma za sobą powagę łaciny. Ograniczamy się przeto na powyższych odmianach.

Tém się zamyka forma czyli postać czynna naszego słowa. Żeby się teraz ostatecznie przekonać jak ona jest całkowita, porządna i kształtna, ale szczególniéj jak jest prawdziwa, weźmy inne jakie słowo, i to podwójne: proste i jego złożone. Słowo złożone mając już w czasie teraźniejszym przedstawek, a mimo to jednak przybierając najporządniéj, we wszystkich właściwych odmianach które tego żądają, owe przedstawki: *po* i *na*, dowodzi niezbicie prawdziwości, właściwości i konieczności podanego przez nas sposobu czasowania.

Postać czynna Słowa (Forma activa Verbi).

Tryb oznajmujący (Modus indicativus).

Teraźniejszy (*Praesens.*)	Palę.	Rozpalam.
Przeszł. nied. (*Pr. Imp.*)	Paliłem.	Rozpalałem.
Prz. p. p. (*Praet. pl. I.*)	Popaliłem.	Porozpalałem.
Prz. p. w. (*Pr. pl. II.*)	Napaliłem.	Narozpalałem.
Prz. dok. (*Praet. perf.*)	Spaliłem.	Rozpaliłem.
Z. nied. (*L. P. Imperf.*)	Paliłem był.	Rozpalałem był.
Z. pełn. p. (*L. P. pl. I.*)	Popaliłem był.	Porozpalałem był.
Z. p. wt. (*L. P. pl. II.*)	Napaliłem był.	Narozpalałem był.
Z. dokon. (*L. P. perf.*)	Spaliłem był.	Rozpaliłem był.
Przysz. nied. (*Fut. imp.*)	Palić — będę — palił.	Rozpalać—będę — rozpalał.
P. pełn. p. (*Fut. pl. I.*)	Popalę.	Porozpalam
P. pełn. wt. (*Fut. pl. II.*)	Napalę.	Narozpalam.
Przysz. dok. (*Fut. perf.*)	Spalę.	Rozpalę.

Tryb rozkazujący (Modus imperativus).

Niedokonany (*Imperf.*)	Pal, palże.	Rozpalaj, rozpalajże.
Pełn. pierwsz. (*Plen. I.*)	Popal, popalże.	Porozpalaj, porozpalajże.
Pełn. wtóry (*Plenum II.*)	Napal, napalże.	Narozpalaj, narozpalajże.
Dokonany (*Perfectum.*)	Spal, spalże.	Rozpal, rozpalże.

Tryb łączny (Modus conjunctivus).

Teraźniejszy (*Praesens.*)	Paliłbym.	Rozpalałbym.
Przeszł. nied. (*Imperf.*)	Paliłbym był.	Rozpalałbym był.
Prz. p. p. (*Praet. pl. I.*)	Popaliłbym był.	Porozpalałbym był.
Prz. p. w. (*Pr. pl. II.*)	Napaliłbym był.	Narozpalałbym był.
Prz. dok. (*Praef. perf.*)	Spaliłbym był.	Rozpaliłbym był.
Przyszły (*Futurum.*)	Spaliłbym.	Rozpaliłbym.
P. pełn. p. (*Fut. pl. I.*)	Popaliłbym.	Porozpalałbym.
P. pełn. w. (*Fut. pl. II.*)	Napaliłbym.	Narozpalałbym.

Tryb bezokoliczny (Modus infinitivus).

Niedokonan. (*Imperfect.*)	Palić.	Rozpalać.
Pełny pierwsz. (*Plen. I.*)	Popalić.	Porozpalać.
Pełny wtóry (*Plen. II.*)	Napalić.	Narozpalać.
Dokonany (*Perfectum.*)	Spalić.	Rozpalić.

Tryb nieosobisty oznajmujący (Modus impersonalis indicativus).

Niedokonany (*Imperf.*)	Palono.	Rozpalano
Pełny pierw. (*Plen. I.*)	Popalono.	Porozpalano
Pełny wtóry (*Plen. II.*)	Napalono.	Narozpalano.
Dokonany (*Perfectum.*)	Spalono.	Rozpalano.

Tryb nieosobisty łączny (Modus impersonalis conjunctivus).

Niedokonany. (*Imperf.*)	Palonoby.	Rozpalanoby.
Pełny pierw. (*Plen. I.*)	Popalonoby.	Porozpalanoby.
Pełny wtóry (*Plen. II.*)	Napalonoby.	Narozpalanoby.
Dokonany (*Perfectum.*)	Spalonoby.	Rozpalanoby.

Imiesłowy odmienne (Participia declinabilia).

Teraźniejszy (*Praesens.*)	Palący.	Rozpalający.
Przeszły (*Praeteritum.*)	[Paliwszy.]	[Rozpalawszy]
Przyszł. nied. (*Fut. imp.*)	Palić mający.	Rozpalić mający.
P. pełn. p. (*Fut. pl. I.*)	Popalić mający.	Porozpalać mający.
P. pełn. wt. (*Fut. pl. II.*)	Napalić mający.	Narozpalać mający.
Przyszł. dok. (*Fut. perf.*)	Spalić mający.	Rozpalić mający.

Imiesłowy nieodmienne (Participia indeclinabilia).

Teraźniejszy (*Praesens*)	Paląc.	Rozpalając.
Przesz. n. (*Praet. imp.*)	Paliwszy.	Rozpalawszy.
P. pełn. p. (*P. plen. I.*)	Popaliwszy.	Porozpalawszy.
P. pełn. wt. (*P. plen. II.*)	Napaliwszy.	Narozpalawszy.
Prz. dok. (*Praet. perf.*)	Spaliwszy,	Rozpaliwszy.
Przysz. nied. (*Fut. imp.*)	Mając palić.	Mając rozpalać.
Prz. p. p. (*Fut. pl. I.*)	Mając popalić.	Mając porozpalać.
Prz. p. wt. (*F. pl. II.*)	Mając napalić.	Mając narozpalać.
Przysz. dok. (*Fut. perf.*)	Mając spalić.	Mając rozpalić.

IV.

To cośmy dotychczas wyłożyli jest główna część naszego odkrycia; jest to całkowity obraz odmian naszego słowa w jego postaci czynnéj. Zostaje nam powiedzieć nieco o dwóch innych jego postaciach, naprzód o postaci jego biernéj, a potém o trzeciéj, którą Grecy nazywają średnią, a którą my nazwiemy samodzielną.

My w naszém mówieniu, nie często używamy sposobu biernego; bo łatwiéj i zgrabniéj go nam wyrazić albo przez czynny, albo szczególniéj przez samodzielny, którego Łacinnicy, i wiele innych, nowych mianowicie języków, nie zna wcale. I tak: zamiast *amamur ab amicis*, mówimy czynnie: *kochają nas przyjaciele*, zamiast: *bonum opus perfectum est*, mówimy samodzielnie: *dobre dzieło zrobiło się*. Ale cóż nam przeszkadza powiedzieć to biernie, w pierwszym razie np. *kochaniśmy od przyjaciół;* a w drugim: *dobre dzieło zrobione?* Wszakże są to dokładne, i zupełnie odpowiedne łacińskim, bierne sposoby mówienia, jak to natychmiast zobaczymy.

Dla czego my dotychczas nie poznaliśmy, że w naszym języku jest bierna postać słowa, dokładna i całkowita; nie inna jest téj rzeczy przyczyna, jedno ta sama która nam przeszkodziła rozpoznać podobnież nasz tryb łączny. Tą przyczyną jest samo bogactwo i dziwna śmiałość i sprężystość naszych odmian gramatycznych, i niesłychana swoboda jaka w nich panuje. Nasz język jest prawdziwie językiem wolnych umysłów; nic go, że tak powiem, nie krępuje, wolność jest jego najwyższym zakonem. Nie żeby on nie znał

szczególnych przepisów i prawideł; owszem, widzieliśmy w układzie słowa czynnego, objaśnionym dotychczas, jak te przepisy są liczne, a zarazem stateczne i porządne; ale przy całéj téj ścisłości prawideł, jest niezmierna swoboda w wykonaniu tego co one nakazują: nie troszczą się one o to gdzie je wykonasz, abyś je tylko wykonał; nie troszczą się one o miejsce, ale o rzecz; nie troszczą o ciało, ale o ducha. I dla tego język polski, będąc jednym z najswobodniejszych, jest zarazem jednym z najduchowniejszych języków, jakiemi mówi rodzaj ludzki.

Wracam do postaci biernéj naszego słowa, i nie waham się twierdzić, że ona jest następna:

Liczb. poj.	Palonym, nam, nem,	Rozpalanym, am, em.
	palonyś, naś, neś,	rozpalanyś, aś, eś,
	palony, na, ne.	rozpalany, na, ne.
L. podw.	Paleniśwa, oneśwa,	Rozpalaniśwa, neśwa,
	paleniśta, oneśta.	rozpalaniśta, neśta.
Liczb. mn.	Paleniśmy, oneśmy,	Rozpalaniśmy, neśmy,
	paleniście, oneście,	rozpalaniście, neście,
	paleni, one.	rozpalani, ne,

Że zakończenie tego czasu oderwać od niego mogę, i powiedzieć: *jam palony, tyś palony* i t. d., to wcale nie dowodzi że to nie jest zakończenie osobne, właściwe postaci biernéj słowa; tak jak *jam był, tyś był* i t. d. nie dowodzi że *byłem, byłeś, był* i t. d. nie jest formą osobną i właściwą czasu przeszłego oznajmującego. Ale tu może kto powie że *palonym, palonyś* i t. d. jest złożeniem imiesłowu *palony* ze słowem *jestem*. Na to mu odpowiemy bardzo prostą uwagą. A *byłem, byłeś* i t. d. co to jest jeżeli nie złożenie z *był jestem, był jesteś* i t. d.? O czém bardzo łatwo się przekonać, udając się do języka słowiańskiego, w którym dotychczas nieinaczéj się to słowo odmienia, tylko былъ есмь (był jesm) былъ еси (był jesi), i t. d. Wejście słowa *jestem* od odmian innych słów, nietylko nie jest zbyteczne, ale jest konieczne, i ono właściwie stanowi tło wszystkich odmian, jak to niżéj przy objaśnianiu tworzenia się czasów obszerniéj zobaczymy. A to nietylko w polskim języku, lecz i w innych; jak np., że bijących w oczy użyję przykładów; łacińskie *amavi* jest *amofui*, *amaveram*, jest *amofueram*, *amavero*, jest *amofuero*, *amavissem*, *amofuissem* i t. d. W tych zaś czasach, w których nie możemy dojść pierwotnego składu, rzecz tę to tłómaczy, że zgubione są dla nas pierwiastki. Ale w polskim języku wszystkiego dojść można, i ta, że tak powiem, zbytnia przezroczystość jego wnętrza była przyczyną że je zanadto zewnętrznie wzięto, i nie postrzeżono głębszego znaczenia rzeczy, które zbyt dobrze z wierzchu widziano.

Z tego wszystkiego wypływa, że odmiana powyższa: *Palonym, palonyś* i t. d. nie jest przypadkowém złożeniem z imiesłowu: *palony*, i słowa: *jestem*, ale jest złożeniem organiczném, żywotném, tak jak *byłem, kochałem* i t. d., czemu bynajmniéj nie przeszkadza sposo-

bność oderwania zakończenia właściwego tym odmianom, i postawienia go gdzieindziéj; i że jak te ostatnie odmiany są dokładnemi formami czasów przeszłych, tak owa odmiana: *palonym*, *palonyś* i t. d. jest dokładną formą bierną słowa. Co objaśniwszy, wypiszemy teraz od razu całą postać bierną słowa polskiego, a na końcu dopiero dodamy kilka uwag potrzebnych.

Postać bierna Słowa (Forma passiva Verbi).

Tryb oznajmujący (Modus indicativus).

Teraźniejszy (Praesens)	Palonym, am, em, Palonyś i t. d.	Rozpalanym, am, em, Rozpalanyś, i t. d.
Prz. nied. (Praet. imp.)	Palonym był.	Rozpalanym był.
Prz. pełn. p. (Pr. pl. I.)	Paleniśmy, *(zwykle tylko liczba mnoga).*	Porozpalaniśmy, *(liczba mnoga).*
Prz. p. wt. (Pr. pl. II.)	Niema. [1]	Niema.
Prz. dokon. (Pr. perf.)	Spalonym.	Rozpalonym.
Z. nied. (L. P. imperf.)	Niema.	Niema.
Zap. p. p. (L. P. pl. II.)	Popaleniśmy, *(zwykle liczba mnoga).*	Porozpalaniśmy byli, *(liczba mnoga).*
Z. p. wt. (L. P. pl. II.)	Niema.	Niema.
Z. dokon. (L. P. perf.)	Spalonym był.	Rozpalonym był.
Przy. nied. (Fut. imp.)	Palony będę.	Rozpalany będę.
Prz. p. p. (Fut. pl. II.)	Popaleni będziemy, *(zwykle tylko liczba mnoga).*	Porozpalani będziemy, *(liczba mnoga)*
Prz. p. wt. (Fut. pl. II.)	Niema.	Niema.
Przyszł. dok. (Fut. perf.)	Spalony będę.	Rozpalony będę.

Tryb rozkazujący (Modus imperativus).

Niedokonan. (Imperfect.)	Bądź, bądźże palony.	Bądź, bądźże rozpalany.
Pełny pierw. (Plen. I.)	Bądźmy, bądźmyż popaleni, *(liczba mnoga).*	Bądźmy, bądźmyż porozpalani, *(liczba mnoga).*
Pełny wtóry (Plen. II.)	Niema.	Niema.
Dokonany (Perfectum)	Bądź, bądźże spalony.	Bądź, bądźże rozpalony.

Tryb łączny (Modus conjunctivus).

Teraźniejszy (Praesens)	Palony byłbym.	Rozpalany byłbym.
Przeszł. nied. (Imperf.)	Palony byłbym był.	Rozpalany byłbym był.
Prz. p. p. (Praet. pl. I.)	Popaleni bylibyśmy byli. *(liczba mnoga).*	Porozpalani bylibyśmy byli *(liczba mnoga)*
Prz. p. wt. (Pr. pl. II.)	Niema.	Niema.
Prz. dok. (Praet. perf.)	Spalony byłbym był.	Rozpalony byłbym był.
Przyszły (Futurum)	Spalony byłbym.	Rozpalony byłbym.
Prz. p. p. (Fut. pl. I.)	Popaleni bylibyśmy.	Porozpalani bylibyśmy.
Prz. p. wt. (Fut. pl. II.)	Niema.	Niema.

---

[1]) W tém słowie *palę* możnaby wprawdzie w tym czasie powiedzieć: *napalonym, yś, y,* i t. d., ale to jest szczególne temu tylko słowu i niewielu innym, o czém w następnych uwagach przestrzeżemy czytelnika. Że tu jednak idzie o prawidło ogólne, więc ten czas i w tém słowie wypuszczamy, zwłaszcza że w pokrewném słowie *rozpalam*, tu obok tamtego postawioném, czasu tego już niema.

Tryb bezokoliczny (Modus infinitivus).

Niedokonan. (*Imperfec.*)	Palonym być.	Rozpalanym być.
Pełn. pierw. (*Plen. I.*)	Popalonymi być, (*liczba mnoga*).	Porozpalanymi być, (*liczba mnoga*).
Pełny wtóry. (*Plen. II.*)	Niema.	Niema.
Dokonany (*Perfectum.*)	Spalonym być.	Rozpalonym być.

Imiesłowy odmienne (Participia declinabilia).

Ter. nied. (*Praes. Imp.*)	Palony.	Rozpalany.
Pełny pierw. (*Plen. I.*)	Popaleni, (*zwykle tylko liczba mnoga*).	Porozpalani, (*zwykle tylko liczba mnoga*).
Pełny wtóry (*Plen. II.*)	Niema.	Niema.
Dokonany (*Perfectum.*)	Spalony.	Rozpalony.
Przysz. nied. (*Fut. Imp.*)	Palonym być mający.	Rozpalanym być mający.
Prz. p. p. (*Fut. pl. I.*)	Popalonymi być mający. (*liczba mnoga*).	Porozpalanymi być mający, (*liczba mnoga*).
Prz. p. wt. (*Fut. pl. II.*)	Niema.	Niema.
Prz. dok. (*Fut. Perf.*)	Spalonym być mający.	Rozpalonym być mający.

Imiesłowy nieodmienne (Participia indeclinabilia).

Ter. i P. N. (*Pr. et Imp.*)	Palonym będąc. [Palonym bywszy.]	Rozpalanym będąc. [Rozpalanym bywszy.]
Prz. dokon. (*Pr. Perf.*)	Spalonym będąc. [Spalonym bywszy.]	Rozpalonym będąc. [Rozpalonym bywszy.]

Taka jest postać bierna naszego słowa. Przystępuję teraz do dania kilku potrzebnych uwag. Wyczerpać przedmiotu nie myślę, bo nie piszę Gramatyki, ani rozprawy *ex professo*, udzielam tylko głównéj myśli, a szczegóły niech się potém same rozjaśniają i usprawiedliwiają.

Pierwszą rzeczą do objaśnienia jest przyczyna, dla czego w biernéj postaci naszego słowa, nie ma onych czasów pełnych, poczynających się przez *na*, a tych które się poczynają przez *po*, są tylko liczby mnogie. Przyczyna jest bardzo prosta, i pięknie stwierdzająca używanie tych czasów w postaci czynnéj. Przypomnijmy sobie co te czasy znaczą. Czas zaczynający się przez *po* wyraża, powiedzieliśmy, taką czynność, która miała wiele przedmiotów, i na wszystkie się rozciągnęła. Tutaj tedy wypadałoby aby taka sama była bierność przez słowo wyrażona. Otóż, w biernym sposobie mówienia, słowo nie może mieć wiele przedmiotów w liczbie pojedynczéj, i na wszystkie się rozciągnąć: bo przedmiotem słowa, w bierném mówieniu, jest samaż osoba słowa, a ta w liczbie pojedynczéj jest jedna tylko. I dla tego, najkonieczniéj i najrozsądniéj, czas ten, w bierném mówieniu, liczby pojedynczéj nie ma; to zaś że ma mnogą, potwierdza jego prawidlność i stateczność. Tak samo ma się i z czasem zaczynającym się przez *na;* tylko z tą różnicą, że jego własność jest taka, iż ni jednéj liczby w bierném mówieniu nie przypuszcza. Albowiem, jakeśmy widzieli, ten czas wyraża mnogość saméjże czynności, powiedzieliśmy że jest wsobnym (subjectivum), ale wsobnym saméjże czynności; i ta jest przyczyna dla czego nie może nic znaczyć w bierném mówieniu. Bo wtedy trzebaby było, żeby się

on wyosobił że tak powiem z czynności z którą zlał się w jedno, przestał być rdzennie czynnym, i stał się przedmiotowym, przedsobnym, co właśnie jest przeciwne jego naturze. Kilka tych słów niech dosyć będzie na objaśnienie téj rzeczy.

Musimy jednak przestrzedz, że są niektóre wyjątki, a które, dobrze rozebrane, potwierdzają tylko to ogólne prawidło. Są one szczególniéj w odmianach na *po*. Np. *potłuczonym, potłuczonyś* i t. d. *porżniętym, posiekanym* i t. d.; ale każdy widzi że tu jest mowa o całém ciele mojém, które się uważa jako złożone z członków, i dotknięte tą czynnością, przez słowo wyrażoną, we wszystkich swojich członkach. Przetoż zawsze jest mnogość przedmiotów, i czynność na wszystkie się rozciąga.

Drugą rzeczą, na którą zwrócić trzeba uwagę, jest pospolite używanie, w naszym języku, biernego sposobu mówienia w czasie przeszłym, z czego jednak nie wiem czyśmy sobie zdali dokładną sprawę. I tak mówimy: *Adam zgrzeszył, i cały rodzaj ludzki potępiony, dopiero krwią Chrystusa zgładzona wina i odkupieni wszyscy.* Nie są to bynajmniéj imiesłowy, ale najwyraźniéj trzecie osoby czasu przeszłego biernego: potępionym, potępionyś, *potępiony;* zgładzonym, zgładzonyś, *zgładzony, a, e;* odkupieniśmy, odkupieniście, *odkupieni.* Gdyby to były imiesłowy, zdanie nie miałoby żadnego sensu, jak to łatwo o tém się przekonać, przenosząc to polskie zdanie na inny język; a imiesłowy tłómacząc nie przez czasy bierne, ale przez imiesłowy; i tak po francuzku byłoby: Adam a péché, et tout le genre humain damné, par le sang de Jésus-Christ la faute effacée, et tous les hommes rachetés... cóż? czy jest sens? To samo i w niemieckim, i w innych językach. I próżno ktoby chciał odpowiedzieć, że w naszym języku domyśla się przy tych imiesłowach słowa *jestem*, a w innych językach nie domyśla. Bo wtedy pytamy się: dla czegóż ta różnica, i dla czego w naszym się domyśla, kiedy się w innych nie domyśla? Oto prosta jest na tę rzecz odpowiedź: Domyśla się u nas, bo to nie są imiesłowy, ale czasy bierne, nie domyśla się w innych, bo tam nie są czasy bierne, ale imiesłowy. Rzecz ta jest tak jasna, że w samym łacińskim języku chociaż czas przeszły bierny składa się z imiesłowu i słowa *sum,* jednakże kiedy sam imiesłów położę bez słowa *sum,* wtedy to słowo trudno się domyśla i takie położenie sprawia, że to raczéj już nie są czasy przeszłe, ale imiesłowy, zamiast przymiotników użyte, czekające innego jakiego słowa dla dopełnienia sensu. Np. Adae peccato humanum genus omne damnatum, sanguine Christi culpa daleta, et homines redempti... Oczywiście że zdaje się brakować słowa. Jednakże dawszy na to że się tu wszędzie domyśla słowo *sum*, któż nie widzi że wtedy nie będą to już imiesłowy, użyte jako imiesłowy, ale najzupełniejsze i najdokładniejsze czasy bierne?

Po tych dwóch głównych uwagach, objaśniających naszą bierną postać słowa, byłoby jeszcze kilka innych do czynienia, (jak np.

że zamiast Palonym, nyś, ny, można mówić: *Palonem*, *oneś*, *on*, i t. d.) ale te są mniejszéj wagi. Pośpieszamy do trzeciéj postaci słowa polskiego.

V.

Zawsze ta sama przyczyna niepostrzeżenia wszystkich odmian naszego słowa, to jest, jego bogactwo, i zarazem jego swoboda. Mamy najdokładniejszą trzecią postać czasowania naszego słowa, jednakże ponieważ to: *się*, które jest zakończeniem cechującém tę postać, najłatwiéj się od słowa odrywa, i gdzie chcąc się przenosi, więc osądziliśmy że to nie jest nic ważnego, że to jest jakaś igraszka języka, jakaś zabawka, cacko dziecinne; a nawet znaleźli się tacy językoznawcy, żal się ich wszelka uczciwa duszo! którzy sądzili, że to: *się*, jest coś strasznie nieporządnego, niedorzecznego i jakoby zakałą naszego języka. Takie to rozumy, umiejące tylko psuć języki przez Boga stworzone, chciałyby nowe z niczego stwarzać!

Naprzód co do nazwy téj trzeciéj postaci, zdaje nam się że nazywać ją *średnią* mniéj jest rzecz właściwa; bo niewiadomo co to nazwisko ma wyrażać; wnosimy przeto, póki kto lepszego wniosku nie uczyni, aby ją nazywać *samodzielną*. Ta nazwa zdaje się nam najbardziéj odpowiadać naturze téj postaci czasowania, o któréj kilka słów teraz musimy powiedzieć.

Postać nasza słowa zakończona na *się*, nie jest bynajmniéj ta sama, która w innych językach nazywa się zaimkowa i tworzy się przez przybranie zaimków *mnie, ciebie, siebie*. Niemieckie: ich liebe mich, du liebst dich, er liebt sich, nie jest bynajmniéj naszém *kocham się*, *kochasz się*, *kocha się*, ale jest raczéj naszém: *kocham siebie*, *kochasz siebie*, *kocha siebie*; co od tamtego pierwszego najzupełniéj się różni. Wprawdzie często nasze słowo samodzielne da się przetłómaczyć przez cudzoziemskie zaimkowe, np. *wstydzę się*, ich schäme mich, *czuję się*, ich fühle mich, je me sens i t. d.; ale to spotkanie się nie pochodzi z podobieństwa samychże tych postaci czasowania, pochodzi ono z innéj przyczyny, o któréj późniéj mówić będziemy. Otóż, oprócz tego spotkania się, choć dosyć częstego, z tém wszystkiém przypadkowego, nasza postać samodzielna zupełnie się różni od zaimkowéj u obcych; na potwierdzenie tego dość będzie kilka przykładów. I tak mówimy:

W postaci samodzielnéj.	*W postaci zaimkowéj.*
Rachuję się ze wszystkimi ludźmi.	Rachuję siebie do dobrych ludzi.
Biję się z nim na szable.	Biję siebie rózgą.
Chwytam się wszelkich środków.	Chwytam siebie za każde słowo.
Drzeć się na wysokie stopnie.	Drzeć siebie na drobne kawałki.
Kto chrzci się, zostaje chrześcianinem,	Kto chrzci siebie, pozostaje poganinem.
Każdy pcha się chcąc iść naprzód:	Nikt nie pcha siebie idąc naprzód.
Chociaż widuję się z Pawłem codzień;	Nie widuję siebie nigdy.
Kiedy rznę się przez szyki nieprzyjaciół,	Nie rżnę siebie jednak wtedy.
I koń, co rwie się do stajni,	Nie rwie siebie na dwie poły.
I dziecko, co grzebie się w piasku,	Nie grzebie siebie w piasku.

Dosyć tych przykładów, które możnaby nieograniczenie pomnożyć, a które najoczywiściéj pokazują, że co innego jest czasowanie samodzielne, a co innego zaimkowe: to ostatnie może być na inne języki przetłómaczone za pomocą zaimków: *mnie, ciebie, siebie,* ale nie pierwsze. Różnica ta między temi dwoma sposobami czasowania jest najwyraźniejsza; ale jéj dotychczas niepostrzeżono wyraźnie, dla tego szczególnie, że widząc podobieństwo w niektórych przypadkach tego naszego czasowania z czasowaniem zaimkowém innych języków, wzięto je za czasowanie zaimkowe; to jest wzięto to, co jest wyjątkiem i przypadkiem, za prawidło i rzecz samą, a zaś rzecz samą, to jest czasowanie samodzielne o ile jest różne od zaimkowego, wzięto za wyjątek, za coś nieregularnego, coś niekształtnego i że tak powiem barbarzyńskiego, czemu w porządnym języku miejsca naznaczyć niemożna. Już pora naprawić tę pomyłkę.

Znaczenie tedy słowa w téj postaci samodzielnéj czasowania jest takie, że czynność odbywa się sama przez się, w osobie, lub z osobą którą słowo wyraża, i dla tego nazywamy tę postać samodzielną. Żeby dobrze zrozumieć to znaczenie, trzeba sobie wprzódy zdać sprawę ze wszystkich postaci, jakie słowo przybrać może. Jest ich cztery: czynna, bierna, tak nazwana zaimkowa, i ta którą nazywamy samodzielną. W czynnéj, osoba słowa jest czynnikiem, wsobem działającym, a inna jakaś rzecz jest biernikiem téj czynności, to jest przedsobem odbierającym, znoszącym tę czynność. W biernéj postaci, nie osoba słowa, ale inna jakaś osoba, lub rzecz, jest czynnikiem, czyli wsobem działającym, a osoba słowa jest biernikiem, przedsobem znoszącym czynność. W postaci zaimkowéj, którą możnaby równie nazwać *czynnobierną,* osoba słowa jest naprzód czynnikiem, ale potém swojimże własnym biernikiem, to jest że swoją czynność jako wsób działający, wywiera na siebie samą jako na przedsób też czynność znoszący. W postaci przeciwnie samodzielnéj, którąby równie nazwać można *biernoczynną,* osoba jest naprzód biernikiem znaczącym jakąś czynność, ale wnet tę czynność odebraną przemienia na własną, i staje się téjże czynności odebranéj czynnikiem, wsobem działającym tą odebraną i bierną czynnością. Lepiéj nie umiem opisać w téj chwili ceny i znaczenia téj ostatniéj postaci słowa; ale będę się starał objaśnić ją jeszcze w przykładach, bo rzecz ta potrzebuje koniecznie wszechstronnego objaśnienia.

Otóż i przykłady, a inne od poprzedzających, aby z nowéj coraz strony rzecz całą obejrzeć. Zresztą tamte dane były dla poczucia różnicy między temi dwiema postaciami, te zaś dla ostatecznego poczucia i ustalenia wartości téj samodzielnéj postaci czasowania. I tak kiedy mówię: *Palę siebie*, jest to samo, co inne języki zaimkowo wyrażają: je me brûle, ich brenne mich, comburo me i t. d. Osoba czynna obraca swą czynność na siebie samą: nic jaśniejszego od téj postaci słowa. Ale kiedy mówię: *palę się,* wyrażam nie czynność która przechodzi w bierność, jak w pierwszym razie, w bier-

ność, czyli w cierpienie przezemnie samego sprawione, którego przyczyna we mnie leży; ale wyrażam bierność przechodzącą w czynność, czynność przezemnie przyjętą, coś co się zemną dzieje (a nie co sam sobie robię), czynność któréj pierwsza przyczyna we mnie nie leży. *Palę się!* właśnie to znaczy. Żeby dobrze pojąć to znaczenie, weźmy to słowo w czasach, w których najbardziéj jest używane. Wyobrażam sobie sąsiada, który, po spłonieniu swego majątku, przyjeżdża do mnie, szukając schronienia; wychodzę, przyjmuję, i pierwsze słowa jakie do niego wymawiam: Ach! nieszczęście, przyjacielu! słyszałem, widziałem, *spaliłeś się!* A ten mi odpowiada: Tak, niestety! wszystko u mnie *spaliło się!* Proszęż te oba wyrażenia wziąść w znaczeniu, nie biernoczynném, czyli samodzielném, ale w czynnobierném czyli zaimkowém, a jakie będzie znaczenie. Jeden z nich byłby powiedział sąsiadowi: że on sam siebie spalił, a drugi byłby odpowiedział, że przeciwnie, wszystko u niego samo siebie spaliło. Czyż tu jest sens? Kiedy tymczasem ci dwaj sąsiedzi bardzo dobrze siebie rozumieli w znaczeniu biernoczynném, wyżéj objaśnioném. Mówię: *siebie rozumieli,* o nie: *rozumieli się* i to jest nowy przykład postaci zaimkowéj i postaci samodzielnéj. *Rozumiem siebie* wtedy, kiedy czynność mego rozumienia obracam do mojich własnych słów, lub myśli, *rozumieli siebie* w liczbie mnogiéj, kiedy kilku obraca tę samą czynność do swojich spólnych słów i myśli. Ale *rozumiem się* wtedy mówi się, kiedy jakieś rozumienie obce we mnie weszło i stało się czynném i mojém własném, to jest mnie samego tyczącém się, np. *Rozumiem się być wielkim człowiekiem. Rozumieli się wtedy być najszczęśliwszymi, kiedy wszystko stracili....*

Jeszcze kilka przykładów. *Słyszę się być ogłoszonym za mędrca,* jest wyrażenie samodzielne, *słyszę siebie mówiącego,* czy to mądrze czy niedorzecznie mówię, jest zaimkowe. Nie można powiedzieć, słyszę się mówiącym, ani słyszę siebie ogłoszonego; bo w pierwszym razie, tam gdzie natura obu słów potrzebuje wyrażenia czynnobiernego, postawione jest bierno czynne; a w drugim przeciwnie, gdzie potrzeba samodzielnego, postawione jest zaimkowe. Ta sprzeczność, z innéj strony, tłómaczy różnicę jaka zachodzi między temi dwiema postaciami. Znowu inny przykład: *W złém towarzystwie mimowolnie zepsujesz się, i zgubisz się na zawsze;* jest powiedziane samodzielnie, od którego widocznie różni się następne zaimkowe, czyli czynnobierne: *przez rozmyślne czytanie złych książek dobrowolnie zepsujesz siebie, i zgubisz siebie na zawsze.* Ktoby w tym ostatnim razie powiedział: *zepsujesz się, i zgubisz się,* popełniłby omyłkę którą każdy dobrze znający polski język uczułby natychmiast, chociażby sobie sprawy z tego na razie nie zdał. Otóż przyczyna tego w tém leży, że w tym ostatnim razie jest powiedzenie z czynnego bierne (bo przyczyna jest dobrowolna), więc potrzebuje postaci zaimkowéj, kiedy tymczasem pierwsze powiedzenie jest

z biernego czynne (bo przyczyna jest mimowolną), więc powinno wyrazić się w postaci samodzielnéj. Mówię: *wyrazić się*, a nie, *wyrazić siebie*, i tu znowu jest przykład téj różnicy, a każdy czuje co znaczy *wyrażam się*, a co *wyrażam siebie*.

Myślę, dla ostatniego objaśnienia téj rzeczy niełatwéj do objaśnienia, dać przykład we wszystkich czterech postaciach czasowania, których wzajemne różnice będą mogły ten przedmiot rozświecić. I tak mówię czynnie: *Kocham Pawła;* biernie: *Kochanym przez Pawła;* czynnobiernie: *Kocham siebie i Pawła;* biernoczynnie: *Kocham się w Pawle, a Paweł we mnie.* I znowu mówię czynnie: *Skarzę Michała*, biernie: *Skarzonym przez Michała;* czynnobiernie: *Skarzę siebie wraz z Michałem*, biernoczynnie: *Skarzę się na Michała, a Michał skarzy się na mnie.* I znowu czynnie: *Męczę moich uczniów;* biernie: *Męczonym przez moich uczniów;* czynnobiernie: *Męczę siebie, niemniéj sam, jak i uczniowie;* biernoczynnie: *Męczę się nad uczniami, a uczniowie męczą się nad książką.*

Ażali rzecz ta cała już na tém ukończona? W każdym razie dosyć było mowy o tém. Jednę tylko dam przestrogę, żeby się nie-omylić w sądzie o tych dwóch postaciach czasowania, zaimkowém i samodzielném; a ta tyczy się tłómaczenia ich na inne języki.

Powiedzieliśmy wyżéj, że często, nasza postać samodzielna spotyka się z postacią zaimkową innych języków. Objaśniamy daléj tę rzecz, powiadając, że to spotkanie się dzieje się najczęściéj z postacią zaimkową języka francuzkiego, często i języka niemieckiego, biorąc tu języki z którémi piśmiennictwo nasze było w styczności. Otóż nie trzeba się w tém mylić i ubóstwem francuzkiém lub niemieckiém nie trzeba mierzyć bogactwa naszego, trzeba owszém dokładnością i pełnością naszego języka, rozjaśnić i naprawić niedostatki i niemieckie i francuzkie. Francuzi z Niemcami, niemając dwóch osobnych postaci na te dwa osobne czasowania, a jednak zachowawszy w niektórych słowach pojęcie o znaczeniu samodzielném, wyrażają to znaczenie sposobem zaimkowym. Ztąd u nich powstaje niemałe zamieszanie, na które nie mają żadnego prawidła. I tak np. *je me bats*, jest samodzielne, i znaczy: *biję się* (ils se sont battus entre eux, bili się z sobą), kiedy tymczasem pokrewne temu: *je me frappe*, jest zaimkowe, i znaczy: *biję siebie*, albo *uderzam siebie.* Niema na to prawidła, i Francuz musi na to odpowiedzieć tém, co stanowi najwyższe prawidło w jego Gramatyce: *C'est l'usage*, taki zwyczaj! Mnie się zdaje, że ten wzgląd na język francuzki był dla nas jedną z najmocniejszych przeszkód do dokładnego rozpatrzenia się w naszym własnym języku. Gdybyśmy byli zapatrywali się na język łaciński, bylibyśmy daleko łatwiéj przyszli do poznania prawdy. W łacińskim samodzielne znaczenie słowa nigdy albo przynajmniéj bardzo rzadko wyraża się w postaci zaimkowéj, ale wyraża się raczéj w postaci biernéj, dla braku osobnéj, samodzielnéj, albo w cale się nie wyraża. I tak *palę się*, będzie *uror;* zapalam się, *accendor;* widzę się, *videor*, i t. d. i t. d., chociaż i to nie często.

Tyle o istocie, znaczeniu i używaniu téj postaci czasowania. Wypadałoby teraz postawić przed oczy cały wzór tego samodzielnego czasowania; lecz że myślimy dać, na końcu tego naszego wykładu, ogólną tablicę wszystkich postaci czasowania naszego, tam więc odsyłamy czytelnika. Tu tylko dodamy jeszcze kilka uwag szczegółowych.

Czasowanie to, na wzór biernego, w czasach pełnych przedsobnych nie ma liczby pojedynczéj, ale to nie we wszystkich słowach, jak i w biernéj postaci, tylko w niektórych, a mianowicie w takich, które same przez się wyrażają wyłączną i prostą czynność; jakiemi są: czynię, robię, macham, rzucam, ciskam i t. d. Nie mówi się więc: *poczyniłem się*, *porobiłem się*, *pomachałem się* i t. d. To zaś dla tego, że w tych słowach ma miejsce ta sama przyczyna która nie pozwala w postaci biernéj używać w tych czasach liczby pojedynczéj; słowo bowiem w tych czasach wymaga przedmiotu mnogiego, a słowa powyższe w liczbie pojedynczéj nie mogą mieć przedmiotu mnogiego w téj postaci czasowania. Mówi się jednak w liczbie mnogiéj: *poczyniliśmy się*, *porobiliśmy się* i t. d., bo przedmiot stał się mnogim. Inne jednak słowa dla przeciwnéj przyczyny, o któréj była mowa przy biernéj postaci, mają liczbę pojedynczą, np. *potłukłem się*, *posiekałem się*, *pozarzynałem się* i t. d.

Ta rzecz jest spólna z postacią bierną, a nawet z postacią zaimkową, bo mówi się: *potłukłem siebie*, *posiekałem siebie*, *pozarzynałem siebie* i t. d. Ale co jest właściwe jednéj tylko postaci samodzielnéj, to używanie drugich czasów pełnych, to jest wsobnych. Tego nie może ani postać bierna, ani postać zaimkowa. I to jest jeden dowód więcéj, a dowód bardzo mocny, różnicy jaka zachodzi między temi dwiema postaciami, to jest między samodzielną, a zaimkową. Mówi się: *natłukłem się*, *nasiekałem się*, *narobiłem się*, *nakochałem się* i t. d., ale zgoła nie mówi się: *natłukłem siebie*, *nasiekałem siebie*, *narobiłem siebie*, *nakochałem siebie*.

Tu winniśmy nawiasową uwagę. Może komu przyjdzie na myśl, że się bardzo dobrze mówi: *nasyciłem się* i *nasyciłem siebie*, *narzuciłem się* i *narzuciłem siebie* i t. d., a nie przyjdzie mu zarazem myśl, jak to ma tłómaczyć, i będzie sądził że nasze prawidło nie jest ogólne. Ale tak nie jest, i te przykłady które tu są przytoczone, wcale nie są na swojém miejscu. To: *nasyciłem się*, i to *narzuciłem się*, nie pochodzą od słów *sycę i rzucam*, ale od *nasycam*, *narzucam*, więc to nie są czasy pełne wsobne, o których tu mówimy, ale są po prostu czasy przeszłe dokonane. Żeby to lepiéj stanęło przed oczyma, połóżmy szereg czasów tych obu słów:

T.	Nasycam.	Narzucam.
P. N.	Nasycałem.	Narzucałem.
P. P. I.	Ponasycałem.	Ponarzucałem.
P. P. II.	Nanasycałem.	Nanarzucałem.
P. D.	Nasyciłem.	Narzuciłem.

Oczywista tedy rzecz że to są czasy przeszłe dokonane; nic więc dziwnego że w nich można mówić i *się* i *siebie*, tak jak w powyższych słowach można mówić *ukochałem się* i *ukochałem siebie*, *zrobiłem się* i *zrobiłem siebie* i t. d. Ale w czasach pełnych uczynić tego niemożna. Dodamy tutaj że dla niezamieszania się w sądzie o prawidłach przez nas tu podanych, trzeba strzedz się aby czasów dokonanych ze słów zaczynających się w czasie teraźniejszym przez *po* i przez *na*, nie brać za czasy pełne innych słów niezłożonych, od których tamte złożone pochodzą, lub przeciwnie. I tak, jest słowo *ruszam*, a od niego pochodzą słowa *poruszam* i *naruszam*, czasy pełne słowa *ruszam* są *poruszałem* i *naruszałem*, czasy niedokonane słów *poruszam* i *naruszam* są także *poruszałem* i *naruszałem*, tylko że co innego znaczą, i dla tego nie trzeba brać jednych za drugie. Potém czasy dokonane tychże słów są *poruszyłem* i *naruszyłem;* te się już nie spotykają z żadnym czasem słowa *ruszam*, jednakże przez nieoględność mogłyby być wzięte za czasy pełne tegoż słowa. Tego strzedz się trzeba, a dla dokładniejszego obeznania się i rozpatrzenia się w całéj téj rzeczy, wybierzemy do naszéj ogólnéj tablicy słowo które jak to *ruszam*, ma swoje słowa pochodne, przez *po* i *na* zaczynające się w czasie teraźniejszym.

Jeszcze jedna uwaga. W téj postaci, jak i w czynnéj, jest tryb nieosobisty: *Pali się*, *paliło się*, *spaliło się* i t. d., który różni się od osoby trzeciéj, za wzór mu służącéj, nietylko tém że jest nieosobisty, ale tém szczególnie, że daleko wyraźniejsze ma bierne znaczenie aniżeli osoba trzecia; a to dla tego właśnie, że jest pozbawiony osoby, a przeto pozbawiony jest myśli czynności która z osobą jest połączona. I dla tego ten tryb nasz samodzielny nieosobisty doskonale tłómaczy się przez łaciński bierny nieosobisty: *Rozumie się*, intelligitur; *spostrzega się*, conspicitur; *mówi się*, dicitur; *kocha się*, amatur i t. d. i t. d.

Ostatnia nareszcie uwaga jaką uczynimy, tyczy się rzeczowników słownych do téj postaci należących. Wielkie to a niewdzięcznie zapoznane bogactwo naszego języka. Bo i któryż inny język podobne myśli i rzeczy wyrazić potrafi, jak nasz kiedy mówi: *poznanie się*, *pobranie się*, *połączenie się*, *zobowiązanie się*, *pogodzenie się*, *porozumienie się* i t. d. i t. d. Jest to znowu dowód i nowe objaśnienie téj postaci czasowania. Tu zaś byłbym zdania, aby te rzeczowniki nierozłącznie pisać, zwłaszcza że to: *się*, nie może być rozłączone od rzeczownika, tak jak może być od słowa.

Nim teraz przystąpimy do dania naszéj ogólnéj tablicy czasowania, podamy główne prawidła podług których tworzą się nasze czasy; a szczegółowe ułożenie i wykończenie tych prawideł, i dokładniejsze wykazanie wyjątków, zostawiamy czasowi i dobréj woli a pracy tych, którzyby chcieli podług niniejszych prawideł Gramatykę ułożyć.

NICCOLO MACHIAVELLI.

Nie zdaje się nam, iżby dziś była pora wywoływać postacie, na których jakikolwiek cień nieprawości lub fałszu spoczywa. Czasom, jak obecne, pełnym zamętu w pojęciach o najprostszéj moralności, nie mogą się przydać ku uzdrowieniu jeno wzory nieskazitelnéj cnoty, zasady i myśli żadném zboczeniem nieskrzywione. Dobro w spółce ze złem traci zawsze całą prawie swą wartość, a złe w dwójnasób potężnieje, bo się pod pożyczonemi u swego towarzysza wkrada pozorami. Dziś osobliwie podobnéj mięszaniny strzedz się należy, gdyż żyjemy w epoce, w któréj każdy fałsz, zwodną okraszony barwą, wnika bez oporu, a wszelka wątpliwość stokroć prędzéj na szkodę jak na korzyść prawdy rozwiązaną zostaje. Eklektyzm zaprowadził nas w odmęt. Tylko zwrot do całkowitéj prawdy i hołd dla niepokalanych zacności wydobyć nas z tego chaosu zdołają.

Każdy wiek ma swe bożyszcza i swe potępieńce. Równie lekkomyślnie stawia ołtarze jak zapala stosy. Lecz historya nie łatwo przyjmuje doraźne wyroki uwielbienia lub wstrętu. Ludzie podnioślejsi rozumem i sercem będą mieć zawsze w podejrzeniu i anielstwo uświęconych gminnym okrzykiem, i szatańswo potępionych na razie. Ztąd po pewnym czasie budzi się oddziałanie przeciw sądom poprzedniéj epoki. Pochopność zwłaszcza do rehabilitacyi ogarnia najszlachetniejsze umysły. Wymiar sprawiedliwości pokrzywdzonym osobistościom staje się żądzą serc czułych, obwiązkiem dusz ukształconych, godłem literatury historycznéj. Sądownictwo to nie przypuszcza przedawnienia. Owszem, im dłużéj cierpiał który z niesłusznie potępionych, tém gorliwszych znajduje rzeczników, tém uroczystsze osiąga uniewinnienie. Lecz z przywołanych przed ten nowy trybunał, nie wszystkim jednakowy stopień krzywdy wyrządzonym został. Jednych całkowita niewinność staje się widoczną, i ci późniejszym wiekom świecić będą tém jaśniejszym przykładem, im dłużéj niezasłużoną znosili ohydę. Daleko jednak większą jest liczba owych wątpliwych, zagmatwanych charakterów, na których korzyść najżarliwsza obrona tylko to podać może, że obok wielkich błędów znakomite posiadali przymioty. Otóż na wymiar sprawiedliwości pierwszym zawsze jest pora, drugim, nie zawsze. Ku sumiennemu bowiem roztrząśnięciu spraw zawikłanych, trzeba spokoju, trzeba tysiącznych warunków bezstronności, a z tych naczelnym jest, aby rehabilitacya podobna nie schlebiała w niczém namiętnym pociągom chwili, w któréj się odbywa. Pokolenie naprzykład dzisiejsze, samo

miotane najsprzeczniejszemi ostatecznościami, stojące nad bezdenną przepaścią, nie ma, nie może mieść dość swobody i umiarkowania, by ważyć, oceniać, starannie rozgraniczać błędy od zalet, i wypadkową jako ostateczne wyroki światu ogłaszać. Nadto, dziś każda praca winna mieć wyraźną pobudkę, cel i zastosowanie do obecności. Brak nam czasu by z fantazyi plądrować po czyscu literackim. Już mieliśmy aż nadto dyletantyzmu w tym względzie. On to po większéj części sprawił to zamięszanie w literaturze, które eklektyzm zrządził w sferze pojęć moralnych i religijnych. Przeciw obu jedyne lekarstwo leży w przekonaniu, że obecnie wszystko jest szkodliwém, co złamaną, poszczerbioną prawdę przedstawia, co nęci już i tak rozpuszczone umysły w grę sofizmatów i w labirynty niedocieczonych zadań, co wreście mnoży wątpliwości i niepokoje, puszczając w obieg obosieczne zdania, zarówno dobremu i złemu przydatne, wywodząc na jaw postacie więcéj zręcznością i dowcipem, jak moralną wielkością zalecone, zgoła zapędzając się w najkrętsze i najtajniejsze manowce historyi, by uczyć współczesnych: quid homines facere soleant, non quid debeant.

Inaczéj sądzi pan L. S., który niedawno co wydał pismo pod tytułem: *Machiavelli i jego system polityczny, z dodaniem aforyzmów* (Lipsk, nakładem J. A. Kitlera). Przyznaje on zaraz na wstępie, że Machiavel był najpierwszym i największym z nauczycieli absolutyzmu, że był owocem wylęgłym z zepsucia się politycznych i towarzyskich stosunków Italii, że wreście najważniejsze jego dzieło, *Il Principe*, stało się kodeksem despotyzmu, w którym panujący czerpali sztukę politycznego przeniewierstwa i fałszu. A przecież, party jakąś dziwną fantazyą i dyletantyzmem, daje pochlebny rys jego dzieł i żywota, rzuca pełno wątpliwości, nierozwięzując żadnéj, dołącza szereg aforyzmów, częścią dwuznacznych, częścią wręcz niegodziwych, jednėm słowem, usiłuje zwrócić zajęcie i ciekawość publiczną ku człowiekowi, którego oblicze w galeryi wizerunków historycznych, jeźli kiedy to dziś, wypadałoby pokryć najgrubszą zasłoną. Niechaj się każdy obejrzy w koło siebie i zapyta, ażali jest to pora stawiać na świeczniku pisarza, który, chociażby zkądinąd księgi jego były samą mądrością, miał czy niecność czy nieszczęście następujące wyrzec zdania:

Okrucieństwa, które panujący popełnia dla ubezpieczenia własnego, godziwemi są (bene usate).

Lepiéj jest dla monarchy, gdy go się poddani boją, jak gdy go kochają (è molto più sicuro l'esser temuto che amato).

Panującemu trzeba być razem lisem i lwem.

Roztropny monarcha nie może i nie powinien dotrzymywać słowa, jeżliby dotrzymanie słowa miało być z jego szkodą, i gdy powody, które go skłoniły do przyrzeczeń, nie istnieją więcéj.

Nigdy monarsze nie zabraknie prawnych powodów (cagioni legittime) by swe wiarołomstwo ubarwić.

Prędzéj ten zawsze doszedł do końca, który lepiéj umiał być lisem. Lecz ku temu koniecznem jest, by zdołał dobrze ubarwić tę naturę lisią, i być wielkim zwodzicielem i hipokrytą (simulatore e dissimulatore); ludzie bowiem są tak prostoduszni i tak skorzy do ulegania konieczności obecnéj, że oszust zawsze znajdzie takich, co się oszukać dadzą dobrowolnie.

Rząd może wybuchnięciu spisku przeszkodzić, podsuwając sprzysiężonym pozorną sposobność do wybuchu; tym sposobem ma czas pojmać spiskowych i ukarać ich.

Trwała republika dotąd się nie da utworzyć, dopóki cała szlachta wyniszczoną nie będzie.

Najtrudniéj panować w zabranych krajach, zwłaszcza tych, w których odmienny język, zwyczaj i obyczaj. Najlepszy na to sposób, skoro panujący nie rezyduje w takiéj prowincyi, aby w wielu miejscach będących kluczem do tego kraju, poosadzał kolonistów i mocne załogi wojskowe zostawił.

Jeżeli monarcha nabywa jaką prowincyą i chce ją z dziedzicznemi państwami zlać w jedno, nie pozostaje mu jak broń odjąć mieszkańcom, wyjąwszy tych, którzy nowemu panu dawniéj okazywali przychylność; ale i tych trzeba osłabić, aby główne znaleźć oparcie na własnym żołnierzu.

Aby się zdobywca na pewne utrzymał w kraju, który miał swoje swobody, powinien go spustoszyć do szczętu.

W zabranych krajach monarcha powinien być hojnym i rozrzutnym, jeźli jest pewnym swego żołnierza. Hojność ta przecież ma być kosztem prowinnyi zajęséj, a nie własnego państwa.

Otóż pytamy, na co się zdać może odświeżanie tych i tym podobnych prawideł? Jakiż w tém zamiar? Czy ironia, aby okazać jak doskonale po dziś dzień takowe przepisy praktykowanemi bywają? Czy nadzieja popchnięcia rządzących w przepaść zguby przez podżeganie ich ku ostatecznościom? A może chęć uczenia narodów czego się wystrzegać mają? Odpowiadamy: jeźli kiedy to dziś, ironia byłaby dziecinną igraszką, zamiar skompromitowania zwycięzców bezwładnym podstępem, a przestroga dla uciśnionych bezpłodném natręctwem. Wszystkie te trzy powody wielekroć podsuwane były dla usprawiedliwienia Machiawela. Żaden nie wystarczył. Rozwiał się za pierwszém dotknięciem zdrowego rozsądku. Miałożby to posłużyć słabemu odbiciu i dalekiemu echu, co się wielkiemu pierwowzorowi na nic nie przydało? Niepodobna ani na chwilę przypuścić. Pan L. S. nie miał, nie mógł mieć podobnych pobudek. Gdyby tak ambitnie sięgał, byłby swą pracę oryginalniejszym, staranniejszym wzbogacił wykładem. Sama dorywczość téj pracy daje jéj uniewinnienie. Nie oskarzamy go przeto o jakikolwiek zamiar wyraźnie i głęboko powzięty, ale śledzimy nieostrożne rozbiegi, lekkomyślne zachcenia, mimowolnie i bezwiedne pojawy fałszu, który już się wkrada w duszę narodową, i po za którym coraz zuchwalsi podnoszą się kusiciele. Od ćwierć wieku wtargnęła chyłkiem w czystość i zacność usiłowań polskich niejaka skłonność ku przybraniu w pomoc przebiegłości politycznéj. Wallenrodyzm pierwszym był onéj pojawem. Naród olśniony geniuszem wielkiego poety ani domyślał się jaki pierwiastek krwie swojéj przyswaja. Gdyby kto był wtedy nazwał to machiawelizmem, powstałoby tysiące głosów oburzenia. Nikt nie posądzał aby jakikolwiek związek między jednym a drugim zachodził. Na tysiące uwielbiających czytelników żaden nie pytał, zkąd owa bezimiennie nad Wallenrodem położona dewiza: *bisogna essere volpe e leone.* Odmienna nazwa ułatwiała przystęp złemu, które pod rodzinném swém mianem znalazłoby wszystkie bramy zawarte. W saméj istocie rzeczy była różnica, ale różnica na gorsze. Chytry Florentczyk przekładał tym, których natura najczęściéj jest lisią, iż trzeba być lwem po połowie. Zacny wieszcz polski (bo Wallenroda kładziemy zawsze na karb jedynie nierozważnego popędu) nieświadomie uczył tych, których natura zawsze lwią była, iż z konieczności można być lisem po trosze. Złe było o tyle większém, o ile naród jest i powinien być doskonalszą istotą, jak indiwidua choćby najwyżéj postawione. Nikczemny lub okrutny monarcha zgubić cnotliwego narodu nie może. Najpotężniejszy naród upaść musi, skoro odstąpi prostych dróg moralności. Uwodzenie więc narodów

w stronę przewrotności, nieskończenie jest występniejszém od uwodzenia monarchów. U nas przecież to kusicielstwo coraz bardziéj się wzmagało po upadku rewolucyi 1831. roku. Przychodziło z różnych stron, pod najrozmaitszemi formami. Imała się go partya ruchu, chcąc gwałtem byle jakie powstanie wywołać. Ubierali go w systemat jednający Polskę z Rossyą, przenaturzeni pisarze z pod zaboru moskiewskiego. Każda nowa klęska przymnażała mu zwolenników pomiędzy zniechęconymi, zniecierpliwionymi ciągłém ojczyzny niepowodzeniem. Nawet niektóre z najwznioślejszych umysłów dały się uwieść pokusie. Po wypadkach 1846. roku nieszczęsna ta skłonność wezbrała i wybuchła w tyle głośnym liście szlachcica polskiego do ks. Metternicha, a wraz z rozbiciem się nadziei zapowiedzianych początkiem roku 1848., jęła już przybierać rozmiary i powagę szkoły politycznéj. Ogół narodu nie da się tak łatwo skazić, przegiąć w odmienne pojęcia. Ogół też polski właściwym sobie instynktem odpycha dotąd wszystkie te ponęty. Odpycha je, jak ktoś dobrze powiedział, milczącym dreszczem przeczenia. Szkoda jednak gubiących się wyjątków, tém bardziéj że one pojawiają się w pierwszych szeregach umysłowości polskiéj. Iluż to bowiem dziś już można spotkać takich, którzy losom ojczyzny stawiają jakieś subtelne rachuby, sztuczne kombinacye, arcy-umiejętne formułki. Nie wiedzą niebaczni, iż w grze téj z przewrotnością ciemiężców, narody znalazłyby się jako dzieci z mistrzami. Ostateczny wypadek byłby gorzéj niż śmiercią, bo samobójstwem. Nie żadnym dualizmem, ani oszukiwaniem oszukujących, ani podkopywaniem podkopujących, ale świętością uczuć, uczciwością środków, czystością sumień, podnoszą się narody z ciężkich upadków. Dla ofiar podstępu i zbrodni, jedyną logiką jest logika niepokalanéj wiary i cnoty.

Z tych przyczyn myślimy, iż pan L. S. pomylił się w wyborze przedmiotu. Praca jego jeźli pozostanie nieszkodliwą, to dla tego tylko, że jest tak mało znaczącą. W każdym razie, spodziewać się należy, iż po głębokim namyśle, każe on ustąpić próżności autora przed prawością Polaka, i że cieszyć się będzie, jeźli pismo jego żadnego wrażenia nie wywrze. [1])

---

[1]) Praca ta, z wyjątkiem aforyzmów, znaną już nam była z Dodatku Literackiego do *Czasu*. Dziennik *Czas* często był oskarżanym o hołdowanie zręczności i jakiemuś subtelnemu taktowi politycznemu. Mieliśmy już sposobność powiedzieć, jak niesprawiedliwym ten zarzut nam się wydaje, i że jeźli są jakie ślady w tym dzienniku niejakiéj skłonności ku wytwornościom politycznym, to te leżą w formie, w zachceniach stylu mistrzostwa doktrynerskiego, nie zaś w istocie rzeczy. Wyznać jednak musimy, iż *Czas* przyjął dziwny sposób odporu przeciw podobnym zarzutom, podnosząc Machiawela i dzieła jego z zasłużonéj niepamięci. Nam się wydaje iż skwapliwość ta nie przystała wiekowi naszemu, mniéj Polsce jak innym krajom, a najmniéj pismu wydawanemu pod rządem austryackim. Godzi się nie uważać na krzyki i obelgi przesądów brukowych, szlachetném jest dla prawdy cierpieć niepopularność, ale znowu nie należy jakby przez upór i dla igraszki drażnić uczuć publicznych. Pytamy raz jeszcze, jaka konieczność wymagała téj wycieczki na zagadkowe pole przeszłości, jaki pożytek w obecnym czasie mógł być z niéj spodziewanym? Pan L. S. musiał mieć ważne do swéj pracy pobudki, kiedy ją w rok po umieszczeniu w *Czasie*, osobném wydaniem rozpowszechnia, i ta to uporczywość głównie naszych uwag jest powodem. Pan L. S. napisał przedmowę, ale się w niéj niejasno z swych pobudek tłómaczy. Powiada, iż w Niemczech zajęto się dziś nadzwyczajnie Machiawelem, i mnóstwo dzieł napisano o jego systemacie. Myśleliśmy iż, zwłaszcza z rokiem 1848., przeszły niepowrotnie te czasy, w których Polacy oglądali się na to co robią Niemcy, i dawali się im

Odsuwając z przed oczu pismo pana L. S., czujemy, iż nam się nie godzi z równym pospiechem porzucać poruszonego przezeń przedmiotu. Powołanie nasze nie dozwala nam wyboru. Skoro nam zajdzie drogę jaka znakomita postać historyczna, zwłaszcza ręką polską prowadzona, nie wolno nam powiedzieć, jak Virgili Dantemu: Guarda e passa. Inaczéj, wystawialibyśmy się na posądzenie, iż pomijamy lub pobieżnie zbywamy drażliwe albo niepopularne kwestye, z obawy, by naszych zasad w obmowę nie podać. Poczuwamy się przeto do obowiązku obszerniéj zdanie o Machiawelu wynurzyć, przynajmniéj w tych względach, które mogą mieć styczność z naszemi czasami i krajem naszym.

I.

Stało się to już niejako pewnikiem, iż ludzi sądzić nie należy wedle niezmiennéj skali moralności, ale podług czasu i spółeczeństwa, w którem żyli. Ztąd poszło, że aby kogo uniewinnić, dość powiedzieć, iż był synem swego wieku. Obrony téj, którą zarówno można usprawiedliwić wszystkie sprosności Heliogabala jak wszystkie okrucieństwa Iwana Groźnego, nadużyto na korzyść Machiawela. Przebaczono mu bezeceństwa w komedyi *Mandragola* zawarte, przez wzgląd, iż był współczesnym Lukrecyi Borgia. Nienawiść jego przeciw kościołowi, naśmiewanie

niewolniczo pociągać we wszystkie niepłodne przedsięwzięcia w dziedzinie naukowéj. Dziś już poszła w przysłowie niestosowność zajęć umysłowych, między uczonymi niemieckimi, z potrzebami życia publicznego, dysharmonia świata wewnętrznego z zewnętrznym. Ktoby o tém wątpił, niech przeczyta porównanie narodu niemieckiego z Hamletem, które tak dzielnie Gerwinus skreślił. Autor daléj wyznaje, iż jego zdaniem pisma Machiawela wiele wspólnego mają z Biblią, a to z téj miary, iż każdy może znaleść w nich naukę przypadającą mu do smaku. Pomijamy nieuszanowanie dla Biblii, z któréj przecież nikt jeszcze nie wywiódł, iż można oszukiwać, zdradzać, zabijać; ale przypominamy, że jeżeli znajdują się w niéj ustępy podległe dwustronnemu tłómaczeniu, to na straży rzeczywistego ich znaczenia, stoi nieustanna, żyjąca, nieomylna powaga, a podobnéj nikt dotąd nie postanowił dla dzieł Machiawela. W końcu autor, przytoczywszy iż żadne z tych dzieł nie przeszło w tłómaczenie polskie, że Machiawela uważano u nas zawsze jako bluźniercę cnoty, bo słuchano raczéj popędu i natchnienia serca jak politycznéj rachuby, że wreszcie dwa tylko pisma o nim napotykają się w literaturze naszéj (to jest: 1. *Cnoty cel nie ów, do którego zmierza Machiawell i inni w Akademyi onegoż promowowani politycy, odkryty piórem polskiém przez Chryzostoma z Piekar Piekarskiego, Podkomorzego Brzeskiego,* 1662.; 2. *Rozprawa o Pismach Machiawela w Pamiętniku Warszawskim na rok* 1818, *przez Stanisława Potockiego)*, zdaje się pracy swojéj nakreślać przeznaczenie zastąpienia tego niedostatku i niepojętéj mu obojętności w piśmiennictwie ojczystém. Lubo dla wyżéj wyłuszczonych powodów nie możemy ani uznać stosowności téj pracy w czasie obecnym, ani odstąpić od przekonania przodków, że Machiawel był bluźniercą cnoty, przecież mniemamy, że kiedy niepomiarkowany dyletantyzm popchnął już raz autora w to przedsięwzięcie, to trzeba było podjąć cokolwiek więcéj trudu około pisarza, o którym tyle grubych dzieł już ułożono. Tymczasem broszura niniejsza jest tylko pobieżnym feletonem, skreślonym na effekt, bez jasności w wykładzie, bez należytego rozmiaru wedle ważności wypadków, bez koniecznego komentarza obok czynów i zasad najwątpliwszéj moralności. Brak nawet w wielu miejscach niezbędnéj historycznéj dokładności. Są przytém pocieszne pomyłki. Autor naprzykład mówi: »Cezar Borgia, późniéj zwany księciem Walentyno, z powodu arcybiskupstwa »Walenckiego, które mu ojciec jego, papież Alexander VI. przekazał.« Cezar Borgia nie nazywał się Walentyno, ale Valentinois, od księstwa Valentinois w Dauphiné, którym to tytułem Ludwik XII. go udarzył.

się z zakonów, szyderstwo z wiary i bogobojności, osłoniono uwagą, że już Luter nadchodził. Jedni czerpią nieprzeparty dowód jego niewinności w zaufaniu współobywateli, którzy jak wieść niesie, nie to mieli mu za złe, że dla absolutyzmu kodeks przeniewierstwa i fałszu napisał, ale że znienawidzonemu Medyceuszowi dedykował. Drugich bynajmniéj nie zadziwia łatwość i ochoczość, z jaką ambassador florentski stawia za prawidło, iż wszelki sposób jest godziwym, byle zgładzić nieprzyjaciela, bo sobie przypominają, że prawie był świadkiem wymordowania Vitellich i Orsinich. Niemal dla wszystkich pewność historyczna, że istniał podobnie krwawy i ohydny potwór jak Cezar Borgia, wystarcza by dać rozgrzeszenie temu, który z nim obcował, podziwiał go, zwał prudente e virtuoso uomo, stawiał za wzór panującym, za naczelny przykład swéj teoryi, i długo jeszcze po jego upadku, bo w 1514. r., sławił sobie jako męża, l'opere del quale io imiterei sempre quando fossi principe nuovo.

Gdyby podobny tryb oceniania charakterów historycznych przemógł, śmiało można powiedzieć, iż czytanie historyi obróciłoby się w większą szkodę jak pożytek. Nie byłoby ani winy, ani zasługi. Człowiek byłby istotą fatalnie zapartą w błędy swego wieku, i nie wyróżniałby się od pospolitego tłumu, tylko większą zręcznością obracania tych błędów ku swemu wyniesieniu. Rozum, wiara, uczucie, stałyby się marnemi darami, bo nie mogłyby ani przeniknąć po za chwilę obecną, ani wyzwolić się z więzów czasową skłonnością narodu nałożonych. Zamierzchłoby nad światem prawo Boże, które, lubo nie zawsze jednakowo zrozumiane i uznane przez ludzi, sprawuje przecież ostateczne sądy wszystkim wiekom, — a każda osobna epoka wynosiłaby swe pochopy, urojenia i wymysły do rzędu prawd absolutnych. I ziściłaby się w końcu przepowiedzenia: Dabo vobis coelum sicut ferreum desuper.

Zaprzecyć nie można, iż każdy człowiek musi odbijać w sobie koloryt wieku swojego. Świętym tylko daną jest jednaka anielska białość. Mąż przeszłości, choćby najznakomitszy, okazuje się nam zawsze w spolaryzowaném świetle swéj epoki. Atoli o tyle tylko on jest wielkim, o tyle godnym czci i posłuchania u potomnych, o ile albo przewodniczył szlachetnym instynktom, albo odnosząc się do prawdy bezwzględnéj stawiał opór zdrożnościom swych współczesnych. Tém zaś będzie on chwalebniejszym i potężniejszym, im bliżéj wedle niebiańskich szlaków odwiecznéj moralności żywot swój prostował, a unikał zagięć i skrętów, gór i padołów ziemskiéj ułomności. Nawet pospolita mowa nie ma zwyklejszéj pochwały, jak że mąż jaki ponad wiek swój przerósł. Jeszcze człowiek czynu może dla zboczeń swoich znaleść niejaką wymówkę, w nagłości postanowień, gmatwaninie wypadków, wybuchach namiętności. Nie tak rzecz się ma z mistrzami słowa, którzy biorą na się posłannictwo nauczycieli narodów. Tych nic nie nagli, nic im nie mięsza spokoju, drogi do prawdy wiecznéj stoją dla nich zawsze otworem, zawsze wznieść się oni mogą na wysokość, kędy ziemia zamierzcha, a oblicze nieba w całéj widne rozciągłości. Powinni oni wiedzieć, i najczęściéj wiedzą dobrze, że nie urząd ziemski, ale sprawiedliwość Bożą zastępują. Ich téż odpowiedzialność przed potomnością daleko jest rozleglejszą. Zbrodnia kończy się wraz z dokonaniam swojém, kończy się na pojedynczym wypadku. Jeźli złym przykładem zachęci kogo do naśladownictwa, to wnet znajdzie się kara, która przetnie dalszy bieg jéj wpływu. Usprawiedliwienie zaś zbrodni jest jéj przedłużeniem po wszy-

stkie czasy. Ztąd zawsze łacnićj przebaczonym zostanie zły czyn, jak teorya na nim zbudowana, a nawet najczarniejsza zbrodnia mniéj ohydną wydawać się będzie, jak sofizm z niéj wyciągnięty.

Niewątpliwie koniec piętnastego stulecia, a początek szesnastego, był czasem najohydniejszego zepsucia. Wszędzie na dworach panowała zaraza rozwiozłości cielesnéj i duchowéj. Ale z drugiéj strony utrzymywać nie wolno, iżby wszelki zmysł uczciwości zatraconym został. Sądzono już i wtedy Machiawela, i sądsono dość niepochlebnie. Nawet między ludźmi lóźnych obyczajów i pojęć, powstawały przeciw niemu donośne głosy. Książęta posługiwali się podstępem i matactwem, ale brzydzili się tym, który śmiał ich wręcz tego kunsztu nauczać. Medyceuszowie pogardzili nim, choć się płaszczył przed nimi, wpraszał do urzędu, błagał o służbę, obiecywał być wdzięcznym, nawet gdy mu dozwolą kamienie obracać (voltolare un sasso). Lud nie chciał mu już późniéj powierzyć napowrót sekretarstwa przy radzie Dziesięciu. Napróżno Machiawel ofiarował zniszczyć swe nieszczęśliwe dzieło *Il Principe*. Każdy się go bał, nikt już w nim ufności nie pokładał. Oto co w tym względzie mówi Varchi: »Przyczyna niezmiernéj nienawi»ści, którą był ścigany powszechnie, leżała nie tylko w tém, że był rozwiozłym »w mowie, nieprzyzwoitym i nieuczciwym w życiu, ale że napisał dzieło *Il Prin»cipe*, które dedykował Lorenzowi, synowi Piotra, a wnukowi Lorenza, pobu»dzając go do pochwycenia władzy despotycznéj we Florencyi. W dziele tém (pra»wdziwie bezbożném, które niedość potępiać, ale należałoby zniszczyć, jako sam »chciał uczynić po rewolucyi, nim jeszcze wydrukowaném zostało), uczył on jak »wydzierać majątki bogatym, honor ubogim, a wolność i tym i tamtym. I stało »się, że z jego śmierci i źli i dobrzy cieszyli się: dobrzy, bo wiedzieli jak był »niecnym, — źli, bo znali, że nie tylko był przewrotniejszym, ale i zdolniejszym »od nich.« Guicciardiniego nikt nie posądzi o zbytni rygoryzm. Jego zasady w polityce wielce się zbliżają do zasad Machiawela. Był przytém jego osobistym przyjacielem, współ-urzędnikiem, współ-dyplomatą, współ-historykiem. A przecież tak w jednym liście pisze do niego: »Ponieważ byłeś zawsze, *ut plurimum*, wyobra»żeń przesadzonych, w buncie przeciw pojęciom większości, wynalazcą systematów »nowych i niesłychanych etc.« Nie szczędzili mu więc przestróg, ani los osobisty, ani współczesne wypadki i ludzie. Zresztą każdy chrześcian, czy w istocie czy z imienia, stoi nad strumieniem prawdy, który przesądy i narowy wieku zwęzić mogą, ale nigdy ani zatamować, ani zakryć zupełnie nie zdołają. Gdyby Machiawel był tylko układnym podchlebcą, płochym zalotnikiem, autorem erotycznych pieśni i bezwstydnych komedyi, przekupującym i przekupywanym dyplomatą, intrygantem bez honoru i odwagi osobistéj, wszystko to położyćby można na karb wychowania i otaczającéj go choroby wieku. Ale że śmiał zniechęcać ludzi od cnoty, godzić ich z zbrodnią, usuwać Boga i jego opatrzność ze świata, puszczać losy narodów na ślepe igrzysko przemocy i fałszu, tego żadne czasy, żadne zepsucie społeczeństwa, nie usprawiedliwią. Nad niższą bowiem warstwą moralności, która rozwijając się, podlega przemianom i oscylacyom, panują prawdy niewzruszone, tkwiące głęboko, i jasno wypisane w sumieniu ludzkiém. Tamte przymioty, łamiąc się, jako promienie po kończynach powierzchni rozpierzchnione, wedle czrsu i okoliczności, tworzą polaryzacyą, w któréj otoku niemal każdy wizerunek z przeszłości występuje. Prawdy zaś stałe, wiekuiste, są sa-

memże nieprzemiennėm światłem. Stary zakon wyrył je jako przykazania boże, Nowy, dał im uświęcenie i rozwinięcie. Wzrastały już one i rozkwitały w cywilizacyi pogańskiéj. Na końcu epoki największego zepsucia w Rzymie zjawił się Tacyt, w którego dziełach odbił się najwymowniéj głos ludzkiego sumienia i rzucił potępienie zbrodniom i nikczemności współczesnych. W pośród równie ohydnéj ery w nowożytnych Włoszech powstaje Machiawel, usprawiedliwia jéj występki, uświęca wszystko to co poganin potępił. Już to jedno porównanie jest strasznym wyrokiem dla Machiawela, jako chrześcianina i jako człowieka, i odsądza go od odwoływania się po obronę do skażenia współczesnéj epoki.

Przypuśćmy jednak iż zepsucie wieku usprawiedliwia wykroczenia ludzi wyższą obdarzonych zdolnością, którzy mając siłę wznieść się nad to zepsucie, chętnie w niém się nurzają, i urokiem genjuszu, ponętami sztuki, organiczną układnością systematów, uprawniają je i rozszerzają, ciągnąc w otchłań coraz liczniejsze rzesze, i zostawiając po sobie tylko przestrogę, że *corruptio optimi pessima.* Wtedy nawet byłoby jeszcze do okazania, ze nie pojmowali żadnéj prawdy wyższéj, że strętwione serce nigdy się nie dopominało u nich o swe prawa, że zaćmione sumienie nie przypominało im nigdy różnicy między złem a dobrem.

Każda prawie stronnica dzieł Machiawela dowodzi, iż znał dobrze co cnota. Unosił się dla jéj blasku, korzył przed jéj majestatem. Co chwiła, tuż obok zaleceń fałszu i okrucieństwa, uroczystą objawia on część dla prawości i dobroci. *Jeźli złe dobrém nazwać się godzi* (se del male è lecito dire bene), — oto układny sposób wprowadzania sporu, w którym najczęściéj złemu zwycięztwo oddaje. Czytaj, — a jedno zdanie zda ci się być wyjętém z sielankowych uniesień młodzińca dla cnoty i wolności, drugie tuż w sąsiedztwie nie ustępuje w niczém takiemu, jakieby zaledwie Sejan Tyberyuszowi, lub książe Alby Filipowi II. odważył się zalecać. Raz unosi się nad wspaniomyślnością Scipiona, nad ludzkością Valeryusza Corvina, nad ubóstwem i skromnością Cincinata, drugi raz chwali srogość Manljusa, i uwielbia Romula, że zgładził brata. Tu kładzie jako nieugięte prawidło, iż powinnością panującego jest utrzymywać się przy władzy wszystkiemi bez wyboru sposobami (o per forza o per fraude), — tam nagle wpada w cnotliwy zapał, i upomina, że lepiéj odstąpić berła, niż być królem z niedolą poddanych (piuttosto vivere privato, che Re con tanta rovina degli uomini.) Ledwieśmy na jednéj karcie przeczytali, że pożyteczniéj zabić od razu nić grozić karą, bo kto zabity, już się mścić nie może (perchè chi è morto non può pensare alla vendeta), — aliści gdzieindziéj znajdujemy, jak haniebną jest rzeczą mordować obywateli, zdradzać przyjaciół, być bez wiary, bez litości, bez religii, (ammazzare li suoi cittadini, tradire gli amici, essere senza fede, senza pietà, senza Religione). Na pierwszy rzut oka, wszystko zdaje się jakby od humoru, od chwilowego popędu, często nawet od téj drobnéj okoliczności zależało, czy wierszem czy prozą pisze. Tenże sam Cezar Borgia, który jest dlań ideałem mądrości w dziełach spokojnie, z rozwagą, z całą uroczystością prozy historycznéj układanych, staje się niespodzianie przedmiotem srogiéj chłosty w *Decennalach* wierszem na wzór Dantego współczesne wypadki opisujących. Słowem, w różnobarwnéj téj osnowie, na każdy wyraz podłości znajdziesz uniesienie dla cnoty, na każdą pochwałę zdrady wymowną pobudkę do prawości, przebiegłość obok prostoty, okrucieństwo obok czułości, szatana obok anioła. Lecz hołd dla cnoty jest tu tylko

igraszką, złudzeniem, artystycznym przyborem, teatralną pozą. Cnota odbiera cześć w imieniu, zbrodnia w istocie. Jako w dzisiejszych romansach francuzkich, cnota jest tu ckliwą, zwietrzałą, niepożyteczną, *stale, flat and unprofitable*, jak mówi Szekspir), szychem dla połysku, cechą pospolitéj mierności; — występek zaś ponętnym, genjalnym, wyższych usposobień znamieniem. Skoro wykrętny ten pisarz wpada w szumne uwielbienie dla zacności, bądź pewien, iż występek stoi na zasadzce. Jest on jako bandyta włoski, który właśnie wtedy gdy ma niecność popełnić, wrzkomo najgoręcéj się modli, najhojniejsze na ołtarzu składa ofiary. Nigdy prawie niema walki, szlachetne natchnienie jakby skrupuł niedołęztwa zawsze ustępuje pokusie złego, stojącego na wyniesieniu okazałéj potęgi. Jeźli zachodzi jaka wątpliwość, wahanie się, to jakby jedynie dla okazania, iż sumienie jest przytomném, a wybór był wolnym. Zdaje się, jak gdyby zbrodnia nie miała dość roskoszy, gdyby jéj służebnica cnota nie dodawała wciąż zaostrzającéj przyprawy, i jakby tryumf pierwszéj nie mógł być dostatecznym bez prowadzenia jeńcem drugiéj przy tryumfalnym wozie. To pozorne pasowanie się ze złem, to wahanie się obok żądzy i pewności ustąpienia złemu, najlepiéj sam autor odmalował w bohaterze *Mandragoli*. Przed popełnieniem niecnego zamiaru Callimaco tak rozumuje: »Tyle razy usiłuję zwyciężyć siebie, ganię się za ten szał, i pytam »siebie: co czynisz? czyś oszalał? Gdy zamiaru dopniesz, cóż się stanie? Poznasz »swój błąd i pożałujesz wszystkich trudów i myśli. Czyż nie wiesz jak mało czło»wiek w rzeczach, których pożądał, znajduje z tego, co sobie wprzód przed »osiągnięciem wyobrażał. Z drugiéj strony, najgorsze co mnie spotkać może, jest »śmierć — i piekło. A przecież tylu już przedemną umarło, tylu dobrych ludzi »poszło do piekła.«

Nikt przeto utrzymywać nie może, iżby Machiawel nie miał równie bystrego pojęcia co jest godziwém, a co nie. Czémże wytłómaczyć te sprzeczności? Płochością, słabością charakteru, interesem, czy jakiémś dziwném skrzywieniem umysłu lub skażeniem serca? Po tylu bezowocnych badaniach i rozprawach, byłoby zarozumiałością podawać za niezawodne jakiekolwiek rozwiązanie téj zagadki, chcieć wytłómaczyć jedną okolicznością, jedną przywarą, to co było skutkiem tylu powikłanych wypadków i wszystkich zarazem słabości. Organizm wewnętrzny Machiawela był zupełnie zepsutym, bez żadnego oparcia, bez żadnéj podstawy moralnéj i religijnéj. Został mu tylko, co jest najstraszniejszym stanem w człowieku, geniusz i wola. Nie chodzi nam przeto o szczegółowy rozkład tego zwichniętego organizmu, lecz ponieważ nadarzyła się sposobność, obowiązkiem jest naszym zwrócić uwagę, jak wiele dziś charakterów, z podobnychże przyczyn rozprzężenia moralnego, podobne przedstawia fenomena i na podobny naraża się upadek.

II.

Jedném z wybitniejszych znamion dzisiejszego wieku jest niezawodnie niepohamowana żądza znaczenia. Zaszczepiła tę gorączkę rewolucya francuzka, która wywiodła tylu ludzi z najniższego steku do steru i panowania nad drugimi. Utrzymywano, że dawniejsze stopniowanie i hierarchia społeczeństwa wydobywać się na wierzch zasłudze nie dozwalała. Dziś, przy tak łatwym przystępie do władzy, w cisnącym się tłumie współzawodników, zasługę zawsze prawie ubie-

gnie zuchwalstwo i przewrotność. Każdy powtarza z Lamartinem: *tout homme est petit quand une epoque est grande*, ale każdy, jak tenże Lamartine, chciałby epokę swojém ochrzcić imieniem. Nic to dziwnego w czasach, w których jeden dzień, jedno namiętne słowo, często jeden giest, junactwo w postawie, jaskrawość w ubiorze, wynosi wyrobników na ministrów, a studentów na jenerałów. Zawsze coś szlachetnego jest w każdéj ambicyi, byle przynajmniéj do szczerości w zamiarze łączyła się stałość w postępowaniu i nieugiętość w zasadach. Ale chciwość znaczenia nie dozwala niejednemu czekać na zwycięztwo wyznawanych przezeń opinii. Byle się wynieść, wchodzi on w sojusz z wczorajszymi nieprzyjaciołmi, zgadza się łatwo z koniecznością, szalbierzy sumieniem. Ma na każdy przypadek wymówkę, ma gotową formulę by przy każdéj zmianie i cało się uchować, i roniąc łzy za zwyciężonymi, stać się niezbędnym dla zwycięzców. Mówi on z tymże Lamartinem: serce moje do przeszłości należy, intelligencya do przyszłości. Jeźli nowy porządek rzeczy utrzyma się, powie on, że w sprawach dobra publicznego trzeba umieć uczucie przytłumić, a tylko rozumem się rządzić. Jeźli dawny powróci, zaspokoi się czułém wyznaniem, iż koniec końców zawsze serce przemaga i najpewniejszym jest przewodnikiem. Gotów on każdemu służyć, bo się przedewszystkiém boi zapomnienia i ubóstwa. Przystanie nawet, by obracać u nowego pana kamienie, byle się tylko wcisnąć do przedsionku, bo wie że raz za progiem, już się daléj sam do salonu pokieruje. Całą jego trwogą jest trwoga Machiawela by nie popaść w niedostatek, a przez niedostatek w pogardę światową, che io non diventi per poverta contemnendo. Nowemu panu, umie się zalecić wiernością dla dawnego, della fede mia non si devrebbe dubitare, perche avendo sempre observato la fede, io non debbo imparare ora a romperla. Z równą łatwością każdemu rządowi przysięga. Wielość poprzednich przysiąg stawia za rękojmię ostatniéj, chi è stato fedele quaranta tre anni, non debbe poter mutar natura. Natura też podobnego człowieka w niczém się nie zmienia. Pod różnemi znakami zawsze jest ten sam, sługą konieczności, lubownikiem intrygi, wielbicielem wygody, bałwochwalcą znaczenia.

Równie uderzającą cechą teraźniejszości jest dualizm. Nie mówimy tu jeszcze o hipokryzyi, ale o téj jawnéj lekkomyślności, która dozwala człowiekowi być innym w kole przyjaciół, a innym publicznie, stawiać się inaczéj w obec swych towarzyszów, a znowu inaczéj przed pospolitą rzeszą. Iluż to dziś nie ma sobie za najmniejszą hańbę ani za uszczerbek imieniowi, pomiatać rygoryzmem w cnocie, skromnością, ubóstwem, świętością małżeństw; ale zobacz ich w zgromadzeniu publiczném lub przeczytaj ich pisma, a zda ci się że masz przed sobą Katonów lub jakich świętych chrześciańskich. Mówią o wolności, a są iście despotami, mówią o równości, a sami pełni pychy i pogardy dla drugich, mówią o braterstwie, a w każdym stosunku z ludem, wyjąwszy na placu publicznym, nie mają ani miłości, ani nawet łagodnego wyrozumienia. Ci co zalecają prostotę republikancką, co sławią spartańską polewkę, nie sąż najczęściéj trefnisiami i sybarytami? Cóż dopiero mówić o religii? Ten co ma wiarę za skutek ciemnoty, a kapłanów za oszukańców, chodzi do kościoła, klęka i bije się w piersi, ilekroć tego własny jego interes wymaga. Ów, co całe swe życie strawił na szydzeniu z katolicyzmu, wzywa całą litanią świętych, kiedy przychodzi mu przemawiać do wierzącego ludu, lub zapalać go do boju. Spytaj go na uboczu, a wyzna ci

od razu, że tylko komedyą odgrywał. Zwią to pospolicie szarlataneryą, ale przed szczęśliwym szarlatanem mało kto nie ugnie swych kolan. Za wymówkę służy prawidło, że trzeba przesądy szanować, że ciemnota jest także potęgą, byle tylko dobrze jéj użyć. Tacy znajdą wzór doskonały w Machiawelu, znajdą w jego dziełach podostatkiem aforyzmów, które podobny dualizm najwymowniéj usprawiedliwią. Weźmy jeden szczegół z jego życia. Właśnie wtedy, gdy pogrążony w rozwiozłości spędzał noce na ucztowaniu i rozpuście, miał zwyczaj uczęszczać na zgromadzenia bractw pobożnych we Flosencyi. Miewał na nich przemowy pełne pokory i religijnego namaszczenia. Razu jeonego wziąwszy za tekst *De profundis*, tak wzywał swych słuchaczów do pokuty: »Naśladujmy Św. Fran»ciszka i Św. Hieronima, którzy dla uskromienia ciała i dla uchronienia się od »pokus straszliwych, zadawali sobie męki, jeden tarzając się po cierniach, drugi »kalecząc swe piersi ostrym kamieniem. Nas pociągają lubieżne żądze, stoimy »w kole samych błędów, w ciasnych więzach grzechu, wpadliśmy w ręce sza»tana. Aby z nich się wydobyć, potrzeba nam co prędzéj poddać się pokucie, »i wołać z Dawidem: *Miserere mei Deus*, i płakać rzewnie z Piotrem Św.« Po takiém przemówieniu wychodził ze zgromudzenia i spieszył pod okna swéj kochanki, może z jedną z tych rozpustnych śpiewek, jak owa, która się poczyna od wyrazów: Apri all' amante le serrate porte. [1]) Któż nie widzi że Machiawel pod oknem kochanki był samym sobą, a w zgromadzeniu pobożnego bractwa był tylko aktorem. Między deklamatorami dzisiejszymi, iluż to podobnych mami swych słuchaczów, oszukuje świat, a w końcu samych siebie uwodzi!

Jest w piśmiennictwie odpowiednia powyższéj przywara, która dziś stała się prawie powszechną, a którą w braku osobnego wyrazu nazwiemy artystyzmem. Artysta, jakikolwiek weźmie przedmiot, stawia go w jak najlepszém swietle, urządza na effekt, ukrywa ułomności, a wszelką nadobność co najwydatniejszą czyni, sam sobie dowolnie taki punkt do zdjęcia rysunku obierając, jaki mu jest najdogodniejszym dla osłonienia wad a podniesienia piękności. Ów dworak, który swego jednookiego księcia zawsze z profilu od lepszéj strony malował, znajduje dziś licznych naśladowców w pisarzach wszelakiego rodzaju. Nie chodzi im o prawdę, tylko o wrażenie. Nie dbają o moralny pożytek, tylko o uderzenie imaginacyi. Złoczyńca, byle był zajmującym, zwłaszcza przez jaką nadzwyczajność, znajdzie u nich naczelne względy. Każda zbrodnia wydaje im się siłą, a siła dowodem wielkiéj duszy. Byronizm w poezyi o niewiele lat poprzedził Lamartinizm w historyi. Zapytano historyka Girondynów, jakimby sposobem zdołał jednocześnie uwielbiać monarchią i unosić się nad rzeczpospolitą, raz podnosić Ludwika XVI. i Maryą Antoninę do apoteozy, to znów idealizować Robespiera? Il ne s'agit que de changer le point de vue, odpowiedział. W tém to téż leży cała sztuka téj artystycznéj szkoły w dziejopisarstwie. Historya schodzi z swéj pogodnéj wyżyny, gdzie jak na skale stała niewzruszenie opartą na prawie mo-

[1]) Machiawel jeszcze w pięćdziesiątym roku życia swego ubiegał się za nikczemnemi miłostkami. Gdy doznawał ucisku i nędzy, jako w roku 1513., szukał w rozpuście zapomnienia, i tém samém piorem, którém kreślił najpoważniejsze swe dzieło, pisywał lisy najsromotniejszego zepsucia (Patrz listy z Stycznia i Lutego 1513.) Był on zawsze ulubieńcem hulackiéj młodzieży. Jeden z takich towarzyszów pisze do niego: »Odkąd porzuciłeś Florencyą, niema już mowy ani o grze, ani o innych figlach.«

ralném, zkąd obejmowała wzrokiem całą przestrzeń poziomu, wszystkie skręty i manowce, każdą wyniosłość i każdą dolinę, i stawa według upodobania gdzieś daleko na dole, kędy najczęściéj mgła fantastyczna albo zbyt powiększa przedmioty, albo niewyraźnemi je czyni, zkąd tylko to widać, co się chce spostrzedz, zkąd w najlepszym razie tylko jédnę stronę przedmiotu obaczyć można, i gdzie zawsze ten szczyt najwznioślejszy, który najbliższy. Tym trybem powołanie historyka zupełnie się zmienia. Z sędziego staje się stronniczym rzecznikiem, z moralisty wielbicielem każdego sukcessu, odstępcą poważnéj prawdy dla jaskrawéj malowniczości. Skoro przedstawia jakiego męża, nie pyta o zacność celu, o szlachetność pobudek, ale kłopocze się jedynie o to, czy użył wszystkich środków do dopięcia zamiaru. W słowniku téj szkoły nazywa się to identyfikowaniem się z charakterami opisywanych osób. Autor wnika całém jestestwem w swego bohatera, zespala się z jego żądzami, żyje jego namiętnością, odrzuca wszelkie prawo które mu na przeszkodzie stoi, przyjmuje wszelki środek, który go zbliża do celu. La vertu c'est de réussir. O resztę nie pyta. W przedstawieniu rzeczy rachuje on na tę słabość ludzką, którą łatwo porywa dramatyczna strona przedmiotu, unosi aż do zapomnienia wszystkiego, krom gorączkowéj żądzy, aby się napięty udał wypadek. Ileż to bowiem razy każdemu z nas przytrafiło się, że czytając romans lub patrząc na scenę, poddał się interesowi akcyi do tego stopnia, iż pragnął wbrew uczuciu moralnemu, aby zręcznie zasnuta powiodła się intryga, i żal mu było, jeźli nagle jakie niespodziane zdarzenie odkryło i popsuło cały szyk przemyślnie urządzonego spisku. Zkądże po większéj części pochodzi ta ciekawość i zajęcie, które napełnia obszerne sale sądów kryminalnych, jeźli nie z fałszywego interesu dla zbrodniarza, który im winniejszy, im przebiegléj się broni, tém częstokroć żarliwsze u słuchaczów znajduje życzenia, aby się wywinął. Na téj to ułomności ludzkiéj polegając, szkoła artystyczna w historyi używa wszelkiego kunsztu, by do tyla ukoloryzować i udramatyzować swój przedmiot, iżby olśniony czytelnik, odwróciwszy się od światła prawa moralnego, nie widział nic przed sobą, tylko metę wytkniętą dla zwycięzcy. Mistrzem téj szkoły jest Machiawel. Unosi się on dla wszelkiego sukcessu, bije czołem przed każdym dokonanym faktem, wyłuszcza wszystkie sposoby, jakiemi człowiek może dojść do celu, nie troszcząc się o godziwość onego. Uczy monarchę, jak ma ustalić tyranią, udaremnić spiski, wytępić nieprzyjaciół, zniszczyć kraj podbity, znikczemnić naród i przyzwyczaić do włożonego jarzma. Uczy znowu naród jak się pozbyć monarchy, jak knować zdrady, układać zasadzki, a po zwycięztwie burzyć wszystko co dawne, tępić aż do ostatniego śladu powinowate i sługi wygnanego czy zabitego władzcy. Starano się osłonić autora tłómaczeniem, iż on dając rady podstępu i przebiegłości monarchom, tém samém uczył narody czego się strzedz mają i jak złemu zapobiegać. Jużeśmy powiedzieli, iż z natury rzeczy wypada, że z nauki téj tylko jedna strona korzystać zdoła. Lecz nawet przyjąwszy to tłómaczenie, okazałoby się, że jeźli w *Il Principe* znajdują narody przestrogi jak się bronić przeciw niecnym zamysłom książąt, to znowu książęta odkryją w *Discorsi* [1]) ostrze-

---

[1]) Edycya dzieł Machiawela, którą mamy pod ręką, jedna z najlepszych i najzupełniejszych, edycya florencka z r. 1813., zawiera tomów 8. Dla lepszego zrozumienia powyższych uwag, wszystkie te dzieła wyliczymy tu po kolei:

Tom I. Istorie Fiorentine, z dedykacyą Klemensowi VII. Ksiąg cztery. (Do r. 1434.)

żenia, jak się ubezpieczyć przeciw narodom. Usiłowano następnie dowieść, iż Machiawel był stałym zwolennikiem wolności, i że jeżeli w *Il Principe* jest chytrym, dwuznacznym, podstępnym, zgoła republikaninem przybranym w mundur dworaka, to w *Discorsi* jest szczerym, otwartym, prawym obywatelem, bez żadnego fałszu i zboczenia. Dość jednak kilka kartek przeczytać, przerzucić jeden rozdział, jak naprzykład ów *delle congiure*, aby się przekonać, że to samo skażenie moralne w obu utworach panuje. Żaden żywiół, choćby najsprośniejszy, żaden środek, choćby najhaniebniejszy, nie jest odrzuconym, skoro tylko przydać się może do zdobycia potęgi. Autor wylicza jakie się spiski udają a jakie nie, oświadcza się za pałacowemi, radzi spiskowemu być jako Brutus, knuć zdradę pod połyskiem uśmiechu i pochlebstwa (sicut anguis in herba viridi), a nawet pod udaném szaleństwem, mustruje sprzysiężonych, jak mają się zbliżać, kiedy dawać hasło, jakie miejsce wybierać dla zamordowania monarchy, a ważąc na czułéj czali co bezpieczniejsze, czy trucizna, czy sztylet, za ostatnim przemawia. W ogólności, łatwo dostrzedz, iż rozprawiając nad Liwiuszem, ma on przedewszystkiém na oku epokę i osoby sobie współczesne. Cezar jest dlań ideałem księcia, Brutus ideałem spiskującego, Numa Savonarolą, a Romulus Borgią, który się pozbywa brata, by zadość uczynić prawidłu, że we dwóch ani państwa, ani trwałéj potęgi zakładać nie można. Zaiste, pod względem wartości moralnéj nie widzimy żadnéj różnicy między *Il Principe* a *Discorsi*, chyba tę, że pierwsze autor pisał, kiedy miał jeszcze nadzieję być użytym przez Medyceuszów, a układał drugie, gdy już ją był zupełnie stracił. Zasady są te same, tylko pierwsze daje naukę ambitnemu księciu, drugie ambitnemu narodowi. Jest jednak wyższość w Machiawelu, w któréj na szczęście szkoła artystyczna historyi dotąd mu nie sprostała, to jest brak wszelkiéj przesady. Ton jego zawsze chłodny aż do obojętności, pełny prostoty aż do dziecięcéj naiwności, wrzkomo bezinteresowny aż do pozornéj szlachetności. Ztąd

---

Tom II. Istorie Fiorentine (ciąg dalszy, od 1434—1492., czyli do śmierci Lorenza de Medici). Ksiąg dalszych cztery. Frammenti Istorici, zawierające dorywczy opis wypadków włoskich od 1494—1498. Przytém kilka prac pomniejszych, jako to: Nature di uomini fiorentini. — Discorso sopra le cose di Pisa — Del modo di trattare i popoli della Valdichiana ribellati. — Descrizione del modo tenuto dal Duca Valentino nello ammazzare Vitellozzo Vitelli, Oliverotto da Fermo, il Signor Pagolo e il Duca di Gravina Orsini — Vita di Castruccio Castracani da Lucca.

Tom III. Discorsi sopra la prima deca di Tito Livio. Ksiąg trzy.

Tom IV. Il Principe, rozdziałów 26. — Discorso sopra il riformare lo Stato di Firenze, rzecz napisana z polecenia Leona X. — Dell' arte della guerra, ksiąg siedm. Przytém kilka drobnych urywków.

Tom V. Dialogo sulla lingua. — Belfegor, novella. — Descrizione della peste di Firenze dell' anno 1527. — Komedye: 1. La Mandragola, — 2. La Clizia (naśladowanie z Plauta), 3. Commedia in prosa senza titolo. — 4. L'Andria di Terenzio. — 5. Commedia in versi senza titolo. — I Decennali, pieśni dwie. — Dell' Asino d'oro. — Canti Carnascialeschi, i kilka mniejszych poezyi.

Tom VI. Legazioni e Commissioni, listy i sprawozdania z poselstw do Katarzyny Sforza, do księcia Valentinois, do Rzymu, na dwór francuzki etc.

Tom VII. Legazioni e Commissioni, listy i sprawozdania z poselstw do Rzymu, do Casarza, na dwór fiancuzki etc.

Tom VIII. Lettere familiari, od 1497—1527. (Umarł 22. Czerwca 1527., skończywszy lat 58, urodził się bowiem 3. Maja 1469. roku.)

tém większe niebezpieczeństwo. W braku bowiem innych ostrzeżeń, przesada będzie zawsze odstręczającym antidotem. Chwała Bogu, nie doszliśmy jeszcze do téj zimnéj bezczelności, która dozwala najzuchwalsze bluźnierstwa sprowadzać do formuł z spokojnością i pewnością filozoficzną wyłuszczanych. Jeszcze w dzisiejszych pisarzach przemaga albo szumne deklamatorstwo, albo zbyt jaskrawy koloryt, albo zbyt ochocze bujanie po mglistych szlakach fantazyi, w ogóle jakiś wstyd, który zdradza niepewność i trwogę. Ale są tacy, którzy się już wszelkich względów pozbyli. Ten, co powiedział, że własność jest kradzieżą a małżeństwo prostytucyą, nie ustępuje Machiawelowi ani w szczerości, ani w brutalnym lakonizmie bezwstydu.

Wszystkie te i tym podobne zjawiska są dowodem zwątlenia, że nie powiemy, zupełnego upadku, którym człowiek podlega w epokach krytycznych, skoro na krok odstąpi od wiary i moralności przez wiarę ustalonéj. Wyrzekłszy się religii, tradycyi, doświadczenia przodków, obwarowywa się on na swém odosobnioném stanowisku w dumie i zaufaniu we własne siły, traci pojęcie swego przeznaczenia i nadprzyrodzonego celu, nie widzi nic po za życiem doczesném, często nic po za bieżącą sprawą. Żyjąc z dnia na dzień, pomyślność chwilową bierze za miarę wszech rzeczy. Ufny, że wszystko własnemi siłami osiągnąć zdoła, jest on przecież fatalistą, bo jakżeby inaczéj mógł wytłómaczyć różnicę powodzenia pomiędzy ludźmi jednakiéj wartości. Ludzie są dla niego zerami, praca wieków igraszką, przepisy religii i moralności siecią dla słabych lub głupich, a tylko własny interes celem, systematem i bożyszczem. Nie od razu ślepota takowa spada na ludzi. Przychodzi ona stopniowo, przez wolny wybór, przez powolne układy z sumieniem. Nie jeden pozostałby cnotliwym, gdyby mu cnota zapewniała bezpośrednio wszystkie roskosze i wielkości świata. W czasach powszednich zgodziłby się na trudy, na cierpliwość, zniósłby może nawet zawody i niepowodzenia, przez które dobijająca się o znaczenie ambicya przechodzić musi. Ale próby czasów nadzwyczajnych wytrzymać nie może. Skarży się on naprzód na Opatrzność, że go w tak ciężkich postawiła kolejach. Narzeka z Hamletem, że świat wyszedł z swego trybu, i że nań przypadła walka z boleściami i krzywdami czasu. Postawiony co chwila w koniecznéj potrzebie wyboru między złem a dobrem, między świetnością a ubóstwem, roskoszą a cierpieniem, życiem a śmiercią, tworzy sobie wygodne maksymy, które mu dozwalają oddawać cześć idealną cnocie, a w praktyce puszczać ją w urągowisko. Słyszy wciąż ostrzegające sumienie, ale zbywa natrętnego monitora wymówką, że prawdy, które mu przypomina, nie są przydatne do obecnych okoliczności. Tym sposobem zgadzając się na oderwaną regułę, co krok mnoży wyjątki. Namiętności dostarczają mu coraz zręczniejszych sofizmatów. Zrazu lęka się złym okazać nawet przed samym sobą. Brak mu odwagi, i staje się hidokrytą względem samego siebie, a wnet potem względem bliźnich. Niezdolny zaćmić do szczętu pojęcia różnicy między złem a dobrem, naprzód traci wiarę w zwycięztwo dobrego, a zastępuje ją przekonaniem, że złemu i spieszniéj i pomyślniéj idzie na świecie. Z początku więc ima się niegodziwości, pod skrycie ułożonym z sobą warunkiem, iż raz osiągnąwszy cel zamierzony, na samo dobre późniéj go obróci. Jeźli naprzykład nieprzyjaciel użył podstępu dla uciśnienia go, czemużby on w obronie, dla odzyskania wydartéj sobie wolności, dla ukrócenia zbrodni, takichże samych sposobów użyć nie miał? Ale ambicya

nie ma kresu, dąży coraz daléj i przemożniéj, wygrana ozłaca szkaradę środków, czas i uległość ludzi dają potwierdzenie doznanym w skuteczności sposobom, jad wsącza się i przerabia krew, złe staje się nałogiem, a w końcu całą istotą człowieka.

Takie koleje tysiące dziś przebywa. Podobne zapewne i Machiawel przechodził. Aby je choć domyślnie oznaczyć, przypomnijmy sobie okoliczności, które go otaczały. Dotąd mówililiśmy o człowieku, odsuwając, ile się dało, wzgląd na wypadki. Teraz zwracamy się do ogółu ówczesnéj epoki, pomijając, ile można, baczenie na pojedynczego człowieka. Określiwszy położenie kraju, łatwo nam będzie wytknąć i stanowisko, które przebiegłość zajmowała, i wyniosłość, z któréj prawość górować mogła.

III.

Wielkość, bogactwo i swobody, któremi Włochy tak znacznie uprzedziły wszystkie inne kraje Europy, przypisać należy wczesnemu miast wzrostowi. Miasta to przechowały najdłużéj szczątki dawnéj cywilizacyi. W nich najraniéj na nową świtać poczęło. Jedne, wywodzące swój początek jeszcze z czasów rzeczpospolitéj rzymskiéj, ostały się jakąś tajemną spójnią, jako te rzymskie mury, które poszczerbić można, ale zwalić niepodobna. Ilekroć nawała barbarzyńców przez nie przepłynęła, występowały one jakby z pod wody z mało co uszkodzoną potęgą swych starożytnych wolności. Drugie, nowo założone przez ustępujących wygnańców przed naciskiem najezdzców od północy, winny były swe ocalenie ubóstwu i zapomnieniu, a kiedy na jaw wyszły, już miały dostateczną siłę by się obronić. Karol Wielki był za nadto mądry i wspaniałomyślny, jego następcy za nadto niedołężni, by zniszczyć lub powstrzymać wzrost téj nowéj potęgi. Cesarzowie niemieccy wspierali ją, a gdy się pokusili targnąć na nią, już ją znaleźli pod opieką papieżów. W końcu XII. wieku doszła ona do najwyższego rozwoju, i po ciężkiéj walce przemogła wszystkie zabiegi i całą siłę Fryderyka Barbarossy (1182). Zdobywszy tym sposobem uznanie swych swobód na najwyższym przedstawicielu i spadkobiercy praw cesarstwa rzymskiego, nie miały miasta wiele trudu w ubezpieczeniu się przeciw podrzędnym możnowładzcom i okolicznym baronom. W innych krajach feudalni panowie nie dozwalali ani ustalić się silnéj monarchii, ani rozwinąć swobodom ludu. Ztąd ich walka na dwie strony, ztąd późniéj sojusz budzącéj się miast demokracyi z monarchią, i w końcu poniżenie arystokracyi. Inaczéj działo się we Włoszech. Miasta w krótkim czasie tak wysoko przerosły ponad zamki sąsiednich baronów, iż ci nie mogąc obalić ich potęgi, woleli zdobyć udział w jéj kierownictwie zostając pierwszymi mieszczanami. Naczelnicy najdawniejszych rodzin ubiegali się o godność podestów. Dla najdzielniejszych rycerzy, większym było zaszczytem mieć ozdobny pałac na rynku, jak niedostępną twierdzę w skalistych wąwozach. Nadobność społeczeńskiego życia przyciągnęła powoli i rozbroiła okapturzoną dumę zasiedziałych między górami baronów. Wolność zakwitła, a z nią przemysł, handel i ogólne bogactwo. Na niewielkiéj przestrzeni w Lombardyi i Toskanii powstało miast kilkanaście, z których zamożnością, nauką i polorem, żadne inne miasto europejskie równać się nie mogło. Medyolan, Padwa, Werona, Brescia, Pawia, Lodi, Kremona, Sienna, Florencya, Piza, stanowiły każde w swych murach ważniej-

szą całość, niż obszerne państwa po za Alpami. Krucyaty, które innym krajom przynosiły chwałę i zubożenie, dawały Włochom chwałę i bogactwo. Otworzenie stosunków ze Wschodem dało początek dwom możnym rzeczpospolitom: Genui i Wenecyi. Położenie jeograficzne, wyższość wykształcenia, dozwoliły miastom włoskim równe ciągnąć zyski i z barbarzyństwa Zachodu i z cywilizacyi wschodnich krajów. Cały handel dwóch światów obrócił się na Włochy. Marsylia i Barcelona nad morzem Śródziemném, Lubeka, Hamburg i Bremen na północy, Kolonia, Ratysbona, Norymbergia i Augsburg w środkowych Niemczech, stały się składami towarów z poza Alp przybywających i objęły Europę w zależność od półwyspu włoskiego. Okręta włoskie pływały po wszystkich morzach. Kantory włoskie mnożyły się po wszystkich wybrzeżach. Włosi byli zarazem rękodzielnikami, przewoźnikami i bankierami. Z szczegółów, które Villani i inni dają o stanie Florencyi w XIV. wieku domyśleć się można jak nagle wzrastać musiała zamożność ich ojczyzny. Dochód rzeczpospolity wynosił 30,000 florenów, co, wziąwszy w rachunek zniżenie wartości drogich metalów, równa się w dzisiejszéj monecie 24 milionom złp. Podobnego dochodu nie mieli wtedy królowie Neapolu, Sycylii i Aragonu, a obecnie Wielki książe Toskański z daleko obszerniejszego państwa nie wybiera. Przerabianie wełny zatrudniało 30,000 rzemieślników w dwustu osobnych rękodzielniach. Sprzedaż sukna, którego wyrabiono od 70,000 do 80,000 sztuk corocznie, przynosiła 1,2000,000 florenów czyli około 100 miliooów złp. Wyroby jedwabne przynosiły około miliona florenów. Nie wiele mniéj zyskowną gałąź handlu stanowiła sprzedaż korzeni i futer. W mennicy wybijano co rok 400,000 florenów. Ośmdziesiąt banków ułatwiało sprawy handlowe nie tylko Florencyi, ale całéj Europy. Bankierstwo, czyli tak zwana wtedy *arte del cambio*, było dla Florentczyków nie tylko źródłem bogactwa ale i politycznego wpływu w całéj Europie. Państwa europejskie zubożone ciągłemi wojnami, posiadające małe i niepewne dochody, chętnie przyjmowały Florentczyków za swych bankierów, agentów, liwerantów, chętnie im oddawały pod zarząd swój skarb i swoje mennice. Handel i finanse Francyi przez długi czas były w ich ręku. Dom Caroccio degli Alberti posiadał banki w Awenjonie, Paryżu, Brukselli, Bruges, Rzymie, Neapolu, Perugii, Siennie i Barletta. Medyceuszowie utrzymywali 16 kantorów bankowych po różnych stronach Europy. Ogrom ruchu pieniężnego we Florencyi zadziwić może nawet współczesnych Torlonii i Rotszylda. Dwa domy florentskie (Bardi i Peruzzi) pożyczyły w roku 1345., Edwardowi III. królowi angielskiemu, przeszło 300,000 marków, wtedy gdy śrebro było cztery razy droższe niż dzisiaj, a każdy mark miał więcéj w sobie śrebra jak 100 dzisiejszych złp. Te same dwa domy, jednocześnie pożyczyły królowi Sycylijskiemu 200,000 florenów złotem. Samo miasto i okolice posiadało 170,000 mieszkańców. W mieście i na przedmieściach wznosiło się 60 szpitalów, a 100 klasztorów. Po różnych szkołach, 10,000 dzieci uczyło się czytać, 1,200 uczniów odbywało wyższy kurs w oddziale zwanym arytmetyką, a 600 młodzieńców przechodziło przez wszystkie stopnie ówczesnéj edukacyi. Ludzie wykształceni musieli wprawdzie przebywać przez kram lub kantor by wyjść na mężów stanu, ale za to spryt finansowy i handlarski wielką był im pomocą w prowadzeniu spraw publicznych. Co do biegłości ich w dyplomacyi, dość jest przypomnieć sobie okoliczność, iż przy wstąpieniu Bonifacego VIIIgo na Stolicę Apostolską (1294) znalazło się

w Rzymie dwunastu Florentyczków, jako ambassadorów od obcych mocarstw. »Ziemia, powietrze, ogień i woda, i Florentyczkowie, są zawsze i wszędzie.« — rzekł Bonifacy. Świetność literatury dostatecznie wyrażoną będzie jedném imieniem Dantego. Cześć dla nauki i talentu wnet stała się prawie bałwochwalstwem. Królowie i Rzeczpospolite, Dożowie i Kardynały, prześcigali się w uwielbieniu dla Petrarki. Uroczystość koronacyi tego wieszcza była wypadkiem, który przez lat kilka zajmował uwagę publiczną potężniéj niż najgwałtowniejsze w tych czasach zmiany polityczne. To téż jakby z wyniosłości tronu, poeci i uczeni przemawiali wtedy do mocarzów świata. Kiedy Karol IV. zalecał się Petrarce, by mu tenże dedykował swe *Żywoty znakomitych ludzi*, poeta odpowiedział mu: »Wtedy do- »piero zasłużysz na podobną dedykacyą, gdy zostaniesz policzonym do zzakomi- »tych ludzi; nie przez połysk tytułów, ani przez blask korony, ale przez wielkie »i cnotliwe czyny, i przez żywot taki, iżby, jako dziś dzieła dawnych bohaterów »są chciwie czytane i uwielbiane, tak téż i twoje kiedyś były czytane i uwielbiane »przez potomność.« Zakładanie katedr po uniwersytetach, opieka nad uczonymi i artystami, zbiory książek i starożytności, stały się były modą i namiętnością zamożniejszych rodzin. Duch przedsiębiorstwa handlowego połączył się z zapałem do uczonych poszukiwań. Dokąd tylko pomyślność i awanturniczość kupców florentskich dotrzeć zdołała, wszędzie chciwie zbierano medale, manuskrypta i zabytki starożytności. Stan kwitnący Florencyi doszedł do najwyższego stopnia rozwoju za Lorenza de Medici. Książe ten, opiekun poetów i erudytów, sam pisał wiersze. układał festyoy publiczne, gromadził zbiory książek i arcy-dzieł sztuki. Zgody z królem Neapolitańskim nie chciał zawrzeć inaczéj, tylko pod warunkiem że mu tenże piękny rękopism Liwiusza ustąpi. Na dwór jego przybyweli cudzoziemcy z najdalszych stron, by się ćwiczyć w umiejętnościach, doskonalić w ogładzie towarzyskiéj, obeznawać z nauką rządzenia krajem. Niepodobna z większą mocą, a zarazem z większą prostotą skreślić obrazu Italii w tych świetnych czasach jak w następującym Guicciardiniego opisie: »Ridotta tutta in somma pace »e tranquillità, coltivata non meno ne' luoghi piu montuosi e piu sterili che nelle »pianure e regioni piu fertili, nè sottoposta ad altro imperio che de' suoi medesimi, »non solo era abondantissima d'abitatori e di ricchezze; ma illustrata sommamente »dalla magnificenza di molti principi, dallo splendore di molte nobilissime e bel- »lissime città, della sedia e maestà della religione, fioriva d'uomini prestantissimi »nell' amministratione dalle cose pubbliche, e d'ingegni molto nobili in tutte le »scienze, ed in qualumque arte preclara ed industriosa.«

Lecz czas nadchodził, w którym wszystkie plagi egipskie miały spaść od razu na tę uroczą krainę. Po epoce pokoju, dostatków, wolności i uciechy, nastąpił prawie bez przejścia, okres wojny, głodu, niewoli i rozpaczy. W narodzie włoskim, jako się dzieje w pojedynczych ludziach, za zbyt rychłą dojrzałością przyszła przedwczesna zgrzybiałość. Długi pokój sprowadził miękkość i rozpieszczenie, za wykwintnością poszła rozwiązłość obyczajów, za wygórowaną nauką pyszalstwo rozumu i osłabienie ducha religijnego, za nieograniczoną wolnością niesnaski i swawola. Wczesna wielkość, równie jak wczesny Włoch upadek, leży w téjże saméj przyczynie, to jest w przewadze, jaką miasta zyskały w politycznym układzie.

Dumne z bogactwa i z wykształcenia mieszczaństwo, zajęte wyłącznie przemysłem, handlem, kunsztem i literaturą, nie miało ani chęci, ani czasu, ani nawet potrzeby ćwiczenia się w sztuce wojennéj. Powołanie żołnierskie zdało mu się być twardém i nieokrzesaném rzemiosłem, godném tylko najemnych ludzi, nieuzdatnionych do żadnych wyższych zatrudnień. Czém dziś jest policya i żandarmerya, tém w owych czasach wydawać się musiało wojsko zamożnemu kupcowi, to jest po prostu strażą bezpieczeństwa. Miał on za mało czasu a za nadto pieniędzy, by się narażać na płonne trudy i poniżające niewygody. Sprowadzano więc sobie jurgieltników z zagranicy, tak jak zapisywano towary z Persyi lub z nad Atlantyku. Gdzieniegdzie tylko jaki krnąbrny lub awanturniczy rycerz wprawiał się do broni dla łupieztwa, lub zbierał towarzyszów dla przyjemności dowództwa. W innych krajach sztuka wojenna była razem potrzebą i zabawą. Właściciel obszernych włości grozą oręża trzymał licznych lenników w posłuszeństwie, a blaskiem i sławą onego urozmaicał życie, żadną umysłową pracą niezajęte. We Włoszech przewaga, a raczéj wszechwładztwo miast, jak to już powiedzieliśmy, albo zniszczyła szlachtę, albo przemieniła zupełnie jéj obyczaje i jéj zatrudnienia. Podnosić wciąż dostojeństwo obywateli miejskich a poniżać ziemiańskie rycerstwo, było nieustanném zadaniem każdego rządu. Przypomnieć sobie przytém należy, iż służba wojskowa była w owych czasach stokroć uciążliwszą niż dzisiaj. Za żołnierza poczytywano tylko tego, który od stóp do głowy okuty w żelazo, uzbrojony ciężką włócznią lub koncerzem, umiał toczyć rosłym rumakiem, i dnie i noce na pochodach lub gonitwach przepędzać. Piechotę uważano za broń nader podrzędną. Nikomu się nie śniło, aby szyk piechotnych żołnierzy zdołał wytrzymać ciężkiéj kawaleryi natarcie. Dopiero pod koniec XV. wieku, dzielni górale szwajcarscy zniszczyli ten przesąd, wytrzymując bez zachwiania zwartych szeregów najwprawniejszéj jazdy zapędy. Póki więc konnica stanowiła główną armii podstawę, wojskowość wymagała wyłącznego poświęcenia się od dzieciństwa i długich lat wprawy. Ztąd wynikło, iż wszędzie we Włoszech chętnie wyręczano się najemnym żołnierzem. Złe nie byłoby tak wielkiém, gdyby przynajmniéj najemne te zaciągi stanowiły armią stałą, trwale przywiązaną do jednego miasta lub państwa. Ale tu działo się przeciwnie. Uważano je jako przedmiot handlu, zawsze więcéj dającemu przystępny. Najemnik przyprowadzał na targ swego konia i zbroję, swoją siłę i doświadczenie, i byle dobrze był zapłaconym, nie kłopotał się w czyją pójdzie służbę. Skoro skończyła się wojna lub termin na który się zaciągnął, nie czuł najmniejszego wstrętu, nie znał nad sobą żadnego prawa, któreby mu przeszkodziły do złączenia się z szeregami przeciwników i obrócenia oręża na swych wczorajszych chlebodawców. Nie był ani poddanym ani obywatelem. Wierność jego kończyła się z żołdem, prawem był chwilowy kontrakt, a obóz ojczyzną. Szkodliwe skutki tego stanu wnet się poznać dały. Wojna prowadzona przez ludzi, ani natchnionych miłością dla tych których bronili, ani pałających nienawiścią ku tym przeciw którym walczyli, — przez ludzi, którzy w przeciwnym obozie więcéj często mieli przyjaciół, jak w mieście lub państwie poruczoném sobie do obrony, — dla których koniec kampanii był stratą a przedłużenie zyskiem, wojna w takich warunkach zmieniła zupełnie swą postać. Żołnierz występował na plac boju niepewny, czy jutro mu nie przyjdzie walczyć przeciw tymże samym znakom, które dziś winien swemi piersiami zasłaniać. Nie znał oby-

watela, który go płacił, a miał niejedno wspólne wspomnienie i przyjaźń między szeregowymi przeciwnéj strony. Koleżeństwo towarzyszów broni było dlań daleko silniejszym węzłem, jak sprawa, któréj nie rozumiał, lub płaca, którą mógł wszędzie dostać. Ztąd ruchy wojenne szły powoli, bez zapału i bez skutku. Zrodziły się jakieś konwencyonalne grzeczności, odpoczynki, zawieszenia broni, bo nikt nie miał chęci życia utracić, wojujący nawzajem się oszczędzali, a główną ponętą i zdobyczą było złoto obywatela. Ciągłe też marsze, nieustające oblężenia, bezkrwawe potyczki, więcéj rozbójnicze jak wojenne rozprawy, zapełniają wojskową Włoch historyą w ciągu XIV. i XV. wieku. A jeźli kiedy dwie armie się spotkają, jeźli walczą od wschodu do zachodu słońca, jeźli nawet tak jak w bitwie pod Molinella, za wspólną ugodą, kończą bój wygodnie przy blasku rzęsistych pochodni, to się w końcu pokaże, że było niewolnika i łupów mnóstwo, a straty w poległych prawie żadnéj. Kiedy Włosi ujrzeli 140 armat ciągnących za armią Karola VIII., okrzyknęli ten przybór za niesłychane barbarzyństwo, a gdy w pierwszéj z nim bitwie zginęło sto ludzi, stratę nazwali krwawą rzezią. Tym trybem każdy rozruch w mieście większém groził niebezpieczeństwem i więcéj życia kosztował, niż bitwy przez najemne żołdactwo toczane. Bogatszy i w intrydze zręczniejszy najczęściéj wygrywał, a tak pobitego wroga nigdy nie było, by się wnet przez złoto lub przez podstęp podnieść nie zdołał. Tradycye osobistéj waleczności znikały, mnożyli się sławni dowódzcy, nie z bitew wygranych lub z krajów zdobytych, ale z zręczności w układach, z frymarczenia mnogością najemników, z hojności w rozdawnictwie łupów między swe szeregi, a miasta niszczyły się bez żadnéj trwałéj korzyści. Jednym może wyjątkiem są wojny Wenecyi ze Wschodem, ale świetne tych skutki należą się bitności i hartowi żołnierzy z słowiańskiego pochodzenia. Skoro więc obce mocarstwa poczęły mięszać się do spraw włoskich, i gdy z za Alp i z za morza wtargnęły waleczne najezdników zastępy, Włochy bez ducha rycerskiego w obywatelach, nie mogły się by na chwilę oprzeć, ani lotnéj natarczywości Francuzów, ani żelaznemu męztwu Szwajcarów, azi dzikiéj zaciętości Hiszpanów. Szybki i niczém niewstrzymany pochód Karola VIII. przez całą długość półwyspu, był miarą poniżenia tego kraju, i przepowiednią smutnych losów, jakie go czekały.

Drugiém nieszczęściem Włoch, z tegoż samego źródła, to jest ze zbyt wczesnego i przemożnego miast wzrostu, płynącém, był brak wszelkiéj spójni i jedności. Miasta te były za blisko siebie, by przy tak wysoko obudzoném współzawodnictwie mogły żyć w przyjaźni, a za daleko, by jedno drugie łatwo zawojować, a po podbiciu bezpiecznie w poddaństwie trzymać mogło. Florencya nigdy nie zdołała stanowczo zdobyć Luki i Sienny. Piza z rozmaitém szczęściem walcząc to z Genuą, to z Florencyą, pokonana wreszcie przez ostatnią, zawsze się wyłamywała z pod jéj jarzma, i dopiero uległa, kiedy obie, i zwycięzką i zwyciężoną, przygniótł rząd Medyceuszów. Genua, w ciągłéj wojnie z Pizą i Wenecyą, wolała się poddawać to Francuzom, to zdradliwemu Ludwikowi Morowi, jak połączyć swe siły z którąkolwiek z swych sąsiadek. Zgoła, duch miejscowéj odrębności tak był silnym, że lada miasto chętniéj znosiło rządy najkrwawszego tyrana, jak bratni związek z pograniczną rzeczpospolitą. Nadto, każde z tych miast było podzielone we własnych murach na liczne stronnictwa. Lud, rzemieślnicze cechy, wzbogaceni kupcy, zmieszczanieni panowie, wciąż spór wiedli o prze-

wagę, a niektórzy z ostatnich o jedynowładztwo. Pod koniec XV. wieku, wszędzie wolność uległa pod zdradą lub okrucieństwem tyranów. Żaden z nich jednak nie był dość pewnym swéj władzy, żaden nie miał dość wzniosłego i czystego imienia, by w danéj potrzebie mógł swą siłą i powagą połączyć całe Włochy przeciw cudzoziemskiéj napaści. Szlachta utraciła swe tradycye rycerskie, przestała być stanem, rozpierzchła się po miastach, i tam w współzawodnictwie o dostojeństwa miejskie do reszty zagubiła poczucie swego powołania. Lud wiejski, pozbawiony swych przyrodzonych naczelników, nie wiedział za kim iść, kogo słuchać, znał tylko poborcę z sąsiedniego miasta, podlegał na przemiany wałęsającym się po kraju najemnikom. Pozostawał ostatni żywioł jedności, władza moralna papieżów. Lecz rozwolnienie obyczajów i upadek ducha religijnego osłabiły i tę potęgę do szczętu. Papieże téż coraz bardziéj z rąk upuszczali kierownictwo polityki narodowéj, przestawali być gwelfami, aż nareście na stolicy apostolskiéj zasiadł Alexander VI., który więcéj baczył na uposażenie własnéj rodziny, jak na niepodległość i dobro włoskiéj ojczyzny, lub na blask cnoty i świętości, których najpierwszy przykład winien był światu przedstawiać.

W takiém to rozprzężeniu zastał Włochy napad ościennych zaborców. Godzina sromu i ujarzmienia wybiła, prawie niedosłyszana przez naród ogłuszony gwarem uciech i zgiełkiem niesnasek. Znali Włosi uciemiężenie, znali straty i klęski wojenne, ale póki rodak uciskał rodaka, ciosy zdawały się mniéj bolesnemi, a utrata wolności przemijającą karą lub ślepym trafunkiem. Z wyjątkiem Neapolu, używały Włochy przez trzy wieki nieprzerwanego bezpieczeństwa od strony sąsiednich narodów. Niezachwiana pomyślność materyalna i wyższość umysłowa ustaliła w nich przekonanie, że przodkując Europie, trzymają w ręku swém jéj losy. Nikt nie przypuszczał, choćby tylko w rachunku najodleglejszych podobieństw politycznych, iżby kiedy który z ościennych monarchów, śmiał zabrać jaką część kraju, a tém mniéj aby Włochy mogły się stać długoletniém polem boju trzech cudzoziemskich ambicyi, i same w tych zapasach, bezwładne igrzysko dumy, chciwości i rozpusty najezdzców, stracić wolzość, bogactwo i znaczenie od razu. Zaślepienie równało się niemocy. Każdy się radował z nadejścia cudzoziemców, każdy wyciągał ku nim ręce, zapraszał ich jako gości, bo mniemał, że używszy do swych osobistych widoków, łatwo się ich potém pozbędzie. Kiedy Karol VIII. straciwszy swe zasoby pieniężne na zabawach w Lyonie, nie miał o czém daléj prowadzić swego wojska, Bianka Sabaudzka dała mu swe klejnoty, Medyolan 50,000 dukatów, Genua 100,000 szkudów. Całe Włochy przyzywały go jako oswobodziciela; Jan Galeazzo w nadziei że go uwolni z pod ucisku wuja, Florencya że się za jego pomocą wydobędzie z pod jarzma Medyceuszów, Alexander VI. że zyska nowe księstwo dla swéj rodziny, Wenecya że dom Aragoński poniżonym zostanie, Neapol że wygna zohydzonych Hiszpanów. Nikt nie pamiętał jaką to zakałą jest obca pomoc, jak trudno z kraju pozbyć się raz wnęconych cudzoziemców, i jaki to ogrom niemoralności, bezwstydu, łotrostwa, miało rozhukane żołdactwo przydać do już i tak niezmiernego zepsucia. Ocknięcie się było okropne, kiedy rzezie, pożogi i najsprośniejsze gwałty przekonały Włochów, iż nie sprzymierzeńcowi, ale dumnemu zdobywcy kraj swój otworzyli. Grom spadał jakby z pogodnego nieba. Jeźli komu, to nam łatwo sobie wyobrazić rozpacz, która musiała cały naród ogarnąć, boć i my na nieszczęście mamy podobną, ale

daleko jeszcze boleśniejszą chwilę w dziejach naszych. Kiedy przodkowie nasi zezwalali na przechody wojsk obcych, na mięszanie się sąsiednich mocarstw do spraw narodowych, na naznaczanie sobie królów, któryż z nich przypuszczał, że się to skończy rozbiorem kraju, a nareście zupełną zagładą niepodległości? W obu razach ta sama niebaczność, te same złudzenia, poprzedziły prawie jednaką katastrofę, a katastrofa wywołała za późne chęci poprawy i za słabe zapędy do orężnéj walki.

Najprostszym i najogólniejszym sposobem ratunku była naprawa obyczajów i wskrzeszenie ducha religijnego. Narodom pogrążonym w otchłani zepsucia, rzadko kiedy brak groźnych reformatorów. Przeciw ostateczności zbytku występuje ostateczność ascetyczna, przeciw materyi pozbawionéj ducha, duch wyobleczony z materyi, przeciw bezwiarze fanatyzm. Nie jest w takich chwilach niebezpieczeństwem, by zabrakło ludzi naglących do powstania z grzechów, ale jest niém, by ciż ludzie, wbici w dumę wrażeniem jakie sprawia każde oddziaływające dążenie w czasach nieszczęścia, nie chcieli ogarnąć władzy politycznéj, być wszystkiém, nie kusili przegiąć narodu od razu z nieprawości w najczystszą doskonałość, z poddaństwa w swobodę bez granic, z niemocy w zagrażającą innym potęgę, i zwiastując światu nową, nieznaną epokę, nie wypowiadali posłuszeństwa wszystkim istniejącym dotąd powagom, nie stawiali za prawo swych własnych marzeń i proroctw, nie ogłaszali nowych religii, i nie twierdzili, że od nich dopiero prawda, wiara i szczęście świata weźmie swój początek.

Ruch oddziałania obyczajowego i religijnego znalazł we Włoszech potężnego przedstawiciela w Savonaroli. Przez lat siedm, nadzwyczajny ten człowiek gromadził swą rzadką wymową nieprzeliczone tłumy pokutników w koło ołtarzów Pańskich, gromił, wydawał prawa, a w końcu nieodwołalnie sądził i samowładne we Florencyi sprawował rządy. Gdyby był się ograniczył na obowiązkach gorliwego kapłana i niezachwianego złych obyczajów pogromcy, wszystko miał po temu, by naród na drogę poprawy pociągnąć. Ale nieszczęściem pokusił się o bezpośrednie kierownictwo polityką. Niepomiarkowany zwolennik wolności i wszechwładztwa ludowego, chciał od razu na miejscu absolutyzmu postawić jakąś idealną, chrześciańską demokracyą. Miasto wkładać mieszkańców do obowiązków obywatelskich i kształcić na obrońców ojczyzny, zajmował ich fantastycznemi teoryami, widowiskiem coraz świetniejszych cerzmonii i uroczystości, teatralném całopaleniem przedmiotów zbytku i sztuki. Nie pomniał, że utrzymać ludu w ciągłym entuzyazmie niepodobna, i że wnet mu podejrzanym stanie się ten, co zechce jednocześnie kierować sumieniami i świeckie dzierżyć rządy. Zapragnął zostać bożyszczem ludu, stał się niém, ale pod zwykłym karzącego losu warunkiem, że go jedna chwila strąci w przepaść, jak go jedna chwila wyniosła. O téj saméj dobie, w któréj Karol VIII., ogłaszany przez Savonarolę posłannikiem bożym, konał przedwcześnie w Paryżu, sam-że Savonarola umierał na stosie płomienistym we Florencyi, pośród okrzyków radośnego ludu.

Drugim środkiem podźwignienia się z niemocy, było skupienie wszystkich sił około któregokolwiek bądź z wojowników włoskich. W każdym razie środek to arcy-trudny. Trzeba było cudu, aby tyle państw, przez tyle wieków i tak zacięcie między sobą o pierwszeństwo walczących, od razu na hegemonią jednego przystało, i poddało mienie i życie pod dowództwo pojedynczego człowieka,

który łatwo z naczelnika mógł się stać samodzierżcą. Trzeba było nadzwyczajnéj cnoty i przewidzenia w całym narodzie, by przyjąć dobrowolnie despotyzm rodaka dla uniknienia despotyzmu cudzoziemców. Trzeba było nakoniec człowieka, a tego Włochy nie miały. Najznakomitszy wojownik, Trivulzio, bojował po stronie Francuzów. Ludwik Mor był za nadto nikczemnym jako człowiek, za nadto zależnym od cudzoziemców, jako panujący książe. Są historycy, którzy myśl połączenia Włoch pod jedno berło, by wyswobodzić ojczyznę z pod obcego ucisku, przypisują Cezarowi Borgia, nią tłómaczą jego zdrady i zbrodnie, w jéj imie nakazują, jeźli nie przebaczenie, to pobłażliwość dla rodziny Borgiów. Trudno jednak przypuścić, aby tak wielkie dzieło takiemi środki i przez takie ręce dokonaném być mogło. Popularność, jaką miał póki tępił rozbójników i poniżał możnowładzców, była nader wątłą podstawą, i dowodzi tylko, jak ją łatwo w czasach ogólnego zamięszania najwystępniejszemu nawet człowiekowi zdobyć bezczelnością i postrachem. Improwizować znowu naczelnika było niepodobieństwem. Władza w takich razach nie daje się, lecz się bierze. Pierwszy szczęśliwszy dowódzca który wygra bitwę, staje się całego kraju naczelnikiem i osiąga bliższe prawo do korony, niż najprawowitszy pretendent na uboczu wykrzyknięty.

Innym jeszcze ratunkiem, ale już daleko powolniejszym, było stopniowe gromadzenie zasobów, rozwijanie sił materyalnych, reforma wojska, wprawianie ludu do broni. Podniesienie ludu wiejskiego do godności obywatela, przez powołanie go do bronienia ojczyzny, przedstawiało się wszystkim jako najgwałtowniejsza potzzeba, a przecież dopiero po kilkunastu latach ucisku przez żołdactwo cudzoziemskie, Florencya zdołała po raz pierwszy (w 1509. roku), uzbroić 10,000 chłopów, a i téj siły użyła naprzód na rodaków, bo do oblężenia Pizy. Co do reform politycznych, — szlachetną jest wszelka myśl naprawy, choćby *in extremis* podjęta, ale zabiegi i narady z niéj wynikłe, często sprowadzają niepowetowaną zwłokę. Gdyby nasz sejm czteroletni, miasto tak długo radzić nad nową konstytucyą, wytężył był wszystkie siły do postawienia jak najliczniejszego wojska na stopie wojennéj, byłby może zbawił ojczyznę. I nam i Włochom, przy skupieniu ducha narodowego przez moralność i religią, potrzeba było przedewszystkiém wojska i wodza.

Byłoby grubą nieznajomością dziejów i natury ludzkiéj utrzymywać stanowczo, iż którykolwiek z tych sposobów osobno wzięty, mógł był zasłonić Włochy od upadku. Ogrom nieszczęścia był tak wielki, iż wątpić można, czy nawet wszystkie trzy razem zdolne były jednym rzutem pokonać tyle przeciwności. Nie codzień, nie na każde zawołanie znajduje się wielki człowiek, nie tak łatwo odzyskać stracony miecz ducha i tarczę wiary, ani téż daném jest jednéj chwili obudzić i połączyć omdlone i rozbite siły materyalne narodu. Sumienny przeto historyk zatrzyma się, nim rzuci potępienie na kraj pogrążony w tak ciężkie przygody. Naród będąc zbiorem jednostek rozmaitego stanu, wpływu, ukształcenia i wyobrażeń, nie na każde skinienie da się natchnąć jedną wolą i popchnąć w jeden kierunek. Nikt więc z pojedynczych nie może być odpowiedzialnym za ogólny wypadek sprawy, chyba że mu dowiedzioném zostanie, iż miał władzę, zdatność i sposobność ku odwróceniu śmiertelnych ciosów od swéj ojczyzny. Każdy jednak do ścisłéj rachuby powołanym być może za swe osobiste dążenia, nauki i czyny. Niema bowiem niemylnego kodeksu mądrości, wedle którego w każdym danym

razie naród zbawić się może, a jest przed oczami wszystkich księga prawideł, których trzymając się każda jednostka, nawet w najfatalniejszych okolicznościach, cało i nieskazitelnie uratować zię zdoła. Ztąd jeźli nadzwyczaj trudném jest wyrzec, że ten lub ów środek mógł niewątpliwie naród wydobyć z toni nieszczęścia; to zawsze łacno oznaczyć jak w każdém zdarzeniu prawy człowiek powinien był postępować, a jeźli przytém posiadał niepospolity rozum i naukę, jakie winien był dawać rady, jakie zalecać obowiązki. Otóż wystawmy sobie patryotę włoskiego z początków XVI. wieku. Położenie było rozpaczliwe. Kraj zalany przez cudzoziemskie żołdactwo, które plądrowało, katowało, bezcześciło mieszkańców. Ani majątek, ani dobro żadne, ani nawet honor rodzin nie był bezpiecznym. Wsie stały każdemu najezdzcy otworem. Lud bezbronny albo okupował życie resztą mienia, albo jak trzoda uciekał między niedostępne skały. Po miastach swobody republikanckie już upadły, a jednowładztwo nigdzie się jeszcze nie wzniosło do potęgi. Jeźli gdzie jaki mąż górował, to albo był rabusiem albo zdrajcą zaprzedanym wrogowi ojczyzny. Z nikąd nadziei pomocy. Każdy nowy sprzymierzeniec stawał się nowym współzawodnikiem do zaboru. Szlachta marniała po miastach. Młodzież traciła wśród gorączkowych uciech wszelki hart i godność. W wyobrażeniach panował ogólny zamęt, nigdzie przewodniego światła, w religii zobojętnienie lub kacerska zaciekłość, w polityce rozbicie na tyle kierunków, ile było miast i miasteczek, w stosunkach towarzyskich fałsz i bezeceństwo. Zgoła patryota włoski obzierając się w koło siebie, widział wszystkie drogi pokryte ciemnościami, i zaiste mógł rozpaczać. Ale chrześcianin ma zawsze wewnątrz światło, które dobra wola nawet pod parciem najsroższych przeciwności niechybnie rozbudzić zdoła. W czasach ogólnego zamętu niema innéj rady tylko zejść do prostoty ewangelicznéj, do reguł, że tak powiemy, katechizmowych. Jest to rzecz arcy-trudna i rzadka, kiedy wkoło dowcip, przesada i wytworność umysłowa panuje. Zdobyć się na nią mogą tylko albo prostaczkowie cichego i pokornego serca, albo ludzie najwznioślejszego umysłu. Pierwszym brak wpływu, brak śmiałości, brak mistrzostwa w słowie, przykładem tylko apostołować zdołają, ale przykład u poziomu, choć pewniéj, działa zbyt powoli. Lecz biada narodowi, jeźli drudzy, to jest ludzie wyższą naznaczeni zdolnością, przez bojaźń pospolitości rzucą się na wymysły i fortele rozumu, i dla względów czasowych, prawdy wieczne pominą: a przeciwnie jakaż nadzieja dla kraju, choćby w bezdeń nieszczęścia popadłego, jeźli najzdolniejsi jego synowie precz odrzucą chwilowe sposoby i korzyści, zrzekną się blasku geniuszów, i z prostotą a pokorą staną w obronie wiekuistych zasad. Gdyby tacy znaleźli się byli w on czas we Włoszech, nie zaniechaliby przekładać, że naród usiłujący zrzucić obce jarzmo, winien naprzód wyzwolić się z grzechów które go o upadek przyprawiły, winien szczerze wrócić na łono kościoła, i jedną ścisłą miarę moralności wystawić tak w publicznych jak w prywatnych sprawach. Byliby nauczali, że przypuszczając nawet potrzebę reformy, czy w kościele, czy w układzie społeczeńskim, to nie pora po temu, pod naciskiem obcéj przemocy, gdyż wszelka nagła reforma prowadzi do sporów, a spory do sił rozproszenia. Byliby zachęcali młodzież do wczesnego wprawiania się w posługi obywatelskie, do cnót domowych, do posłuszeństwa, karności i zrzeczenia się wygód i marności światowych. Byliby karcili ospałych, zniewieściałych, rozpaczających, rzucali wzgardę podchlebcom

i szukającym zgody lub znaczenia u cudzoziemców. Uczonym, bawiącym się w sofizmata lub igraszki umysłowe, byliby przywodzili na pamięć stan Grecyi zawojowanéj przez Rzymian; Grek był mistrzem w poezyi, w literaturze, w filozofii, w sztukach, posiadał wysoką ogładę w obejściu, był ludzkim, uprzejmym, dowcipnym, ale nie miał ani odwagi, ani szczerości, szydził z wiary, a wszystko zakładał na rozumie; — Rzymianin zaś był twardym, szorstkim, surowym, często okrutnym, czuł swą niższość umysłową, ale pocieszał się patrząc, jak wybujała umiejętność i układny polor bez wiary, godności i zgody, zamieniły ród heleński na niewieściuchów, bezbożników, a w końcu na nikczemnych niewolników, którzy mu bez oporu podlegali. Zalecając oczyszczenie, skupienie i podniesienie ducha narodowego, byliby pobudzali do gromadzenia sił materyalnych, do wzmagania bogactwa krajowego przez usilną pracę w przemyśle i w roli, do pieczy nad czerstwością i zdrowiem ludu przez ścisłe przestrzeganie dobrych obyczajów, do gotowości poświęcenia przez cierpliwość, przez spokojne oczekiwanie śmierci i męczeństwa. Jedném słowem, byliby przedstawiali narodowi to wszystko co dzisiejszy wiek kaznodziejską pospolitością zowie, a co nie lepiéj wykonywa pod naciskiem jeszcze większéj niedoli. Być może, iż podobne nauki nie od razu zostałyby wysłuchanemi, nie od razu sprowadziłyby zamierzony skutek, przecież lepsza powolna praca a bezpieczna, jak porywcza a wątpliwa. W wielkich przedsięwzięciach narodowych czas nie zawsze jest najważniejszym czynnikiem. Pokolenie, które puszcza się w pochód trudu dla przyszłości, powinno się przygotować, że samo nie dojdzie do ziemi obiecanéj. Idąc za temi nauki, Włochy możeby nie uniknęły losu, jaki ich spotkał w XVI. wieku, ale zaiste wielkie jest podobieństwo, iż w XIX. wieku, byłyby już jednemi, całemi i niepodległemi.

Tymczasem politycy włoscy w całkiem przeciwny rzucili się kierunek. Odbiegli prawd wiecznych dla chwilowych pożytków i osobistych względów. Nie chodziło im o wielkość charakterów, ale o blask talentów. Woleli żyć, aby używać i coś znaczyć, niż szlachetnie wycierpianą niedolą ożywić naród na nowo. Nad wyrobienie godności wewnętrznéj pod uciskiem, przenieśli pogodzenie się z niewolą dla zyskania godności światowych. Miasto więc prostowania dróg Pańskich dla zbawienia narodu, rzucili się w najciemniejsze i najkrętsze manowce dla wyżebrania jakiego szczątku z ogólnego rozbicia. Wyznać należy iż wygody długiego pokoju, jeźli przerywanego wojną, to przez zastępców prowadzoną, wiara w złoto przeciw żelazu, a gnuśność fizyczna przy nadzwyczajnéj ruchawości umysłowéj, oddawna usposobiły Włochów do chytrości i przeniewierstwa. Ideałem XV. wieku był Franciszek Sforza, który przez niezrównaną zręczność z pospolitego awanturnika wyniósł się na pierwszy tron we Włoszech, zwyciężając wrogów za pomocą zdradzieckich sprzymierzeńców w ich obozie, obracając późniéj oręż na tychże swych pomocników, wciąż poduszczając jednych na drugich. Mąż stanu z owych czasów wydaje się prawdziwą zagadką. Dziwna mięszanina złych i dobrych przymiotów pozwala mu ukrywać najniegodziwsze zamiary pod pozorami zacności. Układna wymowa, służy mu tylko za osłonę podstępnych planów. Zawsze przygotowany na każdy obrót sprawy, używa zaklęć i przysięgi, kiedy chce uwieść, nigdy mu nie brak wymówki, kiedy ma zdradzić. Jego okrucieństwa nie pochodzą ani z porywczości, ani z igraszki nieograniczonéj władzy, ale z głębokiego wyrachowania. Jego namiętności jak dobrze wyćwiczone wojsko, unoszą

się gwałtownością tylko na rozkaz, a w najdzikszym zapędzie nie zapominają karności i porządku, do których były włożone. Cała jego dusza zajętą jest głęboko ułożonym zamiarem, a jednak oblicze i słowa przedstawiają obojętność i swobodę. Nienawiść i zemsta drgają mu w scrcu, a jednak każde jego spojrzenie jest uśmiechem, każdy giest przymileniem, każdy wyraz dobrodusznėm umiarkowaniem. Nigdy on przedwcześnie nie obudza baczności w swych przeciwnikach. Chroni się drobnych zaczepek, nagłych wybuchów wstrętu, cząstkowych ciosów. Prawdziwy jego zamiar odkrywa się dopiero w chwili urzeczywistnienia. Pogodną twarzą, uprzejmą mową, usypia ostrożność swéj ofiary, a gdy tę do szczętu omami, bierze na cel niezawodny, i uderza po raz pierwszy i ostatni. Żołnierskiéj odwagi ani posiada, ani ceni. Unika niebezpieczeństw, nie koniecznie dla tego iżby wstydu nie znał, ale że wyżéj jeszcze stawia zręczność zachowawczości. Za najskuteczniejsze środki uważa te, które działają najskorzéj i najtajemniéj. Nie może pojąć dla czegoby człowiek miał się wstydzić oszukać pokryjomu tego, któregoby się nie wahał zabić otwarcie. Jeźli postanowił zgładzić kogo, sądzi iż dla obu najlepiéj będzie, gdy mu naprzód podstępnie broń odbierze. Wizerunki włoskich polityków z owéj epoki ściśle odpowiadają ich charakterowi. Szerokie i majestatyczne czoła, — brwi gęste i czarne, lecz nie groźne, — oczy wielkie, pogodne a przenikliwe, które nic nie wydają a wszystko widzą, — nosy wydęte, — lica blade i zawiędłe długiém rozmyślaniem, — usta prawie nadobności kobiecéj, alé zwarte więcéj niż męzką wolą, — odkrywają ludzi z nieugiętém postanowieniem, pełnych baczności, zarówno biegłych w śledzeniu zamiarów drugiego, jak w tajeniu wlasnych, pewnych w nienawiści a niepewnych w przyjaźni. Zgoła, znać w każdym rysie iż to są zręczni pieniacze by coś wytargować z puszczonego na przegraną procesu, nie zaś obrońcy wielkiéj, świętéj, a tylko pod przemocą ulegającéj sprawy. Wszystkie téż ich niepospolite zdolności obróciły się nie na korzyść, ale na szkodę ojczyzny. Rozpierzchnięci po dworach, zawikłani w najciemniejsze intrygi, jedni przeciw drugim walczyli, jedni drugich neutralizowali, zręczność włoska goniła na ostre ze zręcznością włoską, siła równoważyła siłę, a tymczasem obcy ciemiężca coraz szersze rozpościerał panowanie.

IV.

Z takiéj to szkoły wychodził, na takich wzorach wzrastał, takich polityków mistrzem stał się Machiawel. Uposażony wyższą od innych organizacyą, wyraża on dobitniéj i zbiera w jedno wszystkie cechy całego rodzaju. Zdaje się, jak gdyby długie pokolenia nań się składały. Niewyraźne rysy wieków i ludzi w nim się ścinają w jedną posągową kształtność, myśl czasów brzemienna przychodzi do świadomości siebie, kryjące się przywary występują w majestacie nauki, tajemnice zbrodni przechodzą w jawną metodę stanu, widać wszędzie człowieka potężnéj woli, który obejmuje rzeczy nie częściowo i po wierzchu, ale na wskróś i od razu, jest zawsze panem siebie, wie czego chce, i z własnego wyboru staje się mistrzem najstraszniejszéj nauki, rządzenia światem — bez Boga. Lecz dość się już przywiodło na potępienie i człowieka i męża stanu. Pozostaje nam na zakończenie, uchylając na bok kwestyą zasady i godziwości środków, przyjmując przypuszczenie najpomyślniejsze dla niego, to jest, że w ciągu całego życia miał

cel, i że tym celem było wyswobodzenie ojczyzny, — pozostaje nam przypatrzeć się trybowi, wedle którego dążył do urzeczywistnienia swéj myśli.

Machiawel miał lat 9, kiedy wybuchł spisek Pazzich, i kiedy Julian de Medici upadł zabity na stopniach ołtarza. W 25. roku życia był świadkiem zdarzenia, które na wszystkie jego wyobrażenia stanowczo wpłynęło. Karól VIII. zajmuje całe Włochy. — Medyceuszowie posądzeni o tajne związki z najezdcą, wypędzeni zostają z Florencyi Savonarola obejmuje po nich władzę i wkrótce upada. Florencya bez siły, bez wojska, prawie bez rządu, obsaczona nieprzyjaciołmi, kładzie ostatnie swe nadzieje w dyplomacyi, próbuje czy nie poróżni między sobą spiknionych na jéj zgubę wrogów, lub czy od siebie grożącego ciosu nie odwróci wskazując zaborcom sąsiednie państwa na łup i zniszczenie. Wpływ cudzoziemski wszystkim rozrządzał. Wewnętrzne sprawy każdego miasta, spory stronnictw, już się nie rozstrzygały na ratuszach, ani na rynkach, ale w przedpokojach Ludwika, Maxymiliana i Ferdynanda. Więcéj przeto zależało na wyborze ambasador, jak na dowódzcy wojska lub administratorze spraw miejscowych. Ambasadora w owych czasach musiał być wykształconym, hojnym, wymownym, musiał być literatem i zalotnikiem, jurystą i szpiegiem. Do niego należało podchlebiać monarsze, który władał jego ojczyzną, oszukiwać ministra, który władał monarchą, przekupywać nałożnicę, która władała ministrem. Nie odpowiadał on swemu powołaniu, jeźli nie miał udziału we wszystkich intrygach, jeźli nie umiał nastroić oblicza na wszelki wypadek, zaklinać i prosić, udawać dumę i obrażoną cnotę, poddawać się wszelkim fantazyom, usypiać podejrzenia, chwytać w przelocie każde słowo i skinienie, zgoła wszystkiem być, wszystko widzieć i wszystko znosić. Powołanie takie przypadło co do joty do skłonności i przymiotów Machiawela. Podjął je *con amore* prawdziwie włoskiém. Jeźli się skarżył, to tylko wtenczas kiedy mu Rzeczpospolita nie dość dostarczała pieniędzy. Jeździł na dwór cesarski, był po dwakroć posłannikiem do Rzymu, trzy razy do Francyi. Jego *Legaziöni e Commissioni*, szacowny zabytek dla historyi, dowodnie okazują jak doskonale umiał czynić zadosyć wszystkim wymagalnościom swego urzędu, jak zręcznie zdołał obchodzić się z gwałtownością Ludwika XII., z przenikliwością kardynało d'Amboise, z próżnością Maxymiliana, z powagą Juliusza II., i — na czém największą zasadzał chwałę, — z chytrością Cezara Borgia. Relacya z missyi i obcowania z tym ostatnim jest prawdziwém arcy-dziełem. Bystre oko florentskiego posła przenika do głębi czarną duszę księcia, zgaduje jego zamiary ledwie w myśli zasnute, dzień po dniu donosi swemu rządowi co się nazajutrz stanie, a gdy się czyn dokona, opisuje katastrofę z ironiczną spokojnością człowieka, który niedopuszczając żadnych złudzeń, dobrze przewidział, że inaczéj stać się nie mogło. Jest coś prawdziwie demonicznego w téj duchowéj spółce teoretyka z praktykiem. Zdaje się, że jeden jest głową, a drugi tylko ręką, że co jeden wymyśli, to drugi zaraz wykonywa, nie mogąc się oprzeć duchowi piekielnemu, który go swym wzrokiem trzyma na uwięzi, który go ująwszy w zaczarowane koło, z miejsca na miejsce, z zbrodni do zbrodni popycha. Kiedy zabiegły książe pochwytał buntujących się panów i rabusiów w Romanii, i oddał winowajców pod surowy sąd swego ministra Ramiro d'Arco, a ten działając w myśl pana, wieszał, ćwiertował, aż póki ich nie wyniszczył do szczętu, wtedy Machiawel zaraz donosi, że zbyt usłużny minister tem drożéj przypłaci ten nadmiar gor-

liwości, że już jest niepotrzebnym. Nazajutrz po wysłaniu depeszy znaleziono Ramira przerąbanego w pół na placu publicznym, co Machiawel opowiada w następnym liście, dodając te słowa: »Stało się jako przewidziałem; taka była wola »księcia, zapewnie by pokazać że umie i wznosić i strącać ludzi według upodo»bania.« Kiedyindziéj książe sprasza na zgodę do Sinigalii swych zaciętych nieprzyjaciół: Vitellozzich, Oliverettów i Orsinich, daje im rękojmie, obietnice, przysięgi, a zwabiwszy pod dach jeden, rozkazuje bez miłosierdzia wymordować. Wszystkich oszukał, ale nie Machiawela. Ten zawczasu domyślił się, że rozwiązanie téj komedyi będzie najstraszliwszą tragedyą. W jednym tylko razie nie mógł go dostatecznie zgłębić. Wiedział dobrze, że książe podbiwszy całą Romanią z wyjątkiem Bononii, obsaczywszy Marchie i księstwo Urbino, zająwszy wojskiem część Toskanii, czyhał rychło Florencya wpadnie mu w ręce. Znał zamiar ale nie mógł zbadać środków, i dla tego dobrodusznie się skarży, że w téj mierze książe jest *secretissimo*. Lecz i tu wątpić się godzi, aby ambassador szczerze pragnął zniweczyć zamysły księcia, i ojczyznę przed jego drapieżną dłonią uchronić. Owszem zdaje się, iż myśl oddawna powzięta, ale głęboko dotąd tajona, dojrzewała teraz na czole Machiawela pod skwarném słońcem zwycięzkiego Borgii. Myśl ta była niepewną nadzieją, dalekiém życzeniem, póki brakło człowieka, lecz gdy człowiek się znalazł, stała się systematem.

Machiawel w młodości swéj był świadkiem upadku Savonaroli. Jeszcze za czasów jego potęgi zwykł był mawiać: »prorok bez wojska zawsze źle kończy,« — a gdy ulubieńca ludu ujrzał ginącego na stosie wśród okrzyków pospólstwa, zwątpił do reszty o wszelkiéj sile ducha, zdało mu się, że wiara już się nigdy nie podniesie, że cnota jest czczym wyrazem, że jedynym czynnikiem na świecie jest siła fizyczna. Ponieważ religia nie mogła od razu zbawić ojczyzny, wniósł, że ojczyznę można zbawić bez religii. Ponieważ Bóg nie chciał uczynić cudu, wyrozumował sobie, że się trzeba obejść bez Boga. Odtąd wszelką reformę przez podniesienie ducha narodowego, przez uzacnienie człowieka, poczytał słabych i ciemnych dusz urojeniem. W sporach stronnictw nie widział już ani znaczenia, ani życia. Odrzucał Gwelfów, złorzecząc papieżowi, odrzucał Gibellinów, przeklinając cesarza. Naprawa istniejących instytucyi zdała mu się niepodobną. Mniema, że kościół upaść musi, i dla tego ani z papieżem, ani z podnoszącymi się reformatorami nie trzyma. Jest po prostu ateuszem. Każde wyznanie jest dla niego dobrém, byle uczyło ludzi bojaźni i ślepego korzenia się przed wolą jednego. Z Ewangelii zachowuje tylko jeden artykuł, to jest podanie o pierwotném skażeniu natury ludzkiéj. Człowiek, zły z natury, bez opatrzności i bez odkupienia nad sobą, skazany na wieczną niewolę lub na wieczny bój z bliźnimi, o tyle tylko zdolny czego dokonać, o ile party trwogą i posłuszny na każde skinienie z góry jednéj, ani ludziom, ani Bogu nieodpowiedzialnéj woli, oto obywatel spółeczeństwa, jakie Machiawel musiał sobie za jedynie możebne wystawiać. Jeżeli tak nie myślał, to znać nie zdawał sobie ścisłego rachunku z koniecznych następstw swéj teoryi. Postępował jednak jak gdyby myślał tak a nie inaczéj. Tylko miłość ojczyzny była w nim szczęśliwą niekonsekwencyą. Otrząsnąwszy się więc z wszelkich, jak mniemał, przesądów wiary i moralności, poszedł tam gdzie go nęciła potęga, gdzie się siły ścierały i równoważyły. Rzucił się w grę dyplomacyi. Wrodzona przenikliwość dała mu przecież wnet poznać na dworach cudzoziemskich, że dla Włoch w téj grze niema nadziei,

że żelazne ramie najlepszą jest dyplomacyą, że obcy współzawodnicy mogą się kłócić, godzić, to znowu bitwy między sobą staczać, a że Włochy za wszystko zapłacą i odpokutują. Traf pozwala mu wejść w bliższe stosunki z jedynym książęciem włoskim, któremu udaje się w pośród ogalnego zamieszania coraz większą zdobywać potęgę. Przyswaja go sobie od razu, zespala się z jego wolą, ambicyą, z jego metodą w działaniu. Obojętnemu na wszystkie pobudki moralne, cóż może zawadzać, że ten człowiek okryty zbrodniami, obciążony przekleństwem ludzi, zniesławiony zabójstwem Perota, którego swą ręką pod płaszczem własnego ojca zadławił, skalany krwią szwagra, którego w swéj przytomności kazał udusić, splamiony krwią brata, którego kazał utopić w Tybrze by się pozbyć wspólnika w kazirodztwie z własną siostrą, — cóż mu to wszystko szkodzi, kiedy widzi jak temuż człowiekowi lekko i swobodnie z wszystkiemi ohydy i złorzeczeniami, jak górnie nosi czoło, jak żadną trwogą niezachwiany wszystkie swe zamiary do pomyślnego prowadzi końca. W nim więc pokłada całą swą nadzieję, w nim już widzi wybawcę ojczyzny. Niech naród coraz więcéj cierpi, niech zepsucie coraz bardziéj go toczy, niech w coraz sromotniejszą wpada niewolę, mniejsza o stratę ciał i dusz, z nadmiaru złego może dobro wyniknąć, z otchłani zepsucia wystąpić zbawienie, z ciemności niewoli zaświtać swoboda. Ale niestety dla teoretyka, jeden podmuch przeciwności strąca jego bożyszcze w niepowrotny upadek. Borgia, po śmierci ojca opuszczony od wszystkich, zdrajca schwytany zdradą, zawiedziony do więzienia w Hiszpanii, od razu wszystko traci, a los jego staje się straszną przestrogą i uprzytomnieniem karzącego Boga. Teoretyk boleje, ale się nie zraża, nie cofa. On, który zwątpił w potęgę ducha po upadku Savonaroli, uporczywie podwaja swą wiarę w potęgę ślepéj przemocy po upadku Borgii. Jeden człowiek się nie udał, drugiemu lepiéj powieść się może, a jeźli taki nie rychło się znajdzie, to na poczekaniu systemat zostanie zredagowany naukowo w książkę, a książka przejdzie w umiejętność dla przyszłości. Medyceuszowie wracają do Florencyi. Machiawel, posądzony o spiskowanie, wzięty na tortury, wykręca się sonetem na cześć swego kata. Udarzony wolnością, chciałby zaraz wejść w usługi nowego pana. Zaklina się mu, że nie jest człowiekiem zasad, ale tylko urzędnikiem, który wiele widział, wiele miał doświadczenia, wiele tajemnic stanu zna, a zatém każdemu pożytecznym być może. Gdy jednak odrzucono jego nalegania, udaje się na ustronie, — i tu pisze swe dzieło. Borgia upadł, może Medyceuszowi przyjaźniéj fortuna posłuży. Lorenzowi więc dedykuje swe pismo, do niego w całym ciągu przemawia, stawia przed nim obraz doskonałego wedle swéj teoryi księcia, wszystkie prawa człowieka poddaje jego woli, pozwala na wszystkie zbrodnie byle zręcznie spełnione, pozwala nawet niekiedy na cnoty byle służyły ku lepszemu oszukiwaniu, i tak wystawiwszy straszną, piekielną potęgę, nagle przy końcu się zwraca, i jak gdyby dla tém większego utwierdzenia go w złém, wskazuje mu w ostatnim roździele najwyższy zaszczyt do zdobycia, najdroższą chwałę na ziemi, — wybawienie ojczyzny. Kiedy się czyta to domówienie, niepodobna sobie wystawić, że go ta sama kreśliła ręka. Ten, coby tylko zajrzał w ów końcowy rozdział, myślałby że całe dzieło traktuje o zacności obywatelskiéj, o cnotliwéj chwale panujących, o korzyściach z uczciwie wycierpianéj niedoli. Nawet po pierwszém przeczytaniu całości wydać się niejednemu może, że to ironiczna fantazya, że sen, żeśmy patrzyli na cnotliwego, którego odwieczny wróg

świętości prowadzi przez coraz natarczywszych pokus szeregi, a zwalczony sam go naostatek zostawia u rozwartych bram do siedliska błogosławionych. Przytaczamy najznakomitszą część tego rożdziału, bo on jakby wybłysk ostatków szlachetniejszego uczucia, jako ta szczęśliwa niekonsekwencya, o któréj mówiliśmy, ratuje pamięć Machiawela od bezwzględnego potępienia i sromoty, okrywa jego charakter wątpliwością, to jest, daje mu co Anglicy zowią *the benefit of the doubt.* Rożdział ten ma tytuł: *Esortatione a liberare l'Italia da' barbari*, i tak brzmi:

» Zważywszy wszystko com wyżéj powiedział, i roztrząsając sam w sobie czy dziś »w Italii czasy są po temu, by uznać nowego księcia, i czy w niéj jest dość wątku, by »mąż roztropny i cnotliwy zdołał jéj nadać kształt nowy, któryby mu chwałę a dobro ogó»łowi przyniósł, zdaje mi się, że się tyle zbiega okoliczności na korzyść nowego księcia, »że nie wiem czy kiedy był czas sposobniejszy ku temu. I jeźli, jako już rzekłem, lud »izraelski musiał pójść w niewolę Egipcyan, aby się objawiła moc Mojżeszowa, jeźli Per»sów musieli Medowie ciemiężyć, aby Cyrus wielkością ducha zajaśniał, jeźli Ateńczykowie »byli rozproszeni, aby Tezeusz cnotę swą okazał, — tu dziś podobnież, dla wykrycia »dzielności ducha włoskiego, potrzeba było przyprowadzić Italią do ostateczności, w któréj »jest obecnie, zniewolniczyć bardziéj niż Hebrajczyków, ujarzmić cięźéj niż Persów, roz»proszyć więcéj niż Ateńczyków, zostawić bez głowy, bez ładu, zbitą, złupioną, rozszar»paną, obumarłą, rzuconą na pastwę wszystkich niedoli. I chociaż w kim objawił się duch »taki, iż się zdał być przeznaczonym dla jéj wybawienia, to przecież wnet u najwyższego »szczebla swych czynów został opuszczonym przez fortunę, tak, że teraz Italia, jakoby »prawie bez życia, oczekuje kto takim będzie, który jéj rany zagoi, położy koniec klę»skom i zniszczeniom w Lombardyi, zdzierstwom i kontrybucyom w Królestwie i w To»skanii, i wyleczy ją z tych ran od tak dawna zajątrzonych. Jakżeż ona błaga Boga, aby »jéj zesłał kogo, któryby uwolnił ją od tych okrucieństw i zuchwalstw barbarzyńskich. »Jest ona cala w gotowości i chęci pójść za jednym sztandarem, byle tylko znalazł się »kto, coby go w ręce pochwycił. Nikogo też dziś niema, w kimby mogla tyle położyć »nadziei, jak w Waszéj dostojnéj rodzinie, która tak pełna dzielności i szczęścia, obsypana »łaskami od Boga i od kościoła, któremu dziś przewodniczy, łatwo może stanąć na czele »i prowadzić ku temu odkupieniu. Tem zaś łatwiéj da się to osiągnąć, jeźli sobie przy»pomnicie czyny i życie wyżéj przytoczonych. I chociaż podobni ludzie są rzadcy i godni »podziwienia, nie mniéj przecież byli ludźmi, a każdy z nich miał mniejszą sposobność niż »obecna, ich bowiem przedsięwzięcie nie było ani sprawiedliwszém, ani łatwiejszém, ani »też Bóg nie był dla nich łaskawszym jak dla Was. Dziś możecie mieć za sobą najwyższą »sprawiedliwość, bo ta wojna jest sprawiedliwą, która jest konieczną, a broń staje się »świętą, skoro prócz niéj niema innego ratunku. Dziś jest najlepsze usposobienie, a gdzie »jest dobre usposobienie, tam nie może być trudności, byle tylko ściśle iść za wzorami, »które Wam przedstawiłem. Oprócz tego, niema przykładu, aby Bóg komu więcéj jak Wam »szczęścił; morze rozstąpiło się przed Wami, obłok Wam przewodniczył po drodze, ze skały »tryskała woda, manna sypnęła się z nieba, wszystko zgoła składa się na Waszą wielkość, »resztę sami uczynić powinniście. Bóg nie chce wszystkiego sam dokonywać, aby nie za»bierać człowiekowi wolnéj woli i téj cząstki chwały, która nań przypada. Nie należy się »dziwić, jeźli który z wyżéj wspomnionych Włochów nie zdołał tego uczynić, czego się »spodziewamy po dostojnym domu Waszym, i jeźli w tylu rewolucyach włoskich i w tylu »wojennych sprawach, dzielność rycerska wydaje się straconą; gdyż to pochodzi z przy»czyny, że dawne urządzenia nie były dobremi, a nikt się nie znalazł, któryby umiał »znaleść nowe; żadna zaś rzecz nie czyni tyle zaszczytu człowiekowi nowo powstającemu, »co nowe prawa i nowe urządzenia przezeń wymyślone. One to, gdy mają dobrą podsta»wę i wielkość, zyskują mu cześć i podziwienie, a we Włoszech nie brak osnowy do za»prowadzenia każdéj formy. Byłaby u nas wielka dzielność w członkach, gdyby jéj nie »brakło w tych, co są głową. Dość spojrzeć na pojedynki i na potyczki częściowe, by »się przekonać, jaką Włosi posiadają wyższość i w sile, i w zręczności, i w dowcipie.

»Lecz to wszystko niknie, gdy się zbierze wojsko; pochodzi to ze słabości naczelników, »ponieważ ci, którzy coś umieją, słuchać nie chcą. a każdy myśli że mądry, nikt zaś tak »się wysoko nie wyniósł cnotą albo fortuną, aby inni mu ulegli. Ztąd pochodzi, iż w tak »długim przeciągu czasu, w tylu wojnach prowadzonych przez ostatnie lat dwadzieścia, ile »razy się znalazło wojsko złożone z samych Włochów, zawsze źle się popisało...........
»Niech więc obecna sposobność nie przeminie, i niech nareszcie tak długo oczekująca Italia »ujrzy swego wybawcę. Nie mogę wyrazić z jaką miłością byłby on przyjęty we wszy»stkich tych prowincyach, które tyle ucierpiały z powodu cudzoziemskich zalewów, z ja»kiem pragnieniem zemsty, z jaką uporczywą wiernością, z jaką czcią, z jakiemi łzami. Ja»kież drzwi śmiałyby się przed nim zamknąć? jaki lud odmówić mu posłuszeństwa? jaka »zawiść stawić mu opór? jaki Włoch skąpić mu uszanowania? Każdemu śmierdzi już ten »barbarzyński ucisk. Niech więc Wasz dom dostojny podejmie to przedsięwzięcie z tym »duchem i tą nadzieją, z którą się podejmują sprawiedliwe sprawy, niech pod Waszą cho»rągwią ojczyzna nową chwałę uzyszcze, i niech pod Waszém orędownictwem sprawdzą »się te słowa Petrarki:

Virtu contro al furore
Prenderà l'arme, a fia il combatter corto:
Che l'antico valore
Negli Italici cuor non ê ancor morto. [1])

Wszyscy prawie krytycy dzieł Machiawela sądzą, iż ten ostatni rozdział jest tylko szumnym finałem, jaskrawym ogniotryskiem dla oślepienia czytelników, maską patryotyzmu dla osłonienia systematu, subtelném kadzidłem dla Medyceuszów. Utwierdza ich w tém zdaniu przekonanie, iż Machiawel za nadto miał bystrości, by mógł jakiekolwiek zakładać nadzieje na dopiero co podźwignionym z ruiny i zniedołężnionym Medycejskim domie. Nam się zdaje, iż można mu przyznać całą zasługę, jaka na jego pamięć spłynąć może z téj, jak nazwano, Marseliezy XVI. wieku. Ale ta zasługa jeszcze go bardziéj potępia; bo tém niebezpieczniejszém jest jego dzieło, iż do tak wzniosłego celu przez tak haniebne drogi prowadzi. Zresztą nie on to jeden przemyśliwał o wyjarzmieniu ojczyzny z pod obcego ucisku. Z pod grubéj skorupy otrętwiałości i zepsucia myśl ta wybuchała tu i ow-

[1]) Opuszczone w powyższém tłómaczeniu miejsce tyczy się rad względem nowych urządzeń w wojsku. Pomysły te daleko obszerniéj autor rozwinął w swém piśmie: *dell' Arte della Guerra.* Dowodzą one jak wielką miał naukę i bystrość, a zarazem stanowią rzeczywistą jego zasługę. Szwajcarowie i Hiszpanie byli wtedy najlepszém wojskiem w Europie. Szwajzarski batalion, uzbrojony we włócznie, przypominał grecką falangę Krótkie miecze i tarcze Hiszpanów przypominały rzymskie legiony. Otóż Machiawel w dziele swojém radzi połączyć oba systemata, i pierwsze szeregi uzbroić we włócznie, a drugie krótkim mieczem. Lubownik starożytności, kiedy inni wskrzeszali literaturę, sztuki greckie i rzymskie, on pragnie zwrotu do taktyki wojennéj, która Rzymianom dała panowanie nad światem, przekłada piechotę nad kawaleryą, oszańcowane obozy nad obronne miasta, rącze i stanowcze razć nad powolne i cząstkowe działania Oburza się na zwyczaj, upowszechniony przez kondotierów, prowadzenia wielkich taborów i licznych koni, nie dozwala żołnierzowi mieć więcéj nad jednego konia. zaleca najściślejszą regularność w marszach, oświadcza się przeciw dzieleniu korpusu w pochodzie na środek, straż tylną i przednik, chce tylko mieć nieco kawaleryi na tyłach i na przedzie, co Francuzi późniéj przyjęli, nie życzy wiele ufać w prochu i artyleryi, daje górę nad armiami stałemi milicyom obywatelskim, które nakształt dzisiejszéj landwery urządza, a nadewszystko wynosi hart i waleczność osobistą, kładąc za podstawę, że wojsko winno się tworzyć z obywateli wyćwiczonych w czasie pokoju, i znaglonych do służby nie siłą, ale głębokiém uczuciem obowiązku względem ojczyzny. —

dzie we Włoszech jakby płomienie gasnącego wulkanu. Ona to zapaliła przemijającym blaskiem sławy duszę ostatniego ze Sforzów. Ona natchnęła szlachetną ambicyą fałszywe serce Pescary. Nią Morone pobudzonym został do zdrady. Jéj światłem, jakby błędnym ognikiem, dotąd Borgiowie zwodzą i w zawieszeniu trzymają surowy sąd historyi. Jéj urzeczywistnieniu poświęcił się Capponi i Soderini. Dla niéj pracował Papież Leon w pośród malarzów i antykwaryuszów. Nią oddychał Papież Juliusz II., o którym z téj przyczyny powiedziano, że rzucił w Tyber klucze Piotra, by oburącz miecz Pawła pochwycić. Ale te wszystkie usiłowania znikły wraz z ich twórcami. Jeden tylko Machiawel zostawił po sobie *naukę*. Bądź co bądź, nauce téj nie można odmówić patryotyzmu. Machiawel był patryotą, ale z rzędu tych, którzy stają się szkodliwszymi dla ojczyzny jak najzaciętsze wrogi. Usunąwszy podstawę moralną i religijną, budują na wiatr. Dzieło oswobodzenia, odkupienia, potrzebujące najczystszych serc, najwznioślejszych dusz, powierzają potęgom szatańskim, zemście i fałszowi. Ponieważ naród został przyciśnięty jarzmem do ziemi, podziemnemi drogami chcą go znowu na jaw wydobyć. Ideałem ich władzy jest terroryzm dyktatury, niwellujący wszystko, szafujący krwią, znaczący na śmierć całe pokolenia. Im naród więcéj cierpi, im bardziéj ubożeje, tém według nich lepiéj jest, bo łzy, nędza i głód, prowadzą do rozpaczy, a rozpacz wydaje bohaterów. Wymarzywszy sobie jakiś ideał, stawiają go za absolutną prawdę, i usiłują w swéj zarozumiałości, wbrew naturze, wbrew tradycyi i doświadczeniu, na przekór prawom bożym, gwałtem, przez najcięższe męki i straty, gnać ludzi ku niemu. Poczytując swą myśl za najwyższe dobro i światło, nie przypuszczają żadnéj zwłoki i oporu, sądzą się nieodzownie powołanymi, by ją ludziom wgnieść w piersi, wgwoździć w skroń, wwiercić w serca, — mniemają, że można tratując po nieśmiertelnéj duszy wynieśmiertelnić ją, zagnać ją męczarniami i szaleństwem do wymarzonego przez siebie raju, jak Furye zaganiały przeklętych do Erebu. Oby dla takich los Machiawela i jego nauki stał się przestrogą! Uposażony nadzwyczajnym geniuszem, przyniósł swemu narodowi tylko większą niedolę i wstyd. Wszyscy jego bohaterowie poginęli marnie, zostawiając po sobie jeszcze straszniejszą niemoc i zniszczenie. Żadna z jego myśli nie wcieliła się w życie na korzyść kraju. Imię jego stało się synonimem nikczemności. Z obosiecznéj nauki skorzystali tylko despoci; ludy żadnego nie odniosły pożytku. Po trzech wiekach poddaństwa i niedoli, własny jego naród nie pojął najgłówniejszéj jego myśli, nie zdołał w nowéj walce o niepodległość zdobyć się na cnotę, by się połączyć koło jednego naczelnika: ani koło promiennéj dobrocią i pokorą postaci Piusa IX., ani koło królewskiego wojownika, który poświęcał siebie i swój dom, i wywiesił tyle pociągające godło: *L'Italia fara da se.* Po trzech też wiekach, najznakomitszy dziś dziejopisarz włoski (Cantu) nie umie nic innego powiedzieć na obronę Machiawela, jak te boleśne wyrazy: »Nie wyrzu»cajcie nam, że z pośród nas wystąpił ten system, bośmy najpierwszą, najdłuż»szą i najkrwawszą jego ofiarą.«

WIADOMOSCI BIEZĄCE.

PIŚMIENICTWO.

MELODYE BIBLIJNE *przez* KORNELA UJEJSKIEGO
Lwów, 1852.

Kiedyśmy ostatni raz mówili o panu Ujejskim, powiedzieliśmy, że pierwsze jego dzieło. to jest *Skargi Jeremiego*, pozostanie dla nas stanowczą miarą wszelkich pism jego poźniejszych. Otóż, jako w *Kwiatach bez woni* i w *Zwiędłych Liściach* zdał nam się poeta nie dosięgać téj miary, tak znowu w niniejszym zbiorze wznosi się bez wątpienia na pierwotnie zajętą wysokość. Jeźli tu bowiem nie zupełnie jeszcze odpowiedział swemu zadaniu, jeźli nie doszedł dojrzałości, to przyznać należy, iż pozbył się już wielu z wad swoich, a wszystkie zalety w wiosennéj zachował świeżości. Pomnieć przytém potrzeba na trudność przedmiotu, który wymaga najwyższego uniesienia poetycznego obok największéj prostoty i spokoju, siły zdolnéj poruszyć do głębi uczucia obecnéj chwili, a zarazem sztuki umiejącéj wiernie przechować barwę narodu i czasów tak od nas oddalonych. Niektórzy z najznakomitszych poetów ostatniéj epoki nie wydołali podobnemu przedsięwzięciu. Tomasz Moore rzucił jakby od niechcenia kilka biblijnych pieśni, które o wiele nie dorównywają jego melodyom irlandzkim. Z dwudziestu trzech *Melodyi Hebrajskich* Byrona, większa połowa nie ma żadnéj z historyą ludu izraelskiego styczności, ani w formie, ani w duchu, i zarówno do każdego narodu i czasu przystać może. [1]) Już więc jeśt to niepoślednią zasługą w naszym autorze, że

[1]) Aby usprawiedliwić zdanie nasze i zarazem przypomnieć czytelnikom kształt i wątek melodyi Byrona, przytaczamy trzy następujące w dorywczém tłómaczeniu:

She walks in Beauty.

Idzie w Piękności, jak noc, która kroczy
W cichém gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;
Co cień i światło w sobie kras jednoczy,
To w jéj obliczu i w jéj oczach taje,
I razem spływa w taki ton uroczy,
Jakiego niebo dumie dnia nie daje.

Mniéj jednym blaskiem, więcéj jednym cieniem
Zgasłby w połowie ten wdzięk, który słania
Każdym jéj kruczych warkoczów pierścieniem,
Lub przez twarz światło łagodne przegania,
Gdzie myśli świadczą pogodnym promieniem,
Jak czystą, lubą, jest głąb ich mieszkania.

A na tém czole, na téj cichéj twarzy,
Spokojnéj, nieméj, a wymownéj tyle,
Uśmiech co nęci, ogień co się żarzy,
Zwiastują w cnocie z'iegłe życia chwile,
Duszę, co wszystkich swym pokojem darzy,
I serce ufne w niewinności sile.

jego biblijne pieśni są w istocie biblijnemi. Trzyma on się ściśle osób, miejsc i wypadków Starego Zakonu, i choć widocznie ma na względzie obecne boleści nasze, nie wychodzi nigdy po za karby obranego przedmiotu. Czego tu brak, a raczéj czego zbytek nie dozwala autorowi utrzymać się w sile i powadze poezyom biblijnym przynależnéj, o tém przy końcu powiemy.

Próbę tych melodyi mieli już czytelnicy nasi w pierwszym poszycie *Przeglądu* z 1850. r. Nie wiemy czy z przyczyny dawniejszéj znajomości, czy przez naturalną skłonność ku pracom ogłaszanym w piśmie naszém, obie tam zamieszczone melodye pod tytułem: *Izrael w Egipcie* i *Jeremiasz* zdają się nam i w niniejszym zbiorze pierwsze zajmować miejsce. Lecz każda z szesnastu pieśni zbiór ten składających tak odmienny ma tok i właściwe sobie oblicze, iż usunąwszy dwie lub trzy mniéj szczęśliwie oddane, wybór między niemi stałby się nader trudnym. Autor pięknie usprawiedliwia swe przedsięwzięcie, kładąc na wstępie następujące słowa w usta swemu aniołowi:

W cieniu mych skrzydeł tulę ziemskie dziecko,
Sławą i pieśnią nie wzleci wysoko,
Ale ma duszę czystą i nieświecką,
Serce do uczuć, do łez skłonna oko.

I chociaż orłom w locie nie wyrówna,
Chociaż przy ziemi nieraz zaszybuje,
To pieśń mu pójdzie jako nitka równa,
Którą nie zerwie — aż całą wysnuje.

Daj mu twą harfę melodyi aniele,
On twoich żalów wiernym będzie echem,
Bo w jego kraju nie mieszka wesele,
W jego narodzie każdy śmiech jest grzechem.

Niepodobna tu nie zwrócić uwagi na postęp w skromności, który autor uczynił od owych czasów, kiedy siebie wystawiał jako roztaczającego w górze

---

My soul is dark.

Ma dusza smutna! O nastrój twą lutnię,
Znieść mogę tylko jéj głos brzmiący smutnie, —
I wraz przelotem harmonijnéj ręki
Dobądź dla ucha te co koją dźwięki.
Jeżli w tem sercu nadzieja spoczywa,
Znowu ją na jaw wywiedzie twe granie;
Jeżli w tych oczach drga łza jaka tkliwa,
Spłynie i palić w mózgu mi przestanie.

Lecz dobądź nutę z boleści wyjękłą,
Bo ton wesela zraniłby mą duszę;
Wierz mi, Minstrelu, że ja płakać muszę
By przepełnione serce mi nie pękło
Gdyż je z młodości karmiła tęsknota;
W bezsennych nocach dręczył ból żywota;
I dziś, gdy biedne już o szczęściu nie śni,
Pęknie od razu, lub się podda pieśni.

Sun of the Sleepless.

Słońce bezsennych! Księżycu ponury!
Którego promień we łzach drżący z góry
Pokaże ciemność, lecz jéj nie rozproszy, —
Jakżeś podobny pamiątce roskoszy!
Tak świeci przeszłość, — gwiazda dni co zbiegły, —
Ale nie grzeje blaskiem mdłych promieni,
A smutek czuwa i widzi w przestrzeni
Jéj promyk jasny, lecz zimny... odległy!

skrzydła *na znak przymierza*, a lud swój jako z drzeniem ku niemu spoglądający, *by usłyszyć co proroczy zaśpiewa mu ptak*. Śmiało zapowiedzieć możem p. Ujejskiemu, że im niżéj padnie duszą w pokorze, tém wyżéj *sławą i pieśnią* wzleci, bo, nieco zmieniwszy wyrażenie innego poety.

Tylko w rozsłaną tak przed Bogiem duszę
Spływa wśród ciszy natchnienny głos Boga.

Jako bowiem religia jest aromatem, który chroni wszelką umiejętność ludzką od zepsucia, tak pierwsza przez religią nakazana cnota, pokora, jest tą wonią, która słowa poety najskorzéj zaleca powszechnemu przyjęciu i najdłużéj w świeżości przechowuje. Nią to wszelka ofiara ducha, a czémże innem jest poezya? wprost jako ablowe dymy wznosi się do góry. Czyż idzie zatém, aby poeta miał być bez żadnéj wiary w potęgę swéj pieśni? Owszem, przestałby być poetą w chwili, w któréjby ją utracił. Ale co innego jest podnosić się z dołu życzeniami, pragnieniami, wszystkiém tém, co najpiękniejszego Bóg złożył w duszy ludzkiéj, a co innego ogłaszać z góry wyroki jakby w zastępstwie Boga, i gdzieś na półboskiém stanowisku, niby potęga z potęgą, przymierze z Nim zawierać. Godziwe powołanie poezyi sam autor nadobnie wyraził słowami Jubala w pierwszéj zaraz melodyi.

Choć jednéj nawiązać struny nie umieją,
Synowie Lamecha z méj harfy się śmieją,
Do jarzma wdrożeni, od Boga wzgardzeni,
O raju straconym i nie śnią.

A jabym w ich piersiach zaszczepić chciał bole,
By żywo uczuli swą własną niedolę,
A potém znużone te serca skrwawione
Cieszyłbym nadzieją i pieśnią.......

Synowie Lamecha wzgardzają pieśniami,
Lecz kiedyś, o! kiedyś nadejdą ze łzami,
Jubala obsiędą i prosić go będą
O jedną piosenkę — jałmużnę.

A kiedy z tą pieśnią przed panem upadną,
To raju stróżowi miecz ognia wykradną,
Na ziemi wygnania usłyszą wołania:
»Zwijajcie namioty podróżne!«

Lecz, niestety, nie było już przeznaczoném człowiekowi wrócić do utraconego raju. Złe, z grzechem pierworodnym poczęte, od czasu do czasu rozkrywało całą otchłań upadku. Wybuch największéj sromoty, a razem najsroższą w Starym Zakonie karę, autor wystawia w następnéj melodyi: *Ostatnie głosy Sodomy*. Tu po raz pierwszy różnimy się z poetą. Ani bowiem rytm téj pieśni, jakkolwiek bogaty, ani obrazy, jakkolwiek jaskrawe, nie zgadzają się z duchem pierwotnéj hebrajskiego narodu historyi. Weźmy na przykład dwie strofy, które tak brzmią:

Głos drugi.

To do dnia pochodnia roznieca się już,
Na głowy ogniowy spadł wieniec nam z róż,
Ty drzysz mi na ręku?
O luba! bez lęku
Czekajmy w pieszczocie snu.

W połysku, w uścisku opada mi skroń,
Dym mroczy! — gdzie oczy, gdzie usta, twa dłoń,

Tam lawy wrą deszcze,
O luba! raz jeszcze
Pocałuj — bo konam — tchu!!

Głos czwarty.

Morderca bez serca wytępia swój ród,
I z nieba miast chleba śle ogień i głód,
Chce zniszczyć potopem,
To siarki ukropem,
Przez siebie wszczepiony grzech.

Choć skryła mogiła mnie węgli i siark,
Nie ścielę w popiele przed tobą mój kark,
Lecz w twoje otchłanie,
Jechowo — szatanie,
Wyrzucam przedśmiertny — śmiech!

Te róże, te pieszczóty, i pocałunki, nie sąż raczéj przyborami bachicznych śpiewów wyrafinowanego zepsucia, o którém nigdzie w starym testamencie niema wzmianki. Zbrodnie Sodomy może były gorsze, ale właśnie dla tego wymuskana pieściwość nowszych czasów nie przypada im do stroju. Cóż dopiero rzec o drugiéj strofie? Hebrajczyk odstępował często od Boga, zapominał o nim, ale go nigdy nie wyzywał na pięście. Jeden tylko przykład znajduje się w Biblii, który, jeźli już koniecznie do saméj litery przywiązać się mamy, wyobraża człowieka stającego do walki z Bogiem, i usiłującego skłonić go przemocą do swych życzeń. Lecz któż był ten człowiek? Oto Jakób, wybrana głowa Izraela, który pasuje się z aniołem, by na nim wymódz błogosławieństwo. Nie do owych przeto czasów, ale do naszych, do improwizacyi Konradowych, należy owa junakierya, która złorzecząc pojedynkuje się z Bogiem; tak jak owe przezywanie Boga szatanem, stawianie go w sprzeczności, że nas karze za grzechy przez siebie samego w nas wszczepione, należy do filozofującego ateizmu naszéj epoki, nie zaś do grubego, w żadne subtelności niewdającego się przestępstwa w młodocianym świecie. Z tych powodów byłoby lepiéj, gdyby był autor ograniczył się na obrazie zniszczenia Sodomy i Gomory, który tak dobitnie maluje w melodyi *Słup Soli. Hagar na puszczy* i *Rebekę* policzyć można do najpiękniejszych wierszów w tym zbiorze. Nie mogąc zbyt mnożyć wyjątków, przytoczymy tylko obraz Rebeki.

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnéj szacie, z dzbankiem na głowie,
Szła z wolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką co wiszą,
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą

A tak śrebrzała na tle murawy,
Jak biała lilja w dolinie,
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jéj włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ogniéździa się gołębica

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modréj wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

Nadobny to zaiste wizerunek, tylko znowu owe dwie gwiazdki przypominają wypieszczony tryb nowoczesnych ballad. Gdyby kto chciał jeszcze bliżéj przekonać się jak źle jest opowiadania biblijne trefić romansowością dzisiejszą, niech przeczyta zaraz następną melodyą *Żona Putifara.* Może dla innych szkodą, nam zaś zyskiem się wydaje, że poezya ledwo się tknie przedmiotów tego rodzaju, zaraz zwija urażone swe skrzydła. Wierszowi *Izrael w Egipcie* już oddaliśmy zasłużoną pochwałę. Równéj prawie siły jest *Hymn wychodźców z Egiptu* i *Pan w gniewie.* Z ostatniego godne są przytoczenia następujące strofy:

Przyjdzie wróg wasz z licznemi jak gwiazdy zastępy,
A sprawię, że wam ręka kamieniem ocięży,
Waszą strzałę wiatr zniesie, wasz miecz będzie tępy,
Zawiść wam rzucę w serca, i wróg was zwycięży
Waszą bronią, — padniecie krwią zlani, a sępy
Po polach włóczyć będą ciała waszych męży,
Bom ja Pan, Bóg wasz.

A jedni w obce kraje pójdą na tułactwo,
Konać będą z zwróconą ku swéj ziemi twarzą;
A drudzy wór obloką, i liche żebractwo
U progu pełnych stodół na głód się poskarzą;
A inni — zaślinione, plugawe robactwo —
Własny naród obrzucą zdradę i potwarzą,
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Chmury na was miast deszczem posypią popiołem,
Skwar słońca wasze ciała pokurczy, pokarli,
I czołgać się będziecie z osłoniętém czołem,
Żałobnicy, co w bólu swe szaty rozdarli,
I nikt was nie pocieszy wieszczeniem wesołem,
Z swych grobów kląć wam będą ojcowie umarli,
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Strasznym, przerażającym jest głos ten, wszakże doskonale odpowiada wyobrażeniu Izraelitów, którzy lepiéj pojmowali Boga grozy jak Boga miłości. Ale oto idzie bez zwłoki pocieszenie pokutującemu narodowi. Balaam tak wieszczy w następnéj melodyi:

Trzykrotnie jest święty ten naród pokuty,
I święty w nim każdy z osobna,
Bo żywot był jego z nieszczęścia wysnuty,
Jak szata dla sierot żałobna.
I długo w niéj chodził w niedoli i w nędzy,
Nim podarł tę szatę z takiéj szorstkiéj przędzy.

O! naród to święty, ku swojéj krainie
Pół wieku po puszczach wędrował,
Kościami własnemi zasiewał pustynie,
A miłość dla kraju przechował,
Toż siłę przyspożył i rozrósł się mnodze,
A biada tym, biada! co mu staną w drodze.

Na miecze, na włócznie po długich poswarkach
Przerobił swe laski pielgrzymie,
A teraz się zbliża, by na waszych karkach
Tym mieczem zapisał swe imię,
A jeśli się wielką srogością rozpasze,
To będzie wytępiał niemowlęta wasze.
Jak pięknie tam z wiatrem falują namioty,
Oblane strumienia półkołem,
Jak pięknie ku słońcu podnoszą się groty
I światłem migają wesołem.
Izrael po łąkach wysypał się rojem,
I gwarzy ponuro, bo tęskni za bojem.

Zerwijcie namioty, wy synowie burzy!
Potrząście, pobrzęczcie grotami!
I daléj w kraj własny! w ślad waszéj podróży
Krew wrogów popłynie, — Bóg z wami!
Ja wieszczbiarz zgrzybiały, z Moabskiej wyżyny
Wasz pochód i wasze błogosławię czyny.

Wiersz *Mojżesz przed śmiercią* ma szersze od innych rozmiary i jest nieco udramatyzowanym. Mojżesz tak się przed zgonem na górze Nebo do Stwórcy odzywa:

Bo też buntownik on lud wciąż się srożył,
Wiecznie pragnący, pełen win i brudów.
I ledwie syty do snu się położył,
Otwierał oczy i znów wołał! Cudów!
Jakiegoż króla onby nie zubożył!
Ale nie ciebie panie, króla ludów!
Boś ty mu wszystko dawał co potrzeba,
Ognia z piorunów, pogody i chleba.
Wiem pocoś wodził nas morzem i lądem,
Jam myśl twą odgadł w błyskawicy gromu:
»Pamięć doznanej niewoli jest trądem, —
»W kraj obiecany, do mojego domu
»Nikt z nią nie wejdzie.« — Pod strasznym tym sądem,
Nie przepuściłeś ty panie nikomu,
Bo zmarli moi rówieśni i bratni
Wszyscy, — a ja tu umieram ostatni!
Ale te dzieci to już się zrodziły
W puszczy, niepomne egipskiego jęku,
I nie łzy hańby lecz twą rosę piły,
A jam je wszystkie wynosił na ręku.
Niechże się staną ramieniem twéj siły,
I głoszą imie twe w orężnym szczęku,
A groby ojców mając za podstawę
Niech patrzą w niebo i niech rosną w sławę.

Melodya *Jericho*, osnowana na wyrazach z księgi Jozue: »Krzyknie wszystek lud okrzykiem wielkim, a upadną z gruntu mury miejskie,« — kończy się temi wierszami:

Przecież ci ludzie, którzy jedném słowem
I budowali i burzyli miasta,

Nie od aniołów taką władzę wzięli,
Nie! — tylko cierpieć i milczeć umieli.

Daléj idzie *Początek z niedokończonego Dramatu: Samson.* Rzecz ta, jako ledwo co zasnowana, nie podlega krytyce. Wyznać jednak należy, iż autorowi nie tak się składnie powodzi w dramatycznéj jak w lirycznéj formie. Myśl zkądinąd powszednia, tak po prostu a pięknie jest tu na wstępie powiedzianą, iż pominąć jéj nie możemy. Zefora mówi:

A nie mam dziecka, coby w każdéj porze
Śmiało się ze mną lub cierpiało społem,
A kiedy smutne nadejdzie wieczorze
Lało mi w duszę światłość jasném czołem,
I zawsze mową pieszczoną i gładką
Jak złotą struną krząkałoby: Matko!

Trzy ostatnie melodye noszą tytuł: *Jeremiasz*, *Super flumina Babylonis* i *Jan Chrzciciel.* Pierwsza znaną już jest z *Przeglądu.* Na temat drugiéj tyle i tak dobrze u nas pisano, iż dla porównania chyba całą trzebaby przytoczyć, a na to brak nam miejsca. Cztery więc tylko wyjmujemy tu wiersze. Izrael tak grozi Edomczykowi:

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięztw i chwał
Jak lew z cicha kiedy czycha nasz Bóg będzie stał,
I coś zdziałał, toć z nadgrodą odda sądem bożem,
I co spadło na nas deszczem spadnie na cię morzem.

Co do trzeciéj, zgodzić się żadną miarą nie możemy na sposób, jakim autor wywiązał się z swego zadania. Panu Ujejskiemu zdarza się to, co już się niejednemu przed nim poecie przytrafiło. Trzymany nieugiętemi karbami trudnych rytmów, pisze źwięźle, jędrnie a jasno, lecz niechno tylko puści się na luźność ośmiozgłoskowego wiersza, zaraz przechodzi w gadatliwość, w jakąś roślinną wybujałość, która wiele liścia a chude ziarno wydaje. Przyczyna bardzo łatwa do naznaczenia. Pochodzi to bowiem ztąd, że w pierwszym razie poeta musi co krok się miarkować, i natłokowi podrzędnych myśli dawać odprawę, by dla głównéj już i tak nieprzestronne wejście uprzątnąć, w drugim zaś, mając przed sobą nieograniczoną drogę, snując przędzę bez końca, to przymuszony dla dodatkowéj myśli nowy wiersz i rym tworzyć, to dla dania towarzysza temu wierszowi i rymowi zniewolony jeszcze jedną myśl przybrać, nie wie najczęściéj gdzie stanąć, jak zawęźlić swój wątek. Przypominamy, co w tym względzie powiedział Wordsworth w swym Sonecie do Sonetu, a cośmy kreśląc żywot tego pisarza przytoczyli. W melodyi p. Ujejskiego, Jan Chrzciciel za wiele mówi. Używa wyrażeń, obrazów, i myśli za nadto wykwintnych na czasy prostoty ewangelicznéj. Nieomal zdaje się, jakoby przezeń dzisiejszy rzecznik ludowy przemawiał. Pod palmą nad Jordanem prawi *z rostry*, że *widzi przedpiorunne błyski*, że *dla długości prawd łańcucha przez ducha dzieje się dla ducha*, że *gdy się lud rozjęczy*, to *wszystkich obejmie kręgiem tęczy*, a po skończonéj mowie,

Patrzał i głuche słowa szeptał,
A na Jordanie aż wydeptał
Do słońca sobie drogę jasną
Myślami, co z nim razem zgasną.

Wszystko to są kwiaty zebrane z pola, które dzisiejsza poezya zasiewa, a które, jeśli stare, to dla tego, że spospolicone zbyt częstém użyciem. Ten co rozkazywał czynić prostemi ścieszki Pańskie, musiał też po prostu przemawiać.

Ta uwaga doprowadza nas do ogólnego poglądu nad całością pracy p. Ujejskiego. Jeźli bowiem w czém on chybia, to w tém najdotkliwiéj, iż się nie dość jeszcze strzeże pojęć, porównań i wysłowień barwą obecnego wieku uderzających. Do już nadmienionych przykładów dodamy następujący. Manue tak mówi do Bebraima:

Widziałeś kiedy pączek aloesu,
Długo się zwija nim kwiatem wystrzeli,
I mowa twoja tak pełna okresu,
Że się plątając na sto listków dzieli,
Ale różnica jasna leży na tém,
Że chcesz piorunem wystrzelić — nie kwiatem!

Wcale piękne wyrażenie, — ale te nieustanne pioruny w słowach są wyłączną własnością wszystkich dzisiejszych Jordanów, Gustawów, Lesławów, zgoła całéj po-manfredowskiéj rodziny. Chwytając za arfę Siońską, powinien był się poeta jak najsilniéj uzbroić przeciw pokusom zalotnéj muzy obecnego wieku. Nadto, ten przepych kolorytu i bogactwo rytmów, które tu wszędzie spotykamy, uwłaczają nieco surowéj powadze pieśni hebrajskich. Jak bowiem z jednéj strony niedbała potoczystość nieujętego w strofy ośmiozgłoskowego wiersza mało się zgadza z uroczystym rytmem psalmistów, tak znowu z drugiéj, zbyt wyszukane, wciąż nową sztucznością zadziwiające rytmy, już tém samém rażą, że natarczywie przywodzą na pamięć całą wytworność nowoczesnych ballad. Któż naprzykład czytając melodyą *Rebeka*, zdoła się oprzeć, by mu *Świtezianka* w uchu nie tętniła? Zdaniem więc naszém, nie ubóstwo, lecz niewstrzemięźliwa obfitość, zwykła wada u młodych poetów, przeszkodziła panu Ujejskiemu do dostąpienia doskonałości w trudném zadaniu, które sobie obrał.

Z powyższemi zastrzeżeniami, i pomijając niektóre usterki językowe (jak naprzykład: *bez lęku*, *to wieczorze*), składamy autorowi szczere podziękowanie za ten znakomity dodatek do literatury naszéj. Zbiór ten potwierdził w zupełności to, cośmy już wprzód powiedzieli, że p. Ujejski stoi w pierwszym rzędzie poetów najmłodszego pokolenia. Nie chcemy popaść w śmieszność, tak często dawniéj popełnianą, przez zbyt skore poklaski wznoszącym się talentom, lub przez rozdawnictwo dostojeństw w hierarchii poetycznéj, ale trudno nie uznać odstępu, jaki oddziela takich poetów, jak p. Ujejski, od tłumu współczesnych pisarzów, fantastycznych, humorystycznych, prorokujących, a zawsze ciemnych, bo chwytających za pióro, nim się w ich głowie proces myślenia ukończy. Jeźli ci ostatni coraz bardziéj zaciemniają widnokrąg poezyi naszéj, i jeźli w porównaniu z niedaleką przeszłością, smutna dziś u nas doba nastała, to tacy autorowie, jak pan Szajnocha, p. Lenartowicz [1]), a osobliwie p. Ujejski, krzepią nadzieję, iż na tym widnokręgu nigdy zupełnego zmierzchu nie będzie.

---

[1]) Skwapliwie wyznajemy, iż p. Lenartowicz w ostatnich swych utworach, zamieszczanych w *Szkole Polskiéj*, przeszedł nasze oczekiwanie. Lubośmy nigdy nie odmawiali mu zdolności poetycznéj, to przecież sądząc po *Szopce* i innych jego dawniejszych płodach, zdało się nam, iż gubi się w nieszczęśliwéj manierze pisarzów, o których mimochodem wyżéj wspomnieliśmy. Lecz prawdziwy talent zawsze w końcu trafi na drogę sobie właściwą, i jeźli po niéj równym pójdzie torem, powszechne zyszcze uznanie. Otóż p. Lenartowicz napotkał nader wdzięczny i ujmujący rodzaj poezyi, w którym, jak gdyby sobie wyłącznie przeznaczonym, rozwinął od razu całą siłę swego poetycznego ducha. Byle tylko téj fortunnéj kolei nie odstąpił, to coraz bogatsze będzie na niéj zdobywać plony. Z upragnieniem wyglądamy ukazania się zbioru tych nowszych jego poezyi, by obszerniejsze o nich wyłuszczyć zdanie.

SEN. PIEŚŃ Z NIEDOKOŃCZONEGO POEMATU, *wyjęta z pozostałych rękopismów po ś. pamięci I. S.* Leszno, nakładem i drukiem Ernesta Günthera 1852.

Po tylu wizyach chorobliwéj fantazyi bez myśli, bez uczucia, a w których silenie się tylko manieryzmu dosięgło, witamy wreszcie widzenie prawdziwie natchnione, mocnemi kolorami wyobraźni pociągnięte, oddychające uczuciem najprawdziwszém.

Widzenie to wrzkomo należy do cyklu Dantejskiego, w istocie ma inny, odrębny charakter. Darmo w niém szukać owéj potężnéj i swobodnéj rzeczywistości, tak głębokiemi rysami odznaczającéj każdy obraz wieszcza *Boskiéj komedyi*, darmo patrzeć owéj jego kryształowéj czystości pojęć religijnych. Horyzont tu mglisty, obszarom przyświecają najczęściéj błędne ogniki, a wymarzone nowości miejsce prostych prawd zastępują. To wszystko przyznajemy na wstępie zaraz, trudno nam przecież oprzeć się uniesieniu dla dzieła poczętego widocznie w boleści serca, i dokonanego z artystyczną doskonałością, jaka się rzadko u nas napotyka.

Oto główniejsze rysy epizodu:

Młodzieniec Polak zasypia na stopniach ołtarza w kaplicy śród gór Tyrolu. We śnie zjawia się przed nim Dante i zapowiada, że mu pokaże piekło dni naszych.

Jak słup bladawy uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. Czasem z pod jéj stóp wyrywał się nikły meteor, a ztąd i z owąd podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły w oddali; a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała dokąd idzie, a szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność złego.

Tu poeta odsłania przed nami obrazy piekła na dzisiejszym świecie, żołnierskość, szpiegostwo, niewolę robotników wśród pokus złego, niewolę cielesną i duszną niewiast, w końcu materyalizm kupiecki.

Postać zatrzymała się na szczycie góry jakiéjś i niby we wnętrza jéj zstępować zaczęła, a rozwidniało się stopniami i z obu stron drogi stały kute w skale ściany — przez ciasne strzelnice śniady świt się wdzierał — przy ścianach na prawo i na lewo zbrojni, w jednakim stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem, a ciągłym ruchem to grabią się, to prostują, czyszcząc żelazne lufy, które trzymają w ręku. Postać dotknęła młodzieńca znikomym dłoni powiewem, mówiąc: »Przejrzyj — boć tu za»prawdę wstęp do piekła na ziemi.« A wnet obaczył dusze onych na pół z ciał wychylone, niemogące ani wstąpić do nich napowrót, ani też w pełni się oderwać — i targając się płakały: »Nam ni żyć ni umrzeć — gdzie karą iść musim — przeciw Bogu »a idziemy — przeciw braciom a idziem — biada nam.« I płacz ich był nieukojony. — Postać stanęła pytając: »Mówcie czem wy i jakie imie wasze.« — Lecz usta onych ciał wszystkich nic nie odpowiedziały. — »Gdzie ojczyzna wasza?« — A oczy onych ciał wszystkich podniosły się w górę pełne podziwu — »Gdzie dom wasz?« — a śród ócz tylu niektóre tylko upuściły łzę jakoby mętnego wspomnienia — Lecz ramiona wszystkie coraz żywiéj się ruszały, gładząc wciąż lufy i ostrząc kolce bagnetów; — aż z nad niemych ciał odjękły wszystkie dusze razem: »Dziećmi nas jeszcze zagnano w świat — kazali nam za»pomnieć o sobie, a drugich zabijać — kto się opierał, ten sam jak zdrajca kulą zabity, »legł — a teraz nie pamiętamy zkądeśmy wyszły, ni wiemy, gdzie pójdziem.« A na to im blada postać: »Dawniéj kiedy męże stawali do boju, znali jakiéj sprawie służą i czemu »trzeba umierać — oni jako Bogi wojny, a wy jako jéj bydlęta« — I jednem skinieniem rozerwawszy łańcuch zbrojnych, poszła postać ku wschodom, co się wiły w głąb.

Taki jest pierwszy obraz.

W drugim, kusiciel zebranych ponętami złota i roskoszy szpiegów uczy jak zaufanie podchodzić. Ma on przed sobą krzyż, na który każe przysięgać.

Od stóp do głów wzdrygnął się cień Danta i rzekł: »U starych potępieńców nie »spotkałem tego świętego znaku. — Oni przynajmniéj nie umieli bluźnić Bogu, Boga sa»mego imieniem.«

Młodzieniec pyta się Danta:

»Mistrzu! gdzie są dusze tych ludzi, że nie widzę ich choć wzrok duchów od ciebie »przejąłem.« A postać: »W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiéj kary na nie, »zatém w wiekuistą puszczone pogardę, ztożsamiły się ze swemi ciałami. Im tylko wśród »wszystkich święty dar żywota odebran i gdy te ich pierwsze ciała się rozwiążą, ich samych »nie będzie już nigdzie.«

Przyprowadzają zgłodniałego i każą mu przysięgać; długo waha się i broni, nareszcie przysięga.

I mara jakoby anioła, z zasłoną na czole. wyjrzała z przestrzeni, krzyż broniąc kręgiem skrzydeł swoich — i dopóki trwała przysięga, stał anioł rozpostarty przed krzyżem. — A gdy skonał ostatni wyraz przysięgi, gdy ciało zgłodniałe wstawszy wlokło się daléj, twarz anioła pokryła się wielką śniadością — i zasłonę rozdarł, wołając: »Dusza jedna, Panie, »zginęła.«

Młodzieniec schyla głowę z bolu; gdy ją podnosi napowrót, znajduje się w ciemnościach, śród których:

Płynęły blade cmętarze, pełne sterczących rusztowań i kości niepogrzebanych, płynęły jedne za drugiemi jak nawałne chmury. — Z nad nich wzbijały się jakoby tumany liści jesiennych z szumem żałobnym — pełno tam głosów mieszało się razem, a wszystkie skarzyły się na donosicieli — i niewieści szloch i dziecinny płacz i mężów donośny jęk. — A cień Danta rzekł do nich: »Przyjdzie na was czas niebożęta i żyć będziecie podwójną »wiecznością — waszą własną i tych, którzy was zgubili — bo z nicości im przeznaczonéj »wycofnie się duch i przejdzie do was. — Uciszcie się więc o nieszczęśliwi.« A gdy tak mówił, zapłakał sam

Młodzieniec i Dante dostają się na powierzchnią ziemi, przeszedłszy napowrót koło żołnierzy strzegących téj otchłani.

Otwiera się przed nimi obszerny przestwor, ale nie widać błękitu nieba, tylko sklepienia gmachu ogromnego jak świat, granitowego, szarego. »To świątynia, »mówi Dante, w któréj ludzkość zamieszkała na dzisiaj, a w któréj Boga niemasz.«

I wstąpił zaraz między zgraję ludzi przy wejściu siedzących. Każden miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki jak trumna, i nosił na głowie lampę, którą, schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiósł narzędzia. — I każden z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem jak u obłąkanych; i ujrzał młodzieniec takich co trzymali w palcach główkę od szpilki — i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki téj przeżyli. — A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tém olbrzymiém sklepieniu, ten i ów, tu i owdzie, spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się ztaczał — Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki, w kształcie kół zębatych, stęplów, lewarów.

Tłumy wołają na przechodniów »złota, złota!« — Gromiąc gniewnie wołających, Dante rozpowiada o wyrobnikach za swoich czasów.

»Chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież — Szarłatem i wszelakim »kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im »u boku; ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na lądzie sypać niezdobyte »szańce. — Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj, z palcami »jak wosk miękkiemi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza? wy, bez sił »na ziemi i bez nadziei w niebo, a łaknący złota?«

Tu następuje wdzięcznéj rzewności szczegół. Śliczne dziecię, zwiędłe przed czasem od pracy, przyczołgawszy się do kolan Danta, błaga o litość. Dante i młodzieniec idą daléj.

Z kopalni napełnionych tłumem robotników podnoszą się groźby. Tam dwunastu olbrzymów sprzysięga się, trzynasty, który ich wtajemnicza, ryje sztyletem na ich barkach słowa *Wolność* i *Równość*, a krew ciekącą w czarę zbiera. Coraz głośniéj słychać przekleństwa przeciw bogatym. Rzesze niecierpliwe chcą iść na powierzchnią ziemi do giełdy narodów. Wstrzymuje wszystkich człowiek z puginałem a czarą, i sam tylko z olbrzymami wychodzi w stronę szubienic oświeconych gorejącemi kagańcami.

Pod każdą szubienicą klęczały chłopięta, po bokach siedzieli prawnicy i biegli w piśmie, ucząc je jak mają imie naddziadów przeklinać. — Dzieci, owe przekleństwa szemrzącym powtarzały chórem — a gdy które ucichło z niemocy lub zapłakało ze wstrętu, przystępowali nauczyciele z biczem w ręku, a ono zasłaniając się rączętami, ciągnęło daléj.

Dante ciska prawnikom słowo wzgardy.

»Wyście gorsi niż podły gad! bo macie wzrost szlachetnych i mowę uczonych...... »Wiecieli co wolność Ducha? — Biada wam — wy znacie tylko co wygoda ciał.«

Dzieciom błogosławi mówiąc:

»Nie wierzcie fałszom — wyście sługi — ale ojce ojców waszych byli wolnymi w pro»stocie serc swoich. — Wiara w Boga tarczą im była od ucisku ludzi. — Świeżość wiosny

»rozkwitała w ich duszach; — chacie równin czy w zamku na szczycie skał, oni byli sobą, »kochali kochając lub walczyli walcząc. — Dziś jako świat wielki, tak miłości niema i jako »świat wielki tak i walki niemasz.«

Tu jeden z prawników, jednooki (jakby głośny ów odstępca polski), z czapką na bakier, na któréj wyszyte słowo *Lud*, krzycząc *Równość* i *Mord* grozi postaci Danta bronią, którą trzyma w ręku, i mowę zaczyna.

Lecz postać przerwała mu: »Wrzask twój dzwięk marny, a nie żadna myśl; nie krzy- »kiem lecz czynem, nie mordem lecz nastrojem wszystkich, stoi Rzeczpospolita. — Tyś »zwierze, a nie duch, — i zanim przeminie lat dziesięć, ty sam lud twój zdradzisz... Z fal »ta najgorzéj huczy co się ma rozbić na piasku; piersi ludzkie, to fale świata.«

Przechodzą do szpitalu, gdzie na rogożach jęczą niewiasty.

Jedna z tych zerwała się przed widmem Danta, okręciwszy koło rąk włosy rozpuszczone i targając je; — a młodzieniec ujrzał jéj duszę wplecioną między te włosy, od głowy do rąk i od rąk aż do stóp spływającą z niemi. »Mów, krzyknęła, czemu mnie z po- »wierzchni świata zepchnięto do dołu? Pókim ciało miała nadobne chodziłam w promieniach »słońca — ludzie, dobrzy byli dla mnie. — Gdym zwiędła jak kwiat, zrzucili mnie między »gnijące, w ciemny mrok, gdzie płacz i zgrzytanie. — Im, mężczyznom, kiedy zestarzeją, »młodzi pieśni pochwalne śpiewają; — nam, przede dniem śmierci na wiele dni jeszcze, ka- »żą kłaść się do trumny.«

Niewiasty wszystkie wołają: »Sprawiedliwości, sprawiedliwości.«

Aż strugi łez z oczu ich spłynęły na włosy ich długie i z włosów kapały na ziemię z głuchym szelestem dżdżu jesiennego.

Daléj:

Ujrzał młodzieniec kilku starców w czarnych, długich szatach, z kropielnicą w ręku, rzucających wodę na te wszystkie głowy i śpiewających głosem ponurym. — Jedne z niewiast spuściły czoło i cicho na rogoże pokładną się nazad. — Inne przykląkłszy całują tych starców w ręce i szepczą przed nimi nieskończone żale. Ale ta sama co pierwsza się zerwała, jeszcze gwałtowniéj drąc włosy, krzyknie ku nim: »Tam, na powierzchni świata, męż- »czyzni już nie słuchają was, ale rzekli wam: Idźcie, bądźcie szpiegami kobiet umierających. — Gdy klną nas, zamykajcie im usta, bo ich jęki niemiłe nam. — A wy poszli, zstąpili, przyszli. — Wy nas uczycie jak cicho umierać. — Otóż ja umrę głośno, wołając: »Duszęm miała, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali! Ty sądź Boże, ty coś »mi duszę dał!« I dusza jéj przed oczyma młodzieńca wyrwała się z plecionki jéj włosów i poszła w ciemną przestrzeń, jak krwawe płotno przekłóte tysiącami igieł.

Przechodzą do łoża białego na uboczu, tam klęczy czarna postać, a obok niéj jéj dusza biała.

Młodzieńcowi się zdalo, że obok czarnéj klęczącéj widzi białą klęczącą: zupełnie taką samą, tylko że miasto długich włosów, skrzydła dwa miała anielskie cicho w krzyż zwite, i złożone niżéj ramion. — A na tych skrzydlach głębokie rany i w każdéj ranie gwóźdź sterczący, tak że się skrzydła rozwiązać nie mogą. Po chwili, obie te postacie zaszły jedna na drugą — i znów tylko czarna niewiasta klęczy. Wtedy cień: »Oto skończyła modlitwę, »bo jéj śnieżna dusza zniknęła,« i dodał jakby mimowolnie »Beatryx.« Czarna pani obróciła »się i rzekła: »Ta która to imie nosiła przed laty, nic oprócz raju nie znała na ziemi, bo »zgasła w pierwszéj wiośnie życia; — nic oprócz raju za ziemią, bo niebo zaraz ją wzięło »do siebie! — Ale mnie nikt pierwszéj drugą nie zapłacił wiosną. — To nie moje imie.«

Czarna pani opowiada swoje smutne dzieje. Urodziła się w ziemi mlekiem i miodem płynącéj, dziś ziemi mogił i krzyżów, dzieckiem jeszcze sprzedano ją za mąż. Mąż zgrzybiały zepsuciem zdradził kraj i braci. Ona pokochała innego. Uwierzyła wtedy w piękność i dobroć i rozum. Za to ją zowią zhańbioną.

Skończywszy rzewną prostotą powieść, nieszczęśliwa prowadzi przychodniów w kryptę niską i duszną, i pokazuje im grób gdzie już jéj dusza pochowana leży.

I z wielkiego smutku padła na kolana wołając: »Ty który wiesz, powiedz, czy z nami »tak na wieki będzie?« I pierwszy raz wtedy zapłakała:

A wieszcz rękę położywszy jéj na czole: »Wyście dotąd były jak lilie boże, co rosną »nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. Oto idzie dzień, w którym się każda »z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn »i przejdą w dłonie wasze. — Oni do stóp wam pochyleni, błagać was będą o jednę pieśń »osłody — o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola, trudów nie- »znośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. — Lecz wy zapatrzone w Boga, nie spoj- »rzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. — Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków.«

»Tak będzie aż przyjdzie na was wtóréj przemiany godzina — i znów podacie im ręce, »i serca ich konające zbawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równie »im na ziemi i w niebie.

Znowu wychodzą pod granitowe sklepienie świata. Słychać huk tysiąca rozkołysanych dzwonów i odgłos kroków milionowego tłumu. Wszystkie narody ziemi spieszą na wystawę olbrzymią, czarną, na któréj w oddaleniu trony świecą.

Jak gnane wyziewy, jak płynące koryta, jak pędzone trzody, tłumy prą się, rwą, rzucają, jedne za drugiemi, wszystkie w tę samą stronę.

To godzina giełdy i targów.

Skrzydła niewiadome unoszą młodzieńca bliżéj wystawy. Postać Dantego obleka się w pogardę i znika.

Na tronach świecących siedzą kupcy z wędrownych pokoleń ze Wschodu, dzieci Izraela. Pod ich nogami widać ogromne wory pełne brzęczącego kruszczu.

I czasem, z tych leżących podnożów wyrywały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. — I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców ukryte i spętane, płaczą. A w miarę jak się nieszczęsne coraz bardziéj skarżyły, wzrastał gniew siedzących — i gniotąc wory stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.

Kupcy radzą wskazując na odmęt ludów ciągnących ku nim.

Nad idącemi narody, wisiały w przestworze ogromy mgieł czarnych, poprzerzynane pasami rudéj jasności; — i przejrzał młodzieniec, że to był kształt wszystkich dusz ludzkich, zgromadzonych razem i lecących zbiorowo nad ludźmi, niby krew ulotniona, niby żużle roztopione, niby żar dogorywający śród wielkich ciemności.

Narody idą na wzór kry huczącéj, na wzór burzy co grzmi.

Jeden z kupców daje znak, i z podziemia powstają żołnierze. Żołnierze potrójnym szeregiem stają przy schodach prowadzących na wystawę. Żołnierze wymierzyli broń ku tłumom. Nastaje cisza. Rozpoczynają się targi.

Kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłego — a w miarę jak mu z dołu głosy przełożonych nad ludami książąt i mędrców odpowiadały, stojący za nim wspólnicy radzili. Znów wielka cisza nastała. — Słychać tylko szept głosów kupieckich w granitowym świecie. — Łuna nadpowietrzna zbladła, wszystkie dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania.

Kupiec mówca ogłasza: że się podniosły jedne, zniżyły drugie ceny na ziemi. W jednéj chwili zrywa się nawałnica krzyków. Jedni cieszą się i klaszczą, drudzy płaczą i złorzeczą. Wszczyna się na chwilę bój morderczy śród tłumu. Wiele ciał pada. Po stratowanych trupach żyjący wstępują na wystawę. Naprzód idą króle i książęta, potém rękodzielniki i wyrobniki, lichwiarze i kramarze. Jedni niosą towary, drudzy wory, inni swoje papiery. Jeszcze nie koniec processyi.

Za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobył się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w ręku, dźwigający na plecach, dawne jakieś miecze, kolczugi i hełmy. — W téj saméj chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: »Patrz na staréj szlachty ostatnich potom- »ków.« — I obejrzawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

Orszak wstępował po wschodach czarnych aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. — Każden z tych ludzi wtedy zacznie nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tłuc ją, rozrywać i łamać. — A Widmo: »Patrz jak »wybierają damasceńskie złoto i perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchłe dy- »amenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytnéj chwały ponieść »kupcom na sprzedaż.« A gdy tak skarżył Cień Danta, oni odłamki rozbitych zbroic rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tylu hełmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

A syny dzielnych wstały i szły wyżéj, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym by mogli wstąpić między książęta i handlarze. — Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i wzniosłszy głos zaczną się targować o cenę kosztowności onych! — Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał: »Piekło dawnych lu- »dzi nie bolało mnie tyle.«

Z podziemiów dobywa się wrzask wielki. Śród tłumów przeciskają się dwunastu owych olbrzymów poświęconych i ich wódz trzynasty. Zbledli książęta, kupcy spokojnie brody sobie głaszczą. Wódz zostawia na dole towarzyszy, sam wchodzi między kupców. Tu zaczyna się targ o krew w czarze, targ wielekroć wpierw powtarzany. Wódz wymaga więcéj jak zwykle.

Wtedy jeden z kupców, z przepaski purpurowéj na czole odpiął ogromny dyjament i rzekł: »To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekrysztalił téj nocy, w któréj Bóg »wasz skonał. — Nazajutrz zaraz zrana prapradziad mój oderwał go z drzewa. — Odtąd »chowamy go w rodzie naszym. — Mów czy ci dość tego dyjamentu za krew twoich braci »dzisiaj «

Olbrzym spojrzał i wnet zniżył czarę — i krew z niéj całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom, mówiąc: »Gwóźdź moim.« Żyd rzucił mu dyjament do próżnéj czary, która w jękliwy oddzwoniła dźwięk.

Wódz wraca do swoich: »A co? kiedyż? pytają się go. »Jeszcze nie czas« odpowiada i wiedzie ich napowrót do przepaści.

Wtedy kupiec mówca oznajmia narodom, że wszelki pokój i wszelka bezpieczność na ziemi.

Tu się kończy widzenie piekielne.

Młodzieniec usłyszał: »Odwróć się od tego piekła podłych« — i chłód orzeźwiający jakby powiew nocnego wiatru z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

Teraz Dante pokazuje młodzieńcowi czyściec dni naszych.

Widmo ujęło młodzieńca za rękę i poszło przodem. I szło po chmurach jakichciś białych i cichych, śród zapachu niewidzialnego ziela. — Szafir nieba tu i owdzie się wynurzał — gwiazdki jakieś migały w oddali — aż znów jęk wielki przybiegł z za tych chmur i rozległ się po nich i skonał; — a ledwo skonał, drugi się podniósł — i trzeci — i czwarty. A srebrne chmury się rozsuwały jak stado potrwożonych łabędzi.

I zdało się młodzieńcowi, że na jednéj z nich został wraz z wieszczem — i że ztamtąd jak z wyniosłego ganku patrzy na szeroką równinę i szczérych błękitów krąg, którym pełnia księżycowa przyświeca. I zdawało mu się, że przed sobą, na polach onych, widzi wszędzie, jakoby las z samych chudych i wysokich drzew — a jęki nieustawały; — Cień zapytał się: »Czy widzisz czyściec dni teraźniejszych?« Młodzieniec na to: »prócz niebios «tych i boru tego nie widzę nic.« — Wtedy wieszcz, wznosząc powoli ręce: »Powtórny »widzeń dar przejąć musisz odemnie, bo wzrokiem którym przenikałeś podłych, ujrzeć nie »możesz szlachetnych. — Lecz wprzód, coć powiem, wysłuchaj uważnie!

»Śmierci niema — są tylko straszne marzenia o niéj. — Pan nigdy i nigdzie jéj nie »pomyślał, bo wszędzie i zawsze sam żyje. Własném znikczemnieniem tylko zadać sobie »można wiekuisty zgon; a kto umrze tak, temu życia ni grobu już niemasz — spodlił »się do nicości i znicestwiał przez podłość. — Chyba po milionach lat coś rozbudzi się z niego, »taki nie oczyszcza się, ni zmartwychwstaje. — Lecz kto odżyć ma, ten przemienić się »musi; — każde przemienienie, do czasu nosi pozór śmierci. — Oto próba grobu.«

»A w niéj pełno szyderstwa i łez, i bolu i złudzeń. — Osobniki i całkie plemiona »i ludzkość i światy muszą ją wytrzymać — każdy nieśmiertelny musi się jéj dotknąć. — »Kto jéj nie zniósł, ten zginął na zawsze. — Bądźże lwiego serca teraz, bo tych złudzeń »kształty oto się rozwiodą przed tobą.« I dłoń przykładając mu do powiek tchnął na nie.

I zdało się młodzieńcowi, że z każdéj sosny boru tego, wytryska przed nim postać ukrzyżowanego męża. — Ujrzał mnóstwo ciał w powietrzu rozpiętych — coraz ich więcéj i więcéj. — I poznał, że to naród cały w Chrystusowéj męce rozwieszon nad własną ziemią swą — i łzy zalały mu wzrok.

A Cień wtedy: Nie odwracaj się, ale patrz, choć wstrętno ci. — By zwyciężyć ból, »w ból wwiedzieć się trzeba. — Uważaj, w tym lesie niezmiernym, pracą umyślną, potę»żną, każda sosna odgałęźniona i przeciosana w krzyż! — Uważaj, każda podparta mogiłą »z gruzu — a gruz ten, do żywych niegdyś kościołów i zamków, dziś sucha kość «

I spojrzał znów młodzieniec i zdało mu się, że widzi po tych wszystkich mogiłach, jakoby wstęgi mgły miesiącem ośrebrzonéj — a choć wiatru żadnego niema, to podnoszą się, to zniżają na przemian, jakby cierpiące także i bezspokojne. — I poznał młodzieniec, że to szeregi niewiast i dzieci, w białych szatach, pod krzyżem stojące. — I widać było ręce ich wyciągnięte ku wierzchołkom drzew, gdyby mnóstwo skrzydeł bladych, chcących, a nie mogących wzlecić — i z niemocy opadały na dół — a wtedy wszczynała się drżąca, modlitwiana pieśń, którą pochłaniał płacz.

A krew kapie i kapie z góry na te tłumy śnieżne — i przelewa się przez nie — i ścieka pomiędzy mogiły; a ztamtąd słychać jakoby strumieni wzbierających szum.

Widzenie czyśca kończy się obrazem olbrzymiego kata w koronie ze stali jakby plecionéj z łańcuchów, urągającego męce z kopca rozwalin po mieście spaloném. —

Olbrzym w koronie woła do umęczonych:

»Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga — uznajcie mnie przeszłością i przyszłością, ojczyzną i Bogiem! — a jakem kazał was powbijać na krzyż, tak »każę z krzyża zdjąć. — Tłuszcze me przywołam i zdejmą — i naród szczęsny uczynię »z was! — Dam jadła i napoju i wszelkiéj obfitości moc.«

Tłumy ukrzyżowane nie odpowiadają.

Krwi tylko wystąpił aż po za pierwsze krzyże szeroki prąd — i jak bałwan morski w brzeg, uderzyła w kopiec, a w bryzgu tym usłyszał młodzieniec jakoby słowo: *nie* — I śnieżne tłumy niewieście nie odpowiedziały nic — tylko gdy fala od kopca wracała, schyliły się i zerwały z ziemi dzieciątka swe — a całe rzędy dzieci onych, trzymanych w powietrzu, krzyknęły: *nie!*

Na ten głos wielka się jasność rozlewa w przestrzeni. Chrystus Pan na krzyżu spływa na dół. »Za późno, za późno« woła młodzieniec, widząc w tém niebieskiém świetle, że wszyscy pomarli na krzyżach.

Wtedy cień Danta, przyklękły na chmurze, wstał i rzekł: »Zaprawdę! zaprawdę! tu »czyściec dni teraźniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone — ale nad du»szą narodu tego czuwa Najdroższy Utajony sam.« — A gdy młodzieniec płakał i bił się w piersi i ukoić się nie mógł, mistrz dodał: »Nie płacz nad nimi, ale nad tamtymi, nad »szarym światem z granitu — bo tam piekło i rozpad i sądny zgon — a tu ból tylko! — »Wszakem powiedział ci: z bolu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwych»wstania niemasz.

Cień Danta po tych słowach zaczyna znikać. »O Mistrzu! Mistrzu! woła jesz»cze młodzieniec, pokaż mi niebo — owo trzecie — na ziemi.«

Rozwiewając się w powietrzu odpowiada cień:

»Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale duch Pana zamieszkał wam »w piersiach, — wyście jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. — »Wiarą wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętéj wznieście je w górę, wynieście »na zewnątrz; — przed sobą, nad sobą, w okół siebie rozwidnokręźcie je Miłości czynem! »Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz baczcie pilnie — żaden dość inny »nie powiedzie to ni ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnéj pychy kłam. »A biada wiekom! jeśli gwałty niebożemi kusić się będą o dóbr bożych łup; bo do tyla »was uszanował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i złem waszém »zwyciężać Go; — lecz skoroście wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, »a wam pozostaje w zamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste Nic. — Czuwajcie »więc nad losami planety waszego.«

Owóż koniec potężnéj téj, niezmiernéj, bogatéj kreacyi, w któréj niemal każdy wyraz jest rysem, blaskiem, odcieniem. Epizod dziwnie się krótki w miarę śmiałości całéj budowy wydaje. Niepamiętamy jeszcze takiéj treściwości mowy. przy takiéj niesłychanéj rozrzutności obrazów.

Co niezmiernie uderza, to mistrzowska plastyczność kształtów. Wrzystko poczęła fantazya a jednak wszystko wyraźnie, skończono, harmonijnie odznacza się, uwydatnia, odstaje. Mgły chaotycznéj, bezkształtnych pociągów pędzla, niema w żadnym zakątku.

Należy także zrobić uwagę, że w całym szeregu widzeń nie napotyka się ani teatralnych ani pospolitych perspektyw. Zaledwie tu i owdzie jakieś przypomnienie wielkich dzieł sztuki, albo jakieś przelotne odbicie wrażeń z wypadków współczesnych schwycić można.

Powiedzieliśmy że poeta był rozrzutny. Jak wszelka rozrzutność tak i rozrzutność w kolorycie do nadużyć prowadzi. Tu i owdzie znajdą się zarysy dla uczucia za szorstkie, dla sztuki za twarde, zarysy psujące wrażenie pojedynczych szczegółów. Przyznajemy to otwarcie, spieszymy przecież dodać, że łatwo sobie wielkiém natężeniem fantazyi niewstrzemięźliwość natchnienia wytłómaczyć.

Ogólny układ w utworach jak utwor niniejszy krytyce nie podpada. My jedną tylko pod względem zewnętrznym pozwolimy sobie naganę. Poeta niepotrzebnie wywołał z niebios Chrystusa Pana w całym blasku rajskiéj chwały, kiedy mu ani głosu, ani czynu dać nie chciał. I staje się, że ta święta postać, przemijająca biernie w przestrzeni, na to tylko rozsłoneczni widnokrąg, żeby pokazać, iż ciała ukrzyżowane już nie żyją. Nasze spostrzeżenie jest jak powiedzieliśmy czysto zewnętrzne. Mistyczne rozróżnienie dla czego Chrystus ukazuje się na krzyżu a nie w białéj szacie przemienienia (powód poety, odnosząc się do ciągu wyrażonych przez niego pojęć, łatwo zrozumieć), i wszystkie religijne w tym punkcie trudności, pomijamy.

Nadmieniliśmy, że tło obrazów mało nasuwa przypomnień. Inaczéj się ma z filozoficzną częścią poematu. Tam co chwila napotykamy pojęcia, słowa nawet w pamięci naszéj silnie zkądinąd wyryte. Przytoczenia ze znanych utworów tłumem się nam cisną pod pióro. Wszelako nie chcemy otwierać tych perspektyw. Dość będzie kiedy napomkniemy, że cały epizod do minionych cofa nas lat (przyznać zresztą trzeba, że widzenia takie jak *Sen*, dzisiaj, po tylu wypadkach, mniéj silnie niż kiedyś uderzają.) W obec ogłoszonego teraz poetycznego dzieła, odżyły w nas, w każdym odżyją wspomnienia czasów *Anhellego i Nieboskiéj komedyi*, wrażenie zresztą, które data 1843 roku położona na końcu podpiera i usprawiedliwia.

O pojęciach religijnych poematu, o wrażeniu moralném jakie z widzeń płynie, w żadnym razie przemilczeć nie możemy.

Młodzieńca śniącego wtajemnicza w zakrytą dla oczu ludzkich rzeczywistość na świecie, wieszcz który piekło, czyściec i niebo po za światem przewędrował, Dante, znajoma nam w każdym zarysie, ukochana dla nas postać. Owoż Dante *Boskiéj komedyi*, a nie Dante *Snu*, ściśle i silnie w olbrzymim swoim utworze, wiary i posłuszeństwa prawdzie katolickiéj dochował. W jego rękach dogmata katolickie podniesione na szczyt wzniosłości, nie straciły ani prostoty, ani jasności, ani bezpiecznéj z nauką kościoła zgody.

Inaczéj się rzecz ma w epizodzie *Sen*.

Pomijamy uwidocznienie dusz i rozdzielenie ich z ciałami. Jest to śmiałość poetycka, która niekoniecznie sprzeciwia się wyobrażeniom katechizmowym. Czego przecież nie możemy przepuścić, to pojęć o znicestwieniu dusz podłych i o życiu podwójną wiecznością. Prawda, Dante mówi w *Śnie*, że po milionach lat rozbudzi się coś z dusz co ,w nicość się rozchwiały, ależ to nie nasz dogmat sądu i kary w chwili śmierci. Życie znowu z podwójną wiecznością nie zgadza się z prostém rozumieniem wieczności, a moralnie dziwne następstwa nasuwa.

Zdawałoby się jeszcze, że autor *Snu* zaprzecza dogmatowi o piekle, tak jak go Chrześcianie podają. Piekło dla niego to nicość, dla nas piekło to męki.

W ogóle bardzo trudno w *Śnie* zrobić rozróżnienie między doczesnością a wiecznością, zwłaszcza że mamy tam rzuconą piękną choć nie ścisłą myśl jako śmierć i próba grobu, to przemienienie, tudzież wskazane stopnie przemian.

Jedną rzecz poeta ciągle i wysoko rozumie, to pojęcie chrześciańskie odpowiedzialności osobistéj.

Kiedy indziéj mówiliśmy o niebezpieczeństwie zbiorowych uosobiań. Poeta pod tym względem bardzo daleko idzie. On całym plemionom, światom nawet, nie tylko przyznaje odpowiedzialność, co słuszna, ale te same koleje co ludziom duszą obdarzonym naznacza, obiecuje im nawet nieśmiertelność.

Wspaniały, pełen uczucia jest obraz czyśca polskiego, ale nas, co uważamy za mrzonkę ideę, że żywotność ras zachodnich wyczerpnięta, a słowiańskie plemiona stanąć mają na przodzie, niesprawiedliwość dla zasłużonych Bogu i światu ludów bardzo w poemacie uderzyła.

Dant *Boskiéj komedyi* a nie *Snu*, ten Dant który uznał i powynosił świętości cnoty, zasługi wielkości współczesnych albo bliskich swoim czasom, byłby miał wzrok i serce dla wszystkich czystych poświęceń dni naszych. Byłby pożyczył światła niebiańskiego, iżby oświecić zasługi męczenników i apostołów wiary, siostr miłosiernych, bractw dobroczynnych, że nie wspomnimy bardziéj światowych wzorów zacności nauki, odwagi cywilnéj, bezinteresowności.

Dant téż prawdziwy nie byłby spuścił głowy w obec wściekle wyzioniętych przez nieszczęśliwą potępioną oskarzeń na księży (co ci księża robią w obrazie piekła?), usiłujących pocieszyć upadłe i podnieść je aż do nadziei odkupienia. Dante byłby ją zgromił, a tych księży co słuchają i umieją słuchać nieskończonych żalów, wraz ze świętemi kobietami (w *Śnie* o nich nic niema), co żyją pod godłem *dobrego pasterza* szukając skalanych i znikczemniałych córek Ewy, byłby pomieścił w owém trzeciém miejscu, którego Dante *Snu* nie chce odsłonić.

Dziko nas jeszcze uderzyły włożone w usta Cienia przepowiednie epoki wyższości i odwetu kobiet.

Tu koniec naszym uwagom. Ostatnich słów wyrzeczonych do młodzieńca, z wyjątkiem wzmianki o piekle i czyścu, słów które nam czysto natchnione poetyczne lat ostatnich pojawy przypomniały, pewnie by się florentyński wieszcz nie wyrzekł.

Co się tyczy wrażenia moralnego jakie z widzeń wypłynie, może się mylimy, ale nam się zdaje, że wrażenie to nie będzie orzeźwiające, zbawienne. Widok zapasów, wśród których nikt nie usiłuje, wtajemniczenie w cierpienia, które nie czyszczą ale przygniatają, zniechęcić tylko i zwątlić mogą.

Ludzie powinni usiłować osobiście, ale potrzebują zarazem zaufania i podpory. Budzić ich do czynności, wstrząsać nimi wśród złudzeń i nikczemności materyalizmu godzi się, więcéj powiemy — przystało prawdziwéj poezyi. Ale jeszcze lepsza i świętsza rzecz stawiać światu czyste wzory, i pokazując jakiemi drogami do lepszego się dochodzi, uczyć pokornego uszanowania dla wszystkiego co na drodze doskonałości chrześciańskiéj już zrobione zostało. Pokrzepienia i zachęty, miłości téj co daje jasnowidzenie dobrego, wołamy do was, wielcy narodowi pisarze!

O URZĄDZENIU STOSUNKÓW ROLNICZYCH W POLSCE, *przez* ADAMA KRZYŻTOPORA. Poznań, nakładem Księgarni Katolickiéj, 1851.

Im bardziéj zbliża się chwila stanowcza, w której zostanie rozwiązane ciężkie i ważne zadanie odmiany stosunków włościańskich w Królestwie Kongresowém, tudzież w prowincyach polskich do Rossyi przyłączonych, tém gruntowniejsze w owym przedmiocie pojawiają się prace.

Rozprawy umieszczane w *Rocznikach Gospodarstwa krajowego* przez Andrzeja hr. Zamojskiego (zobacz o nich *Przegląd* z r. 1850. t. X. str. 251.), dzieło *Kwestya włościańska w Polsce* wydane w Lipsku 1849. r. (zobacz rozbiór w Przeglądzie z r. 1849. tom IX. str. 784.), przygotowały niejako pole; teraz wychodzą na widok publiczny porządnie rzecz całą traktujące książki, książki, które przynoszą zaszczyt krajowi, i w wielkiéj mierze o umysłowości polskiéj zaszczytnie świadczą.

Pochwałę naszą stosujemy mianowicie do pracy Adama Krzyżtopora. W istocie dawno już nie ukazało się w kraju naszym dzieło tak ściśle pomyślane, tak systematycznie ułożone, rozmierzone tak przestronnie, napisane w tak jasny i swobodny sposób. Znajdujemy tam dobrze określone i rozumowaniem poparte pierwsze zasady, starannie opracowany wywód historyczny, i wnioski logicznie dla czasów obecnych wyprowadzone, wszystko zlewające się w całość poważną, jędrną, przystępną do tyla, że nawet osoby powierzchownie z przedmiotem zapoznane albo rzeczy obce zupełnie, łatwo i dostatecznie naukę znaleść mogą.

Książka Krzyżtopora ma słabe strony, ma usterki: wszelako żeby ich dopatrzyć, trzeba ochłonąc z pierwszego korzystnego wrażenia, trzeba się wśród pojęć autora spokojnie rozpoznać.

My zarzucamy Krzyżtoporowi obojętność religijną, zbyteczny pociąg do nowszych systematów ekonomii politycznéj, zwłaszcza francuzkiéj, i chwilami słabość w obec niektórych niebezpiecznych wyobrażeń naszych czasów. Zarzucamy mu także niewstrzemięźliwość, a ztąd niepewność zamiaru. Krzyżtopor chce o wszystkiém swoje słowo powiedzieć, i tak nas z teoryi w teoryą przerzuca, że w końcu nie wiemy czy w książce chodzi o praktyczne rozwiązanie trudności na podstawie okoliczności istniejących, czy o postawienie najdoskonalszego wzoru społecznych urządzeń dla całéj Polski.

Z innéj strony utrzymujemy, że praca Krzyżtopora wyborna jako wywód historyczny, w gruncie nie posuwa nas daléj od dzieła *Kwestya włościańska w Polsce*. Jeźli wybierzemy u Krzyżtopora rady, które zastosować podobna, pokaże się, że jego wnioski, jakkolwiek przestronniéj uzasadnione, są wnioskami już postawio-

nemi przez poprzedniego pisarza. Tego bynajmniéj za złe autorowi naszemu nie poczytujemy, mniemamy tylko, że sprawiedliwość nakazuje wzmiankę o rzeczy uczynić.

Naszą krytykę uzasadnimy przechodząc kolejno pojedyncze części książki, którą będziemy się starali dokładnie rozebrać. Długie przytoczenia ze wszystkich ważnych ustępów posłużą nam zresztą do utworzenia zupełniejszego dla czytelników obrazu.

W przedmowie autor stawia założenie, jako trzeba dobrze urządzić stosunki włościańskie, aby socyalizmowi drogę zagrodzić. Mybyśmy woleli inny punkt wyjścia, wszelako spór w téj materyi na bok odsuwamy.

Na Zachodzie nie uznaje Krzyżtopor żadnych szlachetnych zachowawczych żywiołów. Widzi tylko radykalizm albo samolubną reakcyą. Powiemy nawiasem, iż dziwić nam się przychodzi, że umysł prawdziwie wysoki popadł w taką niesprawiedliwość, w taką chorobliwą przesadę. O Wschodzie powiada autor:

Tam jeszcze sen, jeszcze milczenie. Dotąd władza całą swą potęgę, cały swój urok posiada. Dochodzą tam niekiedy krzyki walczących; ale jako cudzoziemskie, niezrozumiałe, giną bez znaczenia; żeby je echa miejscowe odbiły, muszą być wprzody w pobratymczéj mowie powtórzone. Zaiste długo jeszcze Wschód byłby drzymał spokojny, gdyby nie był w siebie wcielił ogniwa łańcucha, którego drugi koniec, przykuty do Zachodu, z konieczności drgań ostatniego pierwszemu udziela.

Tém ogniwem jest Polska! Wprawdzie ludność jéj mała w stosunku rozległości, mało rozwinięty przemysł i wykwintność, niezbudzone jeszcze potrzeby materyalne i żądze zmysłowości, a zwłaszcza nie zatarta dotąd religijność ludu, zdają się od niéj oddalać obawę roszczeń socialnych. Być może, że niegdyś w Polsce zawcześnie i anormalnie rozwinął się pierwiastek wolności; ale socyalizm nie mógł się wylądz na jéj łonie. Bez wątpienia, że przy oddzielnym bycie, z położenia swego, z usposobienia, z interesu, w obecnéj walce byłaby Polska zachowawczą; a stojąc jakby na granicy dwóch światów, mogłaby zasłaniać Wschód Europy od postępów socyalizmu, tak jak niegdyś zasłaniała Zachód od najazdów barbarzyństwa. Lecz zwichnięte stanowisko polityczne, wbrew jéj własnym interesom i potrzebom, dziś ją zmienia w ogniwo zarazy. Niektóre części tego samego narodu, oderwane od reszty i politycznemi węzłami z cudzoziemskiém niemieckiém plemieniem złączone, wraz z niém w odmęt zawichrza pozwane zostały. Zaszczepiają Niemcy zarazę w Poznańskiém, a zwłaszcza w Galicyi; ztamtąd niejako spolszczona tysiącem dróg i kanałów wciska się do Królestwa, zkąd dopiero Wschodowi stanowczo zagrażać poczyna.

Jeźli przeto niebezpieczeństwo socyalizmu nie jest złem u nas wylęgłém, ale od obcych przyniesionem, toć dla tego nie jest mniéj istotném, ani mniéj naglącem; tylko snadniéj zwalczoném być może. Ustrzedz się od zarazy, z powodow wyżéj przytoczonych, calkiem niepodobna; zresztą już dzisiaj zapóźno. Ale można ją osłabić, uczynić mniéj zjadliwą, usuwając te okoliczności i te powody, które zrazu są pretekstem do jéj zaszczepienia, a późniéj głównym szerzenia żywiołem. Takiemi właśnie są obecne nasze stosunki rolnicze. Niedogodne dla produkcyi, trzymając w odrętwieniu i biedzie większość mieszkańców, odejmując jéj wszelki interes w utrzymaniu porządku towarzyskiego, są właśnie jakby umyślnie stworzone do ułatwienia propagandy socyalnéj. Przed kilku laty można jeszcze było wątpić o téj prawdzie: ale rzeź galicyjska nawet ślepym wzrok przywrócić musiała. Otóż usunięcie tych niedogodności jeszcze może nastąpić na drodze legalnéj, może być reformą, poprawą. Czas wprawdzie nagli, wszakże jeszcze nie minął,

Plan swego dzieła tak piszący zakreśla.

Uważałem za konieczność, odwołać się naprzód do prawd odwiecznych, na których się wspiera wszelka budowa społeczna, a dopiero przyjrzeć się zasadom organizacyi pracy ludzkiéj, przytoczyć teoryą ekonomii politycznéj i zarzuty przeciw téj teoryi.

Potém przeszedłem do kształcenia się stosunków rolniczych w ogólności, z wykazaniem praw powiększenia produkcyi i z rozbiorem form, jakie się rodzą z kombinacyi trzech jéj czynników, to jest warsztatu rolniczego, kapitału i pracy.

Następnie przebiegłem te kraje Europy, w których rolnictwo i przemysł więcéj rozwinięte, lub które z położenia swego bliżéj nas obchodzą.

Daléj skreśliłem obraz kształcenia się stosunków rolniczych w Słowiańszczyznie w ogólności, a w szczególności w Rossyi i Polsce, raz dla uchwycenia wspólnych szczepowych zarysów, powtóre dla pojęcia naszéj dążności rodzinnéj, naszego usposobienia, dla zrozumienia przeszłości z któréj wypłynęła obecność, a z którą przyszłość musi być w związku i harmonii, jeśli ma błogie przynieść owoce

Dopiero przystąpiłem do wyśledzenia środków najwłaściwszych do poprawy dzisiejszych warunków.

Nakoniec, do rozbioru skutków praktycznych, z zastosowania tych środków spodziewanych, z przytoczeniem jakie instytucye pomocnicze jednocześnie rozwinięte być powinny.

Tym sposobem pismo to, lubo na sześć podziałów rozczłonkowane, właściwie co do treści z trzech części się składa: teoretycznéj, historycznéj i organicznéj.

Autor zawczasu odpowiada w Przedmowie na zarzut zbytecznéj obszerności dwóch pierwszych części, zarzut który przewiduje. Rzeczywiście części te, mianowicie pierwsza, są zadługie w stosunku do miejsca właściwemu przedmiotowi poświęconego. Znać w téj obfitości talent świeży i odpoczęty, znać porządny, powiedzielibyśmy matematyczny umysł, co chętnie poczyna od pierwszych zasad i dba o postawienie całego szeregu następstw, żeby mieć w ciągu pracy podporę a odwołanie; ale zarazem znać niepowściągliwość by się dotknąć każdéj kwestyi, — znać także pewien brak doświadczenia. Wprawniejszy autor byłby wiele przedmiotów pominął, byłby się skrupulatnie ograniczył, mianowicie przez wzgląd, że nie należy uwagi i interesu czytelnika od rzeczy głównéj odrywać. Kilka jasnych oświadczeń, krótki wykład zasad, wystarcza w takich razach i ze stanowiskiem dostatecznie zapoznaje. Najwięksi pisarze inaczéj nie robią. Tak jak jest, dzieło Krzyżtopora rozprasza umysł na rozliczne kierunki ważnych spraw tego świata, niczego nie wyczerpując dostatecznie. Ztąd, jeśli zadawalnia i nawet uczy czytelników mniéj z rzeczami obeznanych, poważnych umysłów często nie zaspakaja.

We Wstępie znajdujemy zwięzły wykład, porządnie starym obyczajem tak jak i całe dzieło na paragrafy podzielony, jako wola, rozum i żądza postępu cechują wyższość natury człowieka, jako życie towarzyskie jest koniecznością a wywięzuje się w obowiązek pracowania, jako z podziału pracy rodzi się podział na stany, jako niema dobréj pracy bez własności, a własności bezpiecznéj bez dziedzictwa tudzież preskrypcyi, i jako równość w obliczu prawa, czyli zapewnienie sprawiedliwości wśród nierówności przyrodzonéj, równość którą Chrześciaństwo wprowadziło, trudności towarzyskie łagodzi.

Widzimy, że Krzyżtopor zaraz na początku wypuścił z rachuby pierwiastek religijny, wiarę i dążenie do wyższych duchowych na świecie i po za światem przeznaczeń; ale o tém późniéj napomkniemy. Wpierw uprzątniemy pomniejsze trudności, i oto z kolei ustęp, który nas dziwnie uderzył:

Dziedzictwo fizyczne i dziedzictwo moralne, MÓWI AUTOR, wypływają z natury człowieka; żadna teorya filozoficzna, żadna ustawa prawodawcza znieść ich nie potrafi... Dziedzictwo majątkowe, czyli dziedzictwo narzędzi pracy: ziemi, ruchomości, kapitałów, już jest prawem społecznem. Jednakże, skoro towarzyskość jest stanem przyrodzonym człowieka, więc i dziedzictwo majątkowe, jako jeden z warunków tego stanu, do praw przyrodzonych policzyć można. Nakoniec dziedzictwo polityczne jest podstawą arystokracyi, podporą monarchii, pierwiastkiem trwałości i spojenia, ale ani się opiera na prawie przyrodzoném, ani jest koniecznym warunkiem życia społecznego. Kiedy uprzywilejowana klassa istotnie moralnie i umysłowo przodkuje w narodzie, kiedy każdą wyższość objawioną do łona swego przyjmując, zarazem wyrzuci z niego wszelki nieużyteczny lub psujący się pierwiastek, wówczas może być mniéj rażącą, może nawet być zarodem potęgi i siły, może nie tamować postępu. Przeciwnie ile razy się zamknie sama w sobie, ile razy sądząc się wolną od pracy zamieni się na kastę darmozjadów, tyle razy jest ohydą człowieczeństwa i musi upaść, jako zbutwiałe i niezdatne do użycia narzędzie. Wszakże pomimo wszelkich rozumowań i przykładów, które na korzyść arystokracyi przytoczyć można, jest widoczném, że istnienie jéj, a więc istnienie dziedziczności przywileju, jest przeciwne obecnie szerzącym się wyobrażeniom, i, co więcéj, odtąd zawsze organizacya demokratyczna będzie ideałem dusz szlachetnych, bo równość w obliczu prawa jest prawdziwie objawioną chrześciańską zasadą.

Wyprowadzone wnioski są szczególne, a tok rozumowania mniéj scisły jak zwykle. Że arystokracya bez zasługi, bez wielkości moralnéj, nic nie znaczy i nie może istnieć, to niezawodna. Szlachcie francuzkiéj powtarzano dawniéj bardzo słusznie: *Noblesse oblige.* I to prawda, że wiele arystokracyi znędzniało. Aleć nie godzi się faktu historycznego, albo instytucyi, sądzić z nadużyć jedynie. Zresztą dziś jeszcze stoi na widowni świata arystokracya kwitnąca, zasłużona, rozumiejąca swoje obowiązki, arystokracya angielska. Arystokracyi jest przeciwna szerzącym się wyobrażeniom, powiada autor. Czegoż to dowodzi? Mamyż się koniecznie nachylać w stronę pojęć chwilową wziętością zaleconych? Tak nie postę-

pują ludzie sumienni, którym popęd wewnętrzny prawdy tylko i słuszności patrzeć każe. Krzyżtopor odpycha arystokracyą w imieniu zasady chrześciańskiéj równości w obliczu prawa. Zrobimy mu uwagę naprzód, że równość w obliczu prawa może istnieć w kraju arystokratycznie urządzonym, — przecież Anglia cieszy się tą równością; powtóre, że nieprzystoi poważnym umysłom potępiać w imię idei bezwzględnéj i to jeszcze świętéj, czegoś co istniało albo istnieje z przyzwoleniem kościoła i tylu umysłów wznioślejszych. My utrzymujemy, że wszystkie kształty zewnętrzne jakie pokazały żywotność, zasługują na uszanowanie ludzi roztropnych; są one godziwe, jeśli w niczém nie obrażają prawd chrześciańskich, a tém lepsze, im się szczerzéj i mocniéj na podstawie religijnéj opierają. Arystokracya przystaje do jednych krajów, może nie przystawać do drugich, w każdym razie jest rzeczą szanowną. Kiedy zaś Krzyżtopor tak lekko ją zbywa, do demokracyi przenosząc cześć swoją, demokracyą wyłącznie ideałem dusz szlachetnych mieniąc, grzeszy wówczas brakiem odwagi cywilnéj, albo w powierzchowny i uprzedzony sąd, sąd niegodny swego umysłu, popada.

Nieco daléj czytamy:

Jeśli z jednéj strony łatwo pod względem moralnym ocenić wartość tego lub owego kształtu, bo idzie tylko o poznanie, czy się zgadza z zasadami prawa przyrodzonego, które Bóg tworząc człowieka w jego sumieniu zapisał, i z zasadami wyższego rzędu przez Chrystusa objawionemi, które zarówno dla każdego są pojętne do kogo doszedł promień prawdy chrześciańskiéj; za to z drugiéj strony, ocenienie tych kształtów pod względem materyalnych skutków, daleko jest zawilsze. Z tego stanowiska właściwie mówiąc, żadne formy szczegółowe społeczne, nie są złe lub dobre bezwzględnie; żadne nie są stałe, lecz wszystkie przeznaczone, ażeby się nieustannie stosownie do potrzeb ludzkości odmieniały i kształciły. Ich wartość tylko względną być może.

Dziwi nas to rozróżnienie względów moralnych i względów materyalnych tam, gdzie one zwykle połączone są z sobą nierozerwanym węzłem. Nie pojmujemy także jak Krzyżtopor może mówić, że ocenienie tego lub owego kształtu łatwe jest ze stanowiska moralnego. Ocenień będzie tyle ile przekonań, a że przekonania najrozmaitsze w dobréj wierze poczytują się za zgodne i z zasadami prawa przyrodzonego i z zasadami objawionemi, popadniemy w wielkie trudności. Któż zresztą będzie sądził w ostatecznéj instancyi? Kościół? — Zapewne nie u Krzyżtopora; boć kościół nie wyrzeka między arystokracyą a demokracyą, a Krzyżtopor tylko na demokracyą pozwala. Więc chyba rozum indywidualny, zły sędzia w rzeczach, gdzie bezinteresowności i umiarkowania potrzeba. Co do nas, tak w tym przedmiocie jak i w innych ciężkich na świecie zadaniach, wolimy regułę nad indywidualne ocenienie. Reguły znowu szukamy w kościele, który ustami jednego z ojców, w sposób pełen miłości i roztropności, odpowiada nam na wątpliwość: *in dubiis libertas*.

Bardzo pięknie wykłada Krzyżtopor założenie swoje, jako podbicie przyrody jest doczesném powołaniem ludzi.

Im wyższy stopień, SĄ JEGO SŁOWA, wykształcenia ludzkości, tém też świat materyalny bliżéj, ściśléj poznany, pokorniéj słuchać musi, tém więcéj sił ujarzmionych miejsce człowieka zastępuje. Oswojone zwierzęta pracują na niego, karmią go, odziewają, — woda dźwiga statki i koła porusza; wiatr żagle napina; głaz bezwładny pod jego ręką nakazany kształt przybiera; całe królestwo roślinne sypie mu swe dary; nawet tajemne siły cieplika, elektryczności, magnetyzmu, jego woli słuchają: a jednak ów pan stworzenia i chwili nie ma spoczynku! To samo wykształcenie, które mu podało środki do zwycieztw poprzednich, nowe przeszkody odkrywa i nowe rodzi potrzeby. Im więcéj dokonał, tém lepiéj pojmuje jak wiele mu pozostaje do zrobienia. Co już posiadł o tém zapomina, pamięta tylko na to czego mu jeszcze brakuje. Ztąd, im więcéj cywilizacyi, tém więcéj potrzeb i żądań niezaspokojonych.

Obraz to silnie nakreślony, ale jednostronny; brak mu rysów religijnych, coby wszystkiemu rzeczywistsze dały rozmiary, uniesienie zdrowemi zdaniami o duchowych obowiązkach człowieczeństwa miarkując.

Następuje krótki ustęp filozoficzno-historyczny, nad którym także, pomimo całego pospiechu, żeby dojść do właściwego przedmiotu, zatrzymać się nieco musimy.

W życiu narodów, POWIADA KRZYŻTOPOR, są odmienne epoki, odmienne objawiają się dążenia. W jednych, uczucie religijne rozlewa się po wnętrznościach społeczeństwa; czło-

wiek odrywa się od ziemi, pogardza nią, zamyka się w celi klasztornéj, lub idzie na pustynią i tam myśli nad sobą, nad częścią duchową swego jestestwa. Są to czasy ascetyzmu i filozofii, sporów teologicznych, kacerstw i fanatyzmu. W innych znowu, uczucie piękności, jakiś duch poetyczny porywa ludzkość. Wszystkie sztuki dłoń sobie podają, by tę ziemię nie dawno jeszcze pogardzoną, kosztownym przyozdobić wdziękiem; względy rozumu, użyteczności, zysku, ustępują względom piękności i poezyi. W innych, polityczny żywioł zajmuje wszelkie umysły. Jakaś poprawka w formie, jakieś przekształcenie, staje się celem wszystkich usiłowań i jakby arką zbawienia. W innych nakoniec, człowiek zmęczony walkami, zwątpiały w wierze, obojętny na piękność, łaknie zmysłowości i bogactw co ją zaspokoić mogą. Wtenczas umysł hołdując temu dążeniu, całą swoją potęgę zwraca na świat materyalny. Jest to epoka wielkich odkryć w naukach przyrodzonych, wielkich postępów w przemyśle; jest to epoka walk, nie narodu z narodem, ale klassy z klassą — tych co nie mają z temi co posiadają. W każdéj znowu z tych epok jest naprzód peryod krytyczny, burzenie tego co dotąd istniało; następnie peryod organiczny czyli stawianie nowego systematu, a często powrót do dawnego, z małemi tylko odmianami.

Obecnie żyjemy w epoce polityczno-industryalnéj; na Zachodzie Europy przeważa kwestya przemysłowa, na Wschodzie polityczna. Żyjemy nadto na przejściu z krytycznego w peryod organiczny.

Wielce nas zastanawia, że umysł tak zdrowy, tak rozważny, nie oparł się owéj pospolitéj dzisiaj, zwłaszcza u mierniejszych pisarzy, skłonności rozprawienia się z dziejami świata w kilku ogólnikach, i nie uczuł, że to co jest na właściwém miejscu w historyi lub filozofii, do dzieła specyalny traktującego przedmiot, dla wielkości swojéj nie przystaje. Czyliż przynajmniéj synteza Krzyżtopora odznacza się śmiałością, nowością, zręcznością w pochwyceniu znamion charakteryzujących ciąg epok? Nie, bynajmniéj. W ocenieniach jego, pospolitość walczy o palmę z nieścisłością.

Autor utrzymuje, że w wiekach religijnych człowiek odrywa się od ziemi, zamyka się w celi klasztornéj, lub idzie na pustynią. Sąd to fałszywy i nieprzychylny. W całym ciągu dziejów nie znamy epoki, do któréjby podobne orzeczenie przystawało. Nawet epoka wielkich pustelników Tebaidy, obfituje w Chrześcian czynnych, sprawami świata praktycznie zajętych; cóż dopiero mówić o innych epokach! Sam klasztor nie koniecznie od zajęć doczesnych uwalniał i uwalnia. Najstarszy i najzasłużeńszy w kościele zakon Benedyktynów, zajmował się jak wiadomo uprawą roli. Benedyktyni wykarczowali najniedostępniejsze puszcze. Dziś, któż nie wie o mozolnych pracach Trapistów w Algieryi? W wiekach religijnych, człowiek nie odrywa się od ziemi, ale się wśród starań doczesnych myślą zwraca do Boga, nie wzgardza dobrami tego świata, ale je uważa za rzecz przez Opatrzność sobie do uczciwego szafunku powierzoną, nie oddaje się popędom chciwości, ale z obowiązku całą czynność duszy swojéj nieśmiertelnéj i całą siłę ciała swojego wytęża. W wiekach religijnych, nie wszyscy ludzie pobożni idą do klasztoru lub na pustynię. Chrześcianie wiedzą, że są rozmaite powołania, i ci tylko ową *najlepszą cząstkę* wybierają, których sumienie oświecone i wypróbowane, do zupełnego wyrzeczenia się siebie skłania. Klasztory są wzorami pobożności i cnoty, przystaniami wśród niepokojów świata, a nie instytucyami społecznemi, pochłaniającemi całą żywotność towarzyską.

Nie możemy jeszcze dosyć naganić wyrazów: »są to czasy sporów teologi»cznych, kacerstw i fanatyzmu.« Orzeczenie to bardzo powierzchowne. Czasy religijne są przedewszystkiém czasami spokoju, a jeżeli kacerstwo lub fanatyzm spokój ten zakłócą, to powód zamieszki nie temu, że boska nauka w społeczeństwie przeważała, ale temu, że złe zawsze nurtuje na świecie, przypisać należy. Zresztą, czemże są zawziętości religijne w obec namiętności politycznych? czem najgorszy nawet wybuch fanatyzmu, rzeź S. Bartłomieja (a i ten fakt w gruncie polityka natchnęła), w obec terroryzmu francuzkiego?

Krzyżtopor wyraźnie cały blask rzuca na owe niby chwile, »w których duch »poetyczny porywa ludzkość.« Żądalibyśmy, żeby nam wskazał w historyi, jaką epokę *piękności i poezyi* po za granicami natchnienia religijnego. Dante, Rafael, Tasso, Calderon, Corneille, i ich czasy, nienależą do kierunku poezyi przedmiotowéj. Czasy znowu Szekspira i Molièra nie mają w sobie nic poetycznego. Znamy da-

wniéj i teraz poezye nieopierające się na żadnéj zasadzie religijnéj, ale poezya taka epok nie tworzy. Wszystkie epopeje narodowe są głęboko religijne.

Pominiemy dwa ostatnie podziały, mniéj więcéj równie fantastyczne jak dwa pierwsze, dla tego że rozdzielają to, co zwykle razem, obok siebie istnieje, a jeszcze słowo dowolnemu oznaczeniu współczesnéj dążności poświęcimy.

Autor widzi tylko dzisiaj kwestye przemysłowe i polityczne; my przedewszystkiém we wstrząśnieniach jakie światem miotają, kwestye religijne upatrujemy. Oto wielka, stanowcza między nami różnica. Jemu się zdaje, że dobrze zrozumiane zasady ekonomii politycznéj mogą jakiś organizm utworzyć; my utrzymujemy, że póki ludzie nie powrócą na drogę objawionéj religii, póty coraz cięższe chłosty doświadczenia ich uczyć będą. Wiara w ekonomią polityczną po wszystkich próbach lat ostatnich, zastanawia nas niepomału. Trzeba dobrze rozważyć wyjątkowe położenie Polaków, oddalonych od spraw wielkiéj polityki, wydanych na różne przypadkowe wpływy, i ciekawych nowości, których zresztą poznanie przychodzi im z pewnym mozołem, żeby sobie podobną skłonność równie poważnego umysłu wytłómaczyć.

Historyą ekonomii politycznéj jako nauki, tak wyprowadza Krzyżtopor:

Protestantyzm podkopując wiarę religijną, filozofia sceptyczna XVIII. wieku wyszydzając wszelką wiarę, rewolucya francuzka burząc polityczną przeszłości budowę, były przygotowaniem do obudzenia w ludach materyalizmu, przemysłowéj dążności. Lecz do jéj olbrzymiego rozwinięcia, przyczyniły się nadto uboczne, chwilowe, niejako lokalne okoliczności, i ten właśnie a nie inny nadały mu kierunek.

Tu autor wspomina oderwanie się Ameryki północnéj i systemat kontynentalny.

Musiano, POWIADA DALÉJ, z obu stron rozwinąć całą energię, jaką tylko chęć zysku, nienawiść, nadzieja i rozpacz obudzić mogą. Było to nadzwyczajne w obu światach położenie; nadzwyczajne téż za sobą pociągnęło skutki. W pół wieku, pod względem bogactwa i przemysłu, wynalazków i odkryć, więcéj zrobiono, niż w kilkunastu upłynionych poprzednio wiekach. Lecz zarazem to rozwinięcie przyjęło zwichnięty kierunek, wywołując wszędzie, zwłaszcza téż w Europie, wymuszoną, nie naturalną produkcyą.... W czasie gdy jedni czynnie występowali do boju, drudzy wskazywali drogę, zbierając w naukową teoryę uczynione spostrzeżenia i wnioski. Ekonomia polityczna czyli nauka o bogactwie, nieznana zmysłowéj starożytności, drzemiąca w całym peryodzie feudalizmu i wojen religijnych, od razu stała się główną nauką dla ludów. Dzielne umysły zajęły się wykryciem jakie są prawa produkcyi, jakie warunki do osiągnienia najwyższéj, a tém samém najtańszéj.

Widzimy jak tu wysoko wzniesione zostało stanowisko ekonomii politycznéj i jéj mistrzów. Przypatrzmy się jeszcze pewnikom ekonomicznym zaleconym przez autora naszemu społeczeństwu.

Krzyżtopor powiada:

Jedyną drogą do polepszenia dobrego bytu ogółu jest zwiększenie produkcyi; zwiększenie produkcyi zależy od pracy; zaś warunkami dobréj pracy są: połączenie w jednym kierunku sił, podział pracy, tudzież swobodność pracy, zaczém nieograniczona konkurencya; trzy pewniki, odpowiadające trzem prawom zasadniczym wszelkiego postępu.

Z zasady nieograniczonéj konkurencyi wyprowadza Krzyżtopor za nowszemi ekonomistami konieczność wolnego handlu.

Tylko zupełne zniesienie zapór celnych, SĄ JEGO SŁOWA, zupełna wolność handlowa, może zapewnić światu osiągnienie najwyższéj produkcyi, a tém samém ugruntować pomyślność powszechną; jest to więc cel, do którego każdy przyjaciel ludzkości wzdychać, a każdy statysta dążyć powinien.

Przyznaje, że niebezpieczeństw się i tak nie uniknie.

Z tych, MÓWI, niektóre są chwilowe, przemijające; takiemi są wstrząśnienia handlowe i finansowe; inne znowu stałe, a mianowicie nędza klasy wyrobniczéj, proletaryatu.

Tu napotyka krytyczne pojęcia szkół socyalnych dawniejszych, tudzież nowszych, i obszernie się z niemi rozprawia, powstając na zasadę socyalistów, komunizm, i na ich środki: assocyacyą powszechną, prawo do pracy, oznaczenie maximum pracy a minimum zapłaty, wykazując oraz nierozsądek wojny jaką socyalizm wypowiada kapitałowi.

Ekonomii politycznéj nie uważa on za nieomylną.

Zamachy na bogactwo, powiada, mogą łatwo zniszczyć bogatych, ale ubogim nie pomogą; zamachy na konkurencyą mogą ograniczyć wolność i działalność człowieka, ale nie zrodzą postępu. Bez kapitału niema wysokiéj, bez konkurencyi dobréj i taniej produkcyi; a bez dobrych i tanich płodów niema dobrego bytu. Ekonomia polityczna nie zgrzeszyła przeto rozszerzeniem fałszywych zasad, ale jednostronném ich rozwijaniem; zajęła się wyłącznie myślą osiągnięcia celu, zwycięztwa, spuszczając z uwagi pamięć o losie walczących. Wskazana przez nią droga prowadzi do zwycięztwa, lecz to jeszcze nie osiągnięte: a tymczasem krocie rannych i zatrudnionych woła o ratunek. Jest więc złe w spółeczeństwie, ale nie tam gdzie go socyalizm wskazuje, są lekarstwa, ale nie te, które on podaje; gdyż te przeciwnie, złe chyba powiększyć i rozjątrzyć mogą Nie prawa ich przypominać ludziom, ale i obowiązki; nie znosić własności i familii, ale je chrześciańskiemi cnotami uświęcić; nie pałać nienawiścią przeciw bogaczom, ale miłością ku biednym; nie zezwierzęcać człowieka, ale go oświecać i kształcić; nie burzyć istniejącéj organizacyi pracy, ale ją uzupełniać i doskonalić — oto prawdziwa droga do polepszenia dobrego bytu i pomyślności publicznéj! Wszakże nie łudźmy się fałszywą nadzieją; przy najlepszych urządzeniach, zawsze będą pracowici i próżniacy, mocni i słabi, bogaci i ubodzy. Tak w tym przedmiocie, jak we wszystkiem, dążyć do doskonałości jest przeznaczeniem człowieka; lecz nie będzie mu danem, aby ją tu na ziemi kiedykolwiek osiągnął.

Autor trzyma się we wszystkiem pojęć dzisiejszych ekonomistów francuzkich, mianowicie Michała Chevalier. Wraz z ekonomistami stanowczo rozstrzyga za nieograniczoną konkurencyą, przyczém zapomina, że nieograniczona konkurencya wychodzi na prosty indywidualizm, przyczém także pomija zdanie bardzo wysokich umysłów, ubolewających nad zniesieniem cechów, owych instytucyi opiekuńczych, które raczéj oczyścić z nadużyć jak obalać należało; wraz z ekonomistami oświadcza się bezwarunkowo za wolnym handlem, a to wbrew prostemu doświadczeniu, co uczy, że w praktyce absolutne teorye zawsze są błędne; wraz z nimi także, choć pełen eklektycznego uszanowania dla Chrześciaństwa, religię traktuje tylko jako jedną z największych potęg towarzyskich, ale nie jako świętość i główną podstawę. Raz tylko jest wyższy od swoich wzorów, kiedy przyznaje, że człowiek na ziemi doskonałości nie osiągnie. Zapewne już i to nie mało, nie dość wszakże, żeby zaspokoić Chrześcian czujących całą siłę boskiéj nauki Zbawiciela, a całą próżność i całe niebezpieczeństwo uroszczeń ekonomii politycznéj.

Zdawałoby się może komu, że stajemy jako przeciwnicy téj nauki. Tak nie jest. Nieraz w piśmie naszém mieliśmy sposobność uszanować ekonomią polityczną w jéj właściwych granicach, a to i przed doświadczeniami lat ostatnich i późniéj. Usposobień naszych nie zmieniamy. Strzeżemy się najmocniéj, żeby pod drażliwym wpływem wypadków współczesnych, nie popaść w żadną wyłączność i żadną przesadę, tylko zawsze i wszędzie naturalnéj kolei zasad, doświadczenia i zdrowego rozsądku, przestrzegać chcemy. W tym razie widzimy potrzebę wzniesienia całéj rzeczy na daleko wyższe od Krzyżtopora stanowisko, co jest do tyla właściwém i koniecznėm, że tu o wielką, gruntowną przemianę stosunków narodowych chodzi.

Religia objawiona stawia człowiekowi cel wieczny przed oczyma i drogi doczesne do tego celu wskazuje. Na tych drogach znajdujemy prawo miłości i obowiązek pracy, z czego dobrze zrozumiana towarzyskość, tudzież wszelka czynność naukowa, przemysłowa i rolnicza da się wyprowadzić. Organizacya spółeczeństwa może być rozmaita, wszelako pierwsze warunki nigdy się nie odmieniają. Ludzkość musi wpierw jeszcze do zbawienia po za światem jak do produkcyi dążyć, ideał dla umysłów szlachetnych cnota a nie demokracya stanowi. Wielkie przykłady do naśladowania, przykłady uświęcone błogosławieństwami wieków, daje nam kościół katolicki, nie ekonomia polityczna. W istocie, zakony katolickie są wzorem stowarzyszeń opartych na wyższéj zasadzie wyrzeczenia się siebie, a zobowiązanych do regularnéj pracy, czy to około rzeczy doczesnych, czy około duchownych potrzeb ludzi; bractwa pobożne pełniąc dzieła miłości, zapobiegają starciom i trudnościom. Ekonomiści tego swojemi środkami nie zastąpią. Wszystkie ich próby żeby coś nowego stworzyć, pokazały się nieudolne i bezskuteczne. Ekonomia polityczna jako nauka zbierająca spostrzeżenia, porównywająca fakta, wyprowadzająca oględnie wnioski, oddała już wiele usług i jeszcze ich

wiele oddać może. Taki jéj zakres, taka sfera. Jeśli chce zastąpić religijne warunki towarzystwa, jest szalona; kiedy znowu absolutne stawia reguły, w dziwną popada zarozumiałość. Przecież jéj doświadczenie nie tak dawne, wnioski nie tak jednomyślne. Wieleż to od lat kilkudziesiąt szkół ekonomicznych przeminęło, wieleż pewników naukowych ekonomii w pyle pogardy lub zapomnienia spoczywa! Nieskończone zwiększenie produkcyi, nieograniczona konkurencya, wolny handel, niekoniecznie ludzkość posuną daléj. Bez ograniczenia jakie stawia miłość chrześciańska i moralność ewangeliczna, zasady te dobrych owoców nie wydadzą. Zwiększenie produkcyi często prowadzi do upadlającego materyalizmu, nieograniczona konkurencya bliska jest wyuzdanéj chciwości zysku, a wolność handlu może wyjść na wolność dla przewrotnéj zręczności.

W tych wszystkich rzeczach trzeba jasnych, śmiałych orzeczeń. Świat zanadto dyskussyi najpoważniejsze rzeczy poddał, żebyśmy mogli na kilku wyrazach niepewnego uszanowania poprzestać. Prawda, Krzyżtopor poważnie wspomina Chrześciaństwo [1]), tu i owdzie za moralnością się oświadcza, ale to nie wystarcza. Kto pisząc o nędzach i niedostatkach towarzyskich, i te lub owe lekarstwa przedstawiając, żadnych środków chrześciańskich nie wymienia, ten, co najłagodniéj, pomiędzy obojętnych musi być policzony.

I niechaj nikt nie mówi, że ekonomia polityczna da się traktować jako nauka, osobno, w oderwaniu od religii. Ekonomia polityczna zajmuje się doczesnym losem ludzkości, i przeto co chwila religijne reguły na drodze swojéj napotyka. Dawniéj próbowała je złamać, teraz je obchodzi, a zawsze dąży do przywłaszczenia sobie miejsca religii tylko należnego. Próżne to są zamachy niezawodnie, przecież były już nieraz fatalne dla ludzkości.

Rozszerzyliśmy się bardzo nad Wstępem Krzyżtopora, bo idee jakie porusza, mają wielką obecną wagę. Zresztą, łatwo zrozumieć, żeśmy uczuli potrzebę wyświecenia stanowiska zdolnego pisarza, który najważniejsze społeczne trudności w Polsce chce na drodze czysto-ekonomicznéj a nie pod godłem chrześciańskiém rozstrzygnąć.

Jeszcze słowo o ostatnich paragrafach Wstępu. W nich autor zwraca się do rolnictwa, i z prawdziwą miłością tę najsilniejszą dźwignię pomyślności krajowéj wynosi. Tu się z nim zgadzamy jak najmocniéj.

Mówi on zaraz z początku:

Ze wszystkich gałęzi pracy ludzkiéj, najważniejszą bez wątpienia jest rolnictwo; raz, że zapewnia wyżywienie, to jest zaspokojenie najniezbędniejszéj potrzeby człowieka; powtóre, że rozlicznością i ogromem swéj produkcyi, najwięcéj surowych płodów innym gałęziom dostarcza; daléj, że więcéj rąk niż inne razem wzięte zatrudnia; nakoniec, że rodzajem i rozmaitością swych zatrudnień, kształci najzdrowszą, najczerstwiejszą, najrozsądniejszą klassę ludności.

Daléj, Krzyżtopor stosuje do rolnictwa wszystkie pewniki, które o pracy i przemyśle postawił. Wszelako że jest lepiéj, praktyczniéj z przedmiotem obeznany, robi pewne zastrzeżenia, przyznaje mianowicie, że »współubieganie mniéj »tu sprawia cudów niż gdzieindziéj.«

Za czynniki produkcyi rolniczéj wskazuje, i słusznie: ziemię niby warsztat, pracę i kapitał. W dalszym ciągu zarzuca jednostronność i tym, którzy mówili, że jedynie przyrodzona produkcyjność ziemi tworzy bogactwo rolnicze, i tym którzy utrzymywali, że tylko praca tworzy wartość. Sam twierdzi sprawiedliwie: »zarówno warsztat, jak kapitał, jak praca, są źródłem bogactwa.«

---

[1]) W końcu dziela jest ustęp, którýby nas był zaspokoił pod względem religijnym, gdybyśmy go byli znaleźli na właściwém miejscu, a raczéj gdybyśmy czuli, że myśli w nim zawarte ożywiają cały systemat.

Wszystkie wiadomości, POWIADA KRZYŻTOPOR, na nic się nie zdadzą bez gruntownéj religijnéj i moralnéj podstawy Bez wątpienia, prawdy Ewangelii ugruntowane w umyśle i sercu więcéj się przyczynią nawet do rozkrzewienia dobrego bytu, niżeli wszystkie techniczne wiadomości, choćby też najdokładniéj wyłożone. Trzeba z włościan naprzód zrobić ludzi, trzeba w nich zaszczepić uczucia obowiązku, posłuszeństwo prawu, szanowanie zwierzchności, miłość i pokorę chrześciańską, a wtenczas dopiero będą istotnie usamowolnieni. Tu, pomoc i współdziałanie duchowieństwa staje się niezbędném

Piękny jest ustęp poświęcony wyliczeniu znamion, jakie cechują kraje z natury rolnicze, jeszcze piękniejszy zwrot do Polski, który idzie zaraz potém, i kończy rozdział wstępny.

Krzyżtopor powiada, a tylko co do kilku szczegółów przeciwko jego sądom w rzeczach już przez nas wspomnianych się zastrzegamy.

Polska mogła być kiedyś krajem szczęśliwym. Posiadała warsztat rolniczy obszerny i dobry, rolę w części południowéj z przyrodzenia najżyzniejszą w Europie, w północnéj lasy bogate; chleba i opału, soli i żelaza, daleko więcéj niż jéj saméj było potrzeba; a wzrost i mnożenie kapitału zdawały się zapewnione. Przyjęta forma rządu, zasada politycznéj organizacyi, zdawały się sprzyjać jego powstaniu. Nie było w niéj téj centralizacyi, dającéj może siłę na zewnątrz, ale otrętwiającéj wewnętrzną żywotność narodu; żadnych zapór tamujących przemysł i handel; nie było skomplikowanéj i kosztownéj administracyi, wojsk stałych przeznaczonych na podbicie sąsiadów lub na uciemiężenie jednéj klassy przez drugą, a tém samém nie było tego ogromu podatków i ciężarów wysysających i niszczących oszczędności narodu; nadto, rozwinęło się w jéj łonie uczucie prawa i poszanowanie własności, gdzieindziéj wówczas nieznane. Czemuż przecie pod wpływem tych przyjaznych okoliczności, bogactwo i pomyślność czasów Piastowych i Jagiellońskich tak nagle i tak nieodwołalnie zniknęły? Wiele, bardzo wiele przytoczyć można powodów: zawczesność instytucyi demokratycznych, wśród sąsiadów innemi rządzących się zasadami; skrzywienie oraz niekompletność tych instytucyi; nieustanne odpieranie napadów zewnętrznych, nieustanne wzburzenia wewnętrzne. Jednakże jedną z głównych, a może najgłówniejszą przyczyną, było nielogiczne i niesłuszne urządzenie stosunków rolniczych i przemysłowych. Wprawdzie praca nie była niewolniczą — ale została poniżoną. Jeden miecz był w poszanowaniu; pług, warsztat i łokieć w pogardzie. Pracujące klassy ludności, wyłączone z praw obywatelstwa, które mi początkowo się cieszyły, wyłączone od własności nieruchoméj, pozbawione wszelkiéj zachęty do oszczędności i zabiegłości, musiały zmartwieć i zgnuśnieć. Nie mogło być postępu, czynności, ruchu, a tém samém wykształcenia, bogactwa i siły. Cała żywotność stanu szlacheckiego nie wystarczała do zastąpienia braku żywotności reszty. Miałoż rodzić owoce, drzewo bujne i wyniosłe, którego korzenie zarażone przestały nagle dostarczać soków gałęziom? Przyszła burza i zwaliła je; że już się nie podniesie tem samém czem było, dzisiaj aż nadto widoczna, ale czyż z korzeni nie może się obudzić świeża i młoda żywotność? Oto nasze nadzieje! — oto przyszłość do któréj dążyć mamy! Nie strzedz od butwienia pogruchotane konary, ale pielęgnować wschodzące krzewy; nie płakać nad tem co było, lub też w dziecinnéj wściekłości szczątki trupa znieważać i szarpać; ale urządzać to co ma być, korzystając z doświadczenia przeszłości, oto nasze zadanie!... Natura kraju, doświadczenie lat upłynionych, specyalnie nam naznacza urządzenie stosunków rolniczych za kwestyą żywotną dla nas, za główną podstawę pomyślniejszéj przyszłości.

Polska do dziś dnia jest krajem rolniczym. Weźmy za przykład Królestwo kongresowe. Na 2319,57. mil kwadratowych geograficznych, jest w niem 4,857,250. mieszkańców, czyli na milę 2094; kiedy Anglia, bez Szkocyi i Walii, na podobnéj prawie przestrzeni, bo na 2373. milach geograficznych, musi wyżywić 14,995,138. mieszkańców, co daje 6314. na milę. Gleba z natury żyzniejsza niż w Anglii, klimat, jeśli mniéj sprzyjający bujnemu wzrostowi trawy, za to daleko staléj zapewniający dorzewanie ziarna. Roli ornéj Królestwo posiada 365,638 włok, łąk 70,505, a zatém na jednego mieszkańca wypada $2\frac{1}{2}$ mórg roli, $\frac{1}{2}$ morgi łąki; licząc tylko 4 głowy na familią. w przecięciu wypada na każdą familią, dziś uprawianych 10 morgów roli i 2 morgi łąki, czyli ilość wystarczająca nawet w razie, gdyby się wszyscy zajęli wyłącznie rolnictwem, i gdyby przyjęli najniekorzystniejsze dla rolnictwa stosunki, bo podział gruntów i drobną uprawę. I rzeczywiście z ogólnéj ludności 4,875,250 blisko $\frac{3}{4}$ b. 3,584,414 zajmuje się wyłącznie rolnictwem, a tylko $\frac{1}{4}$ odchodzi na usłużenie rękodzielni, handlu, na administracyą, na wojsko, na płatnych i niepłatnych próżniaków. Tymczasem w Anglii tylko $\frac{1}{5}$ trudni się rolnictwem: 2,999,023. rolników, obrabiając warsztat nieco większy co do rozległości, lecz z natury gorszy, pracuje na wyżywienie 14,995,138. mieszkańców; kiedy u nas 3,584,414 rolników mają tylko 4,875,250. mieszkańców do wyżywienia. Ztąd wypada, że u nas, nawet bez kapitałów, niema obawy o głód, o proletaryat; daléj, że gdyby pracą i kapitałem produkcya rolna Polski wzniosła się do obfitości angielskiéj, mogłaby ta sama ludność rolnicza, i na tym samym warsztacie, wyżywić ludność ogólną trzy razy większą, czyli do czternastu milionów dochodzącą; a wtenczas dopiero fenomena pauperyzmu mogłyby być zatrważające. Inne Polski prowincye mniéj więcéj w tém samém, lub jeszcze korzystniejszém są położeniu. W Poznańskiém na milę kwadratową geograficzną wypada 2479 mieszkańców; w Galicyi wprawdzie 3024., lecz za to ziemia daleko żyzniejsza niż w Królestwie; jeśli zatém warsztat o połowę mniejszy stosunkowo, to dobroć jego, to uszczuplenie równoważy. Litwa ma gorszą glebę; ale za to tylko 1214. mieszkańców na mili. Biała-Ruś jeszcze jałowsza, przy mniéj przyjaznym klimacie; za to téż na mili tylko 890. mieszkańców. Już Wołyń rodniejszy, liczy zaś na milę tylko 1115. mieszkańców — bogata Ukraina 1757., a Podole 2201. Ludność przeto jest rozłożoną mniéj więcéj w stosunku żyzności ziemi; wszakże wszędzie mogłaby się potroić, bez

obawy trudności o wyżywienie, byleby się i kapitały, te dzieci pracy, oszczędności i wolności jednocześnie mnożyły.

Z tego wynika, że we wszystkich prowincyach dawnéj Rzeczypospolitéj Polskiéj, rolnictwo jest wyraźném powołaniem narodu, jest najwłaściwszą gałęzią przemysłu; że logiczne urządzenie stosunków rolniczych usuwa obawę nędzy i proletaryatu; że dwie te plagi cywilizacyi, i w ich następstwie rewolucye socyalne, nie są chorobą z natury rzeczy, z konieczności u nas wynikającą. Kiedy więc mowa o Polsce, można śmiało inne gałęzie przemysłu ominąć, a zająć się jedynie rolnictwem. Z jego urządzeniem, inne znajdą dla siebie miejsce stósowne, gdyż jako podrzędne, pomocnicze, muszą ulegać wyświeconym głównéj gałęzi potrzebom.

Właściwe dzieło rozpoczyna się rozdziałem: *O kształceniu się stosunków rolniczych w ogólności.* Rozdział ten zawiera dobrze opracowany wykład pewników ekonomicznych, mających związek z gospodarstwem. Zebrane w krótką treść przez samego autora, tworzą one szereg następujący:

Podstawą rolnictwa jest prawo własności nieruchoméj, obejmujące zupełnie wolne nią rozrządzanie i zupełne jéj dziedziczenie. Z ustalenia tego prawa rodzi się wyobrażenie oddzielnych trzech czynników produkcyi rolniczéj, to jest, ziemi, kapitału i pracy. Czynsz z ziemi, uważany jako należytość dziedzica, lubo zwiększa koszta produkcyi, jednakże jest koniecznym... Kapitał cudownie zwiększa produkcyą: lecz do tego, oprócz ustalenia sprawiedliwości, wolności i dobréj wiary, potrzeba jeszcze, żeby był w odpowiednim stosunku do rozmiarów warsztatu. Praca, żeby była płodną, musi być usamowolnioną. Ażeby możebnym uczynić wzrost rolnictwa, należy przyjąć pieniądz za powszechnego cennika, za pośrednika wymiany. Ze wszystkich form i układów między dziedzicem a robotnikiem, tylko trzy odpowiadają przemysłowemu, a więc produkcyjnemu gospodarstwu: dobrowolnie ugodzony parobek, zupełnie swobodny najem, i długoletnia dzierżawa. Co do większéj korzyści z wielkiéj lub drobnéj uprawy, pytanie to nie da się stanowczo rozstrzygnąć, gdyż obiedwie są niezbędne dla dostarczania społeczeństwu wszystkich potrzebnych ziemiopłodów, i niezbędnym jest podział przedsięwzięć rolniczych na folwarki, włościańskie sprzężajne gospodarstwa, i ogrodnicze osady. Również najwłaściwszy stosunek jednych do drugich, nie da się *a priori* ustanowić. Z własności i dzierżawy, pierwsza ułatwia tworzenie kapitału, druga istniejący do czynności pobudza.

Wszystko to opiera się na gruntownéj znajomości stosunków agronomicznych, i jest należycie w książce rozwinięte. Mianowicie uderzyły nas paragrafy poświęcone wykładowi wyższości długoletniéj dzierżawy (dzierżawy od lat 12 do 36), tudzież wyliczeniu korzyści, jakie za sobą wielka uprawa prowadzi. W jedném miejscu, autor wahając się między pociągiem do bezwarunkowych wyobrażeń, a nauką doświadczenia popadł w sprzeczność widoczną. I tak stawia regułę, że »byle prawo nie ścieśniało wolnego rozrządzania własnością, to się sto»sunek drobnych do wielkich gospodarstw sam z siebie ułoży,« zaś wkrótce potém przyznaje: »gdy zbytnia koncentracya uprawy i zbytnie rozdrobnienie, zarówno »są szkodliwe produkcyi, przeto nawet pod względem ekonomicznym może prawo »mieć słuszność, ścieśniając podzielność osad włościańskich.« Ostatnie to przyznanie, wbrew systematowi uczynione, jest słuszne. Doświadczenie codzienne, zwłaszcza we Francyi, pokazuje jako nieograniczona podzielność przyprowadza do ruiny mnóstwo rodzin włościańskich; widzimy też i u nas w Księstwie Poznańskiém, że majątki włościańskie rozdrobniając się przez ciąg spadków, wychodzą bardzo często, coraz częściéj, z rąk rodzin które ziemię otrzymały, i dostają się zasobniejszym często obcego szczepu nabywcom.

Końcowego paragrafu rozdziału I. nie możemy bez uwagi przepuścić. Krzyżtopor powiada:

Równość w obliczu prawa jest martwą literą, gdzie większość mieszkańców jest *de facto* w niemożności korzystania z téj równości. Mimo usuniętych przeszkód, przemysł się nie rozwinie bez umysłowego wykształcenia. A więc wychowanie elementarne ludu, rozpromienienie światła moralnego i odpowiedniéj naukowości, tak żeby doszło do najniższych i najciemniejszych zakątków społeczeństwa, oto zadanie wielkie, którego nierozwiązawszy, nie można się łudzić nadzieją pomyślności. Daléj, przypuszczenie uboższych do korzystania z dobrodziejstw kredytu, czyli jedném słowem zdemokratyzowanie kredytu, jest drugiém, równie ważném zadaniem. Następnie, przejście do gospodarstwa pieniężnego, pociąga za sobą potrzebę większéj ilości tych znaków wymiany, trzeba zatém jednocześnie większą ilość tych znaków w obieg wypuścić. Nareszcie, wszystkie instytucye państwa muszą być zgodne z duchem narodu, z jego usposobieniem, i muszą być w harmonii między sobą.

Znowu widzimy tutaj ogólnik o świątle moralném i o naukowości, jedném i drugiéj nie płynących ze źródła religii. Cóż przecie znaczy taka moralność i taka naukowość? Oświata szeroko rozpowszechniona, jeśli nie ma religii za ożywczy pierwiastek, uczy tylko zazdrościć, pożądać i samolubne ścigać widoki. Moralność ea dogmacie nieoparta, od egoizmu słabo chroni. Chwilową pomyślność materyalną można osiągnąć na drodze rozpowszechnienia naukowości, ale ta pomyślność nie będzie miała bezpiecznéj rękojmi. Rychło przyjdą wstrząśnienia, co upokorzą rozum ludzki, i pokażą mu, że żadna ziemska żarliwość nie podoła odwiecznym warunkom doczesnego istnienia towarzystw.

Uderzył nas także ogólnik o zdemokratyzowaniu kredytu. Umysły praktyczne mówią o takich rzeczach wtedy tylko, kiedy mają środki do podania, i kiedy widzą, że istnieją w spółeczeństwie warunki podobieństwo zaprowadzenia nowych instytucyi zapewniające. Zresztą wyrażenie *zdemokratyzowanie kredytu* ma w sobie wiele nieścisłości i wiele niesprawiedliwości krytycznéj.

Rozdział II. ma napis: *O kształceniu się stosunków rolnicyych w niektórych krajach Europy*, i obejmuje porządny wykład stanu rzeczy pod względem rolniczym w Anglii i Irlandyi, we Francyi, w Austryi, w Prusiech i w Saxonii.

Autor wychodzi z zasady, że to co dziś istnieje, jest w wielkiéj mierze następstwem i przekształceniem feudalizmu, dla tego Anglii, która z organizacyi feudalnéj najwięcéj zachowała, długi ustęp poświęca. Powody pomyślności rolniczéj angielskiéj tak formułuje:

Przy zupełném usamowolnieniu pracy, odwieczna nietykalność własności i osoby każdego, tudzież obyczajowe szanowanie wszystkiego co czas zbudował, trzy rzeczy, wcześnie ustaliły zaufanie publiczne, kredyt, dobrą wiarę, i ułatwiły tworzenie się i wzrost kapitałów. — Skoncentrowanie uprawy, czyli prowadzenie rolnictwa pieniężnego na wielką skalę, sposobem fabrycznym. — Stósowne wykształcenie wszystkich klas ludności. — Wysokie zyski zapewnione rolnictwu przez olbrzymie rozwinięcie przemysłu i handlu, a jeszcze więcéj przez monopol praw zbożowych.

Złą stronę urządzeń angielskich Krzyżtopor ostro wytyka; mianowicie uderza go kunsztowność całéj pomyślności, która do trwania potrzebuje monopolu świata. Tu chętnie się z nim zgadzamy.

Co o Irlandyi za panem Gustave de Beaumont wspomina, jest prawdziwie i uderzające.

Przytoczymy wniosek końcowy całego ustępu; Krzyżtopor powiada:

Nie instytucye angielskie, nie formy są do naśladowania, bo te właśnie ulegają wielu zarzutom, ale duch co te formy ożywia, to uszanowanie przeszłości, niby doświadczenia wieków, ta trafność i praktyczność sądu, ta wytrwałość w przedsięwzięciach, co w części poprawiają ułomność instytucyi i form zewnętrznych.

Stosunki rolnicze Francyi zostały dostatecznie wyświecone.

Spostrzeżenia swoje autor zbiera na końcu w krótką treść, i mówi:

We Francyi organizacya stosunków rolniczych oparta jest na demokratycznéj zasadzie równości w obliczu prawa, przystępności i rozrządzalności ziemi. Ta rozrządzalność nieograniczona prowadzi do zbytniego rozdrobnienia własności, obecnie zmniejsza zyski rolnictwa, w przyszłości grozi proletaryatem. Nadto, na zmniejszenie produkcyi rolniczéj wpływają: *a)* zbytnia centralizacya administracyjna, *b)* zniesienie dorywcze stosunków feudalnych, bez poprzedniego uregulowania gruntów i rozwiązania wspólności, *c)* ciągłe zmiany polityczne, wyczerpujące i roztrwaniające cały zapas gromadzących się kapitałów.

Jest to prawdziwe, potrzebuje przecież krótkiego sprostowania w jednym punkcie. Autor źle rozumie równość w obliczu prawa. Zdawałoby się ze słów jego, że równość ta istnieje tam tylko, gdzie wszelki przywiléj cywilny, jeśli nie polityczny, zniesiony został. Tak nie jest. Równość w obliczu prawa, zrozumiana historycznie raczéj jak teoretycznie, nie koniecznie przywiléj wyklucza. We Francyi, gdzie autor uznaje najszersze jéj zastósowanie, Napoleon już po zaprowadzeniu kodexu cywilnego potworzył majoraty. My utrzymujemy, że kiedy prawo karne trzyma jednę i tęż samą grozę zawieszoną nad wszystkimi członkami spółeczeństwa, a prawo cywilne jednakowo wszystkich, z małemi co do warunków posiadania ściśle określonemi wyjątkami, obowiązuje, kiedy każdemu wolno szukać

sprawiedliwości, a najpotężniejsze wdanie się z góry nie jest zdolne jéj biegu zatamować, wielka zasada równości w obliczu prawa, którą chętnie z Krzyżtoporem wynosimy, panuje w całéj sile. Krzyżtopor nie widzi równości w obliczu prawa w Anglii, my przeciwnie. Jakżeż nie pamiętać, że w Anglii niedawno temu król rozwodową sprawę przed swoją własną Izbą lordów przegrał? Jakżeż nie wiedzieć, że tam każdy książe krwi może być każdego czasu zapozwany przed sąd najniższéj instancyi lub sąd przysięgłych?

Choć jest bardzo rozważny i wielostronnie względy ważący, Krzyżtopor podziela przecież niejedno uprzedzenie pisarzy franzuzkich, w których się wczytał. Dla Francyi nie ma ślepego uniesienie, to prawda, jednakże rzeczy angielskie nie ze stanowiska ogólniejszego, ale ze stanowiska francuzkiego sądzi. Powiada naprzykład:

Francuzi zbytnią niecierpliwością, porywczością charakteru, niweczą korzyści jakie im zaprowadzone formy i instytucye postępowi dogodne, zapewnić były powinny; gdy przeciwnie Anglicy, brak form i niedogodności instytucyi, wytrwałością i logicznością zastósowania naprawiają. Pierwszych naśladować raczéj w prawodawstwie i instytucyach, a drugich w życiu praktyczném należy.

Wszystko to jest bardzo powierzchowne. My stawiamy zasadę, że w ogóle trzeba się strzedz naśladownictwa obcych narodów; wszelako, gdyby nam przyszło wybór wedle sądów Krzyżtopora zrobić, przenieślibyśmy kraj, gdzie jest duch ożywiający kształty zewnętrzne, które zawsze mniéj lub więcéj niedoskonałością grzeszą, nad kraj, mający piękne instytucye, ale martwe, dla braku wewnętrznego życia. Jeźli w rzeczywistości skłaniamy się więcéj ku Francyi, jak ku Anglii, to nie dla tego, że jéj formy i instytucye są *postępowi dogodne*, — taki ogólnik, dobry w deklamacyi, nie w rozumowaniu, — ale dla wyższych pobudek religii i oświaty.

Jeden paragraf z ustępu o Francyi, wyłączniéj zaczepić należy:

Bonaparte, POWIADA KRZYŻTOPOR, oparł reorganizacyą spółeczeństwa na dobréj wierze; nie na zmianie, ale na ustaleniu nowo utworzonych stosunków, i uszanowaniu praw nabyłych. Dla tego to, choć otworzył emigracyi powrót do kraju, choć zawarł konkordat z papieżem, nie zwrócił ani emigrantom ani duchowieństwu dóbr im zabranych; lecz utwierdził rewolucyjne nabycia. Wnet téż wróciło zaufanie.

Gdyby Krzyżtopor był powiedział, że Napoleon z konieczności uznał spoliacye dokonane, nie wszczynalibyśmy z nim sporu, choć mamy przekonanie, że ciągłe próby i wstrząśnienia. przez jakie Francya przechodzi, są tylko następstwem tego, że raz wszystkie zasady moralności i słuszności pogwałcono; ale Krzyżtopor wspomina o dobréj wierze, o ustaleniu stosunków, więc musimy mu lekceważenie moralnych względów, i sprzeczność z postawionemi przez siebie pewnikami zarzucić.

Ze stanowiska moralnego niepodobna zrozumieć, jak gwałt, zadany sprawiedliwości, jak dokonany cudzéj własności zabór, da się usprawiedliwić. Przykazanie boskie, zabraniające nietylko kradzieży, ale nawet pożądania, między czasami i okolicznościami nie rozróżnia. Jeźli znowu zwrócimy się na pole ekonomiczne, to trudno zapomnieć, że sam Krzyżtopor zasadę własności jak najsilniéj obwarował. Prawda, przypuścił i słusznie, konieczność cywilnego rozporządzenia o przedawnieniu; ale czyż się godzi utrzymywać, że przeciąg czasu od konwencyi do Napoleona, odpowiada najszerzéj nawet rozumianym przedawnienia warunkom?

Zdanie Krzyżtopora w tym razie jest znowu tylko odbiciem zdania tak nazwanych liberalnych pisarzy francuzkich, którzy w bałwochwalczéj czci dla wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, zapominają najprostszych reguł słuszności, i uznają za godziwe w owéj epoce to, przeciwko czemu dziś, jako przeciw zbrodniczemu wyuzdaniu powstają.

Koléj austryackich rolniczych urządzeń pobieżnie autor przechodzi. Wspomnimy, że nas uderzyła w tym ustępie szczególniejsza jego względność dla cesarza Józefa. Od epoki Józefa wytyka Krzyżtopor przewrotność całego ciągu

rozporządzeń rządowych, i ich uciążliwe zastósowanie przez niegodziwą biurokracyą. O Galicyi rozszerza się, i z wielką znajomością rzeczy tamtéjsze stosunki wyświeca.

Przytoczymy nieco z paragrafów tego ustępu.

Ze wszystkich prowincyi austryackich, SA SŁOWA KRZYŻTOPPRA, powyżéj wytknięte niedogodności najdotkliwiéj czuć się dawały w Galicyi; raz, że stan włościan za czasów polskich, nie był tak opłakanym jak go lubią wystawiać niemieccy autorowie; powtóre, że wszyscy bardziéj oświeceni mieszkańcy tego kraju, po rozbiorze od razu stanęli w opozycyi z władzą, więcéj zajmując się politycznemi marzeniami, aniżeli wewnętrznèm łagodzeniem nowo-zaprowadzonych stosunków. Ztąd, gdy w innych prowincyach, wpływ arystokracyi na hierarchią urzędniczą poprawiał w części wady organiczne, i usuwał niektóre trudności, przeciwnie w Galicyi, nastało nieustanne ścieranie się, wyraźna walka dziedziców z władzami administracyjnemi. Te ostatnie, mszcząc się za okazywaną sobie niechęć i wzgardę, tém gorliwiéj poduszczały poddanych przeciw dziedzicom. Zrozumiały niebezpieczeństwo tego położenia Stany galicyjskie, dla tego występowały kilkokrotnie z petycyą do tronu o zmianę stosunków, głównie w tem co się tyczyło gruntów niezakupnych, które właśnie stanowiły większość ról włościańskich, bo wynosiły 3,224,201 morgów (patrz rozprawę Alexandra hr. Stadnickiego podaną Stanom w r. 1845). Gruntami *zakupnemi* w Galicyi, nazywano takie role włościańskie, których własność użytkowa przyznaną była posiadaczom, zaś *niezakupnemi* takie, które mogły być alienowane, których posiadaczom nie wolno było zeciągnąć długu wyższego nad 5 zlt m. k. Że takie gzunta nie mogły być podstawą kredytu, to bije w oczy od razu; ale nawet zaprowadzenie ksiąg gruntowych było dla nich niepodobném. Również nie dawały się oczynszować. Wszakże grunta *zakupne* czy *niezakupne*, skoro tylko były włościańskie, już co do rozrządzalności ulegały wielkim ścieśnieniom... Widzimy zatém, jakie tu pzzeszkody tamowały wszelką poprawę, wszelką regulacyą. I nie można było wyjść z tego położenia, jak tylko zmieniając prawną zasadę. Niektórzy radzili podać włościanom, za pomocą towarzystwa kredytowego, sposób zakupienia swych ról, albo też, radykalniéj postępując, po prostu własność użytkową wszelkich gruntów przyznać ich posiadaczom, z zachowaniem ciążących na nich obowiązków, i z usunięciem zastrzeżen ścieśniających ich rozrządzalność; następnie zewaluować na pieniądze prestacye włościańskie i dominialne, ciężary i zapomogi, rozwiązać wspólność i t. d.; lecz do tego wszystkiego trzeba było zmiany w prawodawstwie, trzeba było współdziałania rządu. Jeżeli zatém przez przeciąg lat 50 tak mało widzimy ulepszenia, to nie można tego przypisywać złéj woli i ospałości dziedziców, bo ci mieli ręce związane. Rząd zaś znał dobrze niedogodności istniejącego systematu; przewidywał nawet, że rozdraźnienie wszystkich klass społeczeństwa może doprowadzić do wstrząśnień, nieporządków, że utrzymanie ówczasowego stanu otwiera pole wszelkim podszeptom szerzącéj się komunistycznéj propagandy, a przecie głuchym pozostał na groźby i nalegania stanów. Względy ekonomiczne i moralne musiały ustąpić politycznym względom. To jedno potrafi nam tłómaczyć jakim sposobem pod okiem tak czujnej policyi, jaką była austryacka, mogły wyobrażenia komunizmu, zarażające część polskiéj emigracyi, tak szybko się rozprzestrzenić w Galicyi między chłopstwem, oficyalistami, i krótko widzącą, a łaknącą ruchu szlachecką młodzieżą. Mało kto myślał o tém, co jest rewolucya socyalna, jaki jéj cel, jakie następstwa. Kilka szumnych wyrazów o równości i wolności, kilka pozornych a niepraktycznych teoryi niwelacyi, zaspokajały płytkie umysły i skrzywione sumienia. Dla wielu poruszenie było nie środkiem do dopięcia jakiegoś celu, ale samym celem, a wszystko potém miało pójść samo z siebie. Żeby się podobne uczucia, w jakim narodzie upowszechnić mogły, trzeba żeby ten naród był doprowadzony do ostatniego szczebla zwichnięcia moralnego i rozpaczy. Rząd austryacki znał dokładnie wszelkie szczepóły krwawych spisków i ich dążność, (»je crains nne »insurrection de paysans contre les nobles, je crains qu' une complication sociale, n'aggrave »pour nous les difficultés de la situation politique, pisał książe Metternich do p. Guizot.«) a przecież nic nie przedsięwziął, aby wybuch uprzedzić. Czuł bowiem dobrze, iż ziarno niezgody i nienawiści między lud rozrzucone, nie może wyrość w siłę organiczną... Wieczna hańba, lecz nie pospólstwu, bo to było tylko ślepem narzędziem, ale tym półmędrkom, niby apostołom postępu, którzy przez lat kilkanaście jad śród gminu zaszczepiali, zalecając nienawiść i zazdrość jako cnoty braterskie. Wieczna hańba temu rządowi, co takich sprężyn panowania używa, takie dezorganiczne zarody nie tylko cierpi ale pielęgnuje... Jeszcze przed 10 laty, rząd austryacki zaprowadzając spokojnie i systematycznie zmiany potrzebą wywołane, mógł Galicyi pomyślność, a sobie zaszczyt zapewnić; lecz te same zmiany, po wybuchu 1846. r., i jakby w jego następstwie dorywczo wprowadzone, czyż mogły mieć jakikolwiek skutek zbawienny, czyż mogły zaspokoić włościan, którym się już nietylko o zupełném usamowolnieniu, ale o zajęciu na własność całéj ziemi ornéj, bez obowiązku i ciężarów, marzyło?... Wprowadzone po r. 1846. poprawki, zniesienie wspólności i rozrządzalności ziemi, zastąpienie pańszczyzny dniowéj wymiarową robotą, zwolnienie z powinności, nie były już dostateczne do zaspokojenia żądań. Trzeba było radykalniejszego lekarstwa. W tym duchu zaczęła działać Rada Narodowa Lwowska; lecz będąc pod wpły-

wem chwilowéj exaltacyi i wyobrażeń socyalnych francuzkich, pobudzona też nagłością okoliczności, chciała po prostu nie rozwiązać, ale przeciąć węzeł, odjąć jednym by drugich obdarzyć. Było to może nierozważném, może niesprawiedliwém; lecz jakże nazwać postępowanie liberalnego rządu wiedeńskiego, który zganił to działanie, unieważnił nawet darowizny i usamowolnienia przez pojedyńczych właścicieli w ich własnych dobrach uczynione (jako niby uwłaczające prawu wierzycieli), a potém sam ogłosił: że wszelkie powinności włościańskie ustają, obiecując dopiero jakieś ze strony rządu dziedzicom wynagrodzenie! Czego więc właściciel nie miał prawa uczynić ze swoim majątkiem, to rząd z cudzym uczynił! Postanowienie to pod względem moralnym jest prostą krzywdą, pod względem ekonomicznym jest klęską. Że jest krzywdą, nie potrzeba obszernie dowodzić. Któż bowiem zapłaci obiecane wynagrodzenie? Jużci nie sam dziedzic, boby to było za grubém złudzeniem, wynagradzać kogo z jego własnéj kieszeni; nie włościanie obdarowani, jak byłoby najwłaściwéj, gdyż prawo wyraźnie inaczéj wyrzekło; a więc skarb publiczny, to jest ogół kraju, a zatém i ci, co mają dostać wynagrodzenie, i obdarowani, i komornicy, wyrobnicy, to jest właśnie najbiedniejsze klassy ludności.... Pod względem ekonomicznym, postanowienie to grozi wielką klęską Galicyi. A naprzód każda reorganizacya musi następować z wielką oględnością i rozwagą, a tu pociągnien em pióra, zaprowadzają radykalną zmianę! Dziedzice od razu pozbawieni pańszczyzny, zmuszeni do zupełnego przekształcenia gospodarstwa, gdzież znajdą potrzebne na to fundusze? A więc pierwszém następstwem tego postanowienia, jest zniszczenie wszystkich mniéj majętnych, lub obdłużonych właścicieli, a przynajmniéj niezawodne zmniejszenie produkcyi rolnéj. Daléj, gospodarstwo racyonalne potrzebuje przedewszystkiém skupienia gruntów, a tu prawo nic o regulacyi nie powiedziało. Nakoniec, prawo usunęło wszelką dominialną opiekę, a nic natomiast nie zawiązało. Co się zaś tyczy samych obdarowanych, ci od razu uwolnieni od ciężarów i obowiązków, są w położeniu człowieka co wygrał w karty lub na loteryi. Czyż nie rozpróżniaczą się, nie rozpiją, i czyż nie zmarnują tego, co im jakby z nieba spadło? Opłakany wpływ moralny, jaki rewolucyjne środki rządu na włościan wywarły, już dziś okazuje się w całéj rzeczywistości. Rozporządzając arbitralnie cudzą własnością, rząd sam osłabił, jeśli nie zniweczył wyobrażenia o własności, obudził chęć roszczenia praw do innych posiadłości, i ugruntował nadzieję, że za nowy wierności dowód, nowemi dary znów z cudzéj kieszeni wynagradzać będzie. Dziś w tak fałszywém jest położeniu, że bojąc się narazić na niechęć włościan, nie śmie stanowczo orzekać o prawach najpewniejszych, a odkładając rozstrzygnienie na czas późniejszy, niszczy do reszty uszanowanie dla prawa, sam upoważniając, wniosek iż niema własności, któraby zakwestyonowana być nie mogła. Ztąd ze strony włościan zaprzeczanie dziedzicom własności i użytkowania lasów, pretensye do różnych gruntów, niepewność posiadania, brak chęci zarobku i poczciwéj pracy, gdy każdy oczekuje nowego obdarowania; ztąd zmniejszenie produkcyi i zubożenie kraju.

W żywym tym obrazie, autor bystro widzi stan rzeczy, i prawdziwie go wykłada. Na co tylko nie dosyć zwraca uwagi, to na okoliczność, że w ogólności każde przejście jest niezmiernie trudne, i że w ostateczuym wypadku, wstrząśnienie jakie nastąpiło, pobudzi obywateli galicyjskich do czynności, czynności, która jeźli nie zupełnie to przynajmniéj w wielkiéj mierze, złe następstwa dziś widoczne, usunąć zdoła.

Jedną z najlepiéj opracowanych w książce Krzyżtopora części, jest niezawodnie obszerny dział poświęcony wykładowi stosunków rolniczych w Prusiech. Autor doskonale z przedmiotem się zapoznał, i z godną największéj pochwały starannością zbadał, pogodził i dostępnie wyłożył prawa i rozporządzenia, które, same w sobie ciemne, zawikłane, wielostronnemu tłómaczeniu ulegają. Trzeba było równie jasnego, ścisłego, i prostego umysłu, żeby tak szczęśliwie podołać bardzo ciężkiemu zadaniu.

Nic tu nie mamy do nadmienienia, równie przeciw wstępowi historycznemu, w ciągu którego Krzyżtopor rozprawia się w krótkości ze złośliwém i fałszywém twierdzeniem Kretschmera, iż niewola osobista włościan jest instytucyą słowiańską, jako i przeciw wykładowi prawa regulacyjnego. Wspomnimy tylko nieco o ogólném autora względem Prus usposobieniu. Rozróżniwszy polityczny systemat pruski od administracyjnego, i surowo potępiwszy pierwszy z dwóch, wynosi on niezmiernie drugi. Że Prusy lepiéj są administrowane od Rossyi i Austryi, na to się chętnie zgadzamy. Wszelako tylko nieznajomość bliższa stosunków, albo ciągłe porównywanie, może doprowadzić do uznania administracyi pruskiéj za sprawiedliwą, moralną i oszczędną. Autor, jak widzimy, nie otrząsł się jeszcze z owego szeroko w umysłowych sferach kraju naszego, roz-

powszechnionego przed kilku laty, uniesienia dla filozoficznéj wielkości ojczyzny Fryderyka W. i Hegla.

Następstwa regulacyi, wskazuje autor za sielankowo. Regulacya niezawodnie pokazała się korzystną. Zyskali na niéj dawni właściciele i włościanie, zyskało gospodarstwo krajowe. Niedogodności przecież, jedne się już pokazały, drugie się rozwijają. Nie twierdzimy żeby ta strona uszła uwagi Krzyżtopora. Bynajmniéj. Wie on o obawach ludzi przezornych, przytacza nawet jednego z publicystów pruskich, p. Lavergne-Peguilhen, którego zdanie bardzo na wzgląd i szacunek zasługuje. Cóżkolwiekbądź, pobieżnie zbywa spostrzeżenia oparte na doświadczeniu, dla tego tylko, że te spostrzeżenia ochwiewają jego ekonomiczne pewniki.

Złe tkwi w nieograniczonéj rozrządzalności ziemią włościańską, także, i co ważniejsza, w braku silnego, religijnego wychowania. Tak jak rzeczy stoją, łatwo przewidzieć, że w bliższéj lub dalszéj przyszłości, wielcy właściciele wykupią drobnych [1]), zubożałych przez dziedzictwa, tranzakcye, a często i niedbalstwo, i że znowu wróci niedawno rozstrzygnięta trudność, w gorszych tylko warunkach, bo z ludem bez religii, i bez moralności. Nie tu koniec. Jak słusznie uważa Krzyżtopor, los lubności wyrobniczéj, najliczniejszéj i najbiedniejszéj, znacznie się u właścicieli niedbałych o jéj dobro (to zastrzeżenie przez Krzyżtopora pominięte wyraźnie co do Poznańskiego czynimy) od epoki regulacyi pogorszył. Owóż teraz trudno już wskazać środki ogólniejsze ku zapobieżeniu nędzy, jaka ten proletaryat wiejski trawi.

Lekarstwa podaje Krzyżtopor. Powiada on:

Trzebaby dokładniéj i silniéj uorganizować gminy, i tych opieką i kontrolą zastąpić dawną dominialną władzę; daléj, urządzić właściwiéj szkoły wiejskie; daléj, stósownym systematem kredytowym zapewnić włościanom pomoc niezbędną; nakoniec, przez modyfikacyą prawa o sukcessyi, lub zniesienie nieograniczonego rozrządzaula ziemią, zasłonić osady włościańskie od drobnienia i zupełnego absorbowania przez większe folwarki.

Pomijamy organizacyą gminną, która mogłaby być lepszą, ale która w żadnym razie przy usposobieniu i nawyknieniaoh włościan, nie wyda przez długie czasy, spodziewanych przez autora błogosławieństw; do innych zaleconych środków zwracamy się.

Szkoły wiejskie, nasuwa Krzyżtopor, należy inaczéj urządzić. Szkołom tym z resztą, zarzucił był pierwéj brak zdatnych nauczycieli, i dążność zbyt naukową. Nasze zdanie w téj rzeczy jest nieco różne, dla tego, że je na odmiennych wrażeniach opieramy. Nie tyle chodzi o inne urządzenie szkółek, jak o tchnienie w te szkółki innego ducha. Na zdolności nauczycieli trudno się u nas skarzyć, raczéj utyskiwać przychodzi nad ich niereligijnością, często złemi obyczajami, wyobrażeniami przewrotnemi w wielu przydadkach. Dać silny religijny i moralny kierunek w seminariach nauczycielskich, i pobudzić duchowieństwo do bliższéj nad szkółkami opieki, oto co zrobić należy.

Krzyżtopor radzi zaprowadzić systemat kredytowy dla włościan. Ustanowione już po napisaniu jego książki, banki rentowe, w małéj części, życzenie jego urzeczywistniły. Mówimy, w małéj części, bo banki rentowe, jeźli zniesienie głównego na ziemi ciężaru ułatwiają, nie przychodzą w pomoc zadłużonym z innéj strony, albo chcącym ulepszyć gospodarstwo. Pod temi ostatniemi względami pozostaje dużo do zrobienia. W Księstwie Poznańskiém, o pożyczkach na ulepszenie gospodarstw jeszcze niema mowy, ale co jest naglące, konieczne, to ratowanie włościan posiadających, z rąk żydów i innych lichwiarzy.

---

[1]) Istnieje w Księstwie Poznańskiém klassa właścicieli, któréj posiadanie bardzo ma słabe podstawy, i dodajmy, która prawdziwą nędzę cierpi. Mówimy tu o uwłaszczonych w r. 1848 w dobrach rządowych komornikach. Ówczesne władze idąc o lepsze w wyścigach nierozsądku z naszymi radykalistami, co obiecali po trzy morgi, nadały komornikom po sześć morgów gruntu. Ci biedni ludzie mając się za gospodarzy, zaniechali szukania zarobku, pozadłużaii się, w części zdemoralizowali, i są dziś plagą wsi okolicznych.

Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia odłużone są w niektórych miejscach gospodarstwa wiejskie. Owoż, złemu i niebezpieczeństwom wielorakim, w naszém zwłaszcza położeniu narodowém, nie instytucya publiczna, ale prywatne stowarzyszenia zaradzić jedynie mogą., Początek już mamy, i początek chwałebny, w *kassie pożyczek* w Śremie. Życzyćby tylko należało, żeby obywatele innych powiatów, piękny ten przykład naśladować chcieli. Kassy podobnego rodzaju mogłyby później, skoroby się potrzeba pokazała, i do ulepszeń gospodarskich dopomagać.

Że Krzyźtopor wbrew ideom przez siebie postawionym, przyzwala na ograniczenie rozrządzalnością ziemi, temu się trochę dziwimy, niemniéj jednak skwapliwie zapisujemy zupełną z nim naszą w tym punkcie zgodę.

Ostatnie paragrafy rozdziału zapoznają treściwie z prawem regulacyjném Saskiém, o którém to nadmienić wypada, że wyszło z dyskussyi parlamentanéj, i że ogłoszone zostało dopiero r. 1832. Prawo to, obszerniejsze i zupełniejsze jak prawo pruskie, przypuszczające większą liczbę osadników do usamowolnienia, nienadające własności, tylko ułatwiające jéj nabycie, otwierające drogi, nie zmuszające do separacyi, nieodsuwające włościan od opieki dawnych dziedziców, zawięzujące silne stosunki gminne, zresztą połączone z instytucyą banku włościańskiego, pod gwarancyą rządu, który to bank wydaje listy zastawne na przekazane sobie czynsze, słusznie pochwały Krzyźtopora zyskuje.

Rozdział III. traktuje: O *kształceniu się stosunków rolniczych w krajach słowiańskich w ogólności*, *a w szczególności w Rossyi i Polsce.*

W obrazie Słowiańszczyzny, autor trzyma się wyłącznie zdania p. Maciejowskiego. Tego nie bierzemy mu za złe, robimy tylko uwagę, że zbyt łatwo i zbyt śmiało nierozjaśnione dotąd hipotezy przyjął i w całość powiązał. Dziś jeszcze nie uchodzi twierdzić stanowczo, że Litwini są szczepem wschodnim germańskim, albo że istniały wyraźnie od najdawniejszych czasów dwa rodzaje własności u Słowian, albo, że rody sztuczne, miały cechy współki handlowéj i t. p.

Co słusznie Krzyźtopor wynosi, to okoliczności, że nasze prawo aż do końca nie znało przypisania do ziemi, że w Rossyi pierwszy Borys Godunow r. 1593 przypisanie ogłosił, i że dopiero Katarzyna II., przyjaciółka filozofów, rozporządzenie to, do prowincyi ruskich od Polski oderwanych rozciągnęła.

O instytucyach gminnych w Słowiańszczyznie, godziło się więcéj powiedzieć, ile że autor taki przycisk na nie kładzie. Można było, nad Dunaj zwłaszcza, śmieléj po fakta sięgnąć.

W ustępie Rossyi poświęconym znajdujemy staranne zdanie sprawy o położeniu tamtejszych włościan, w dobrach prywatnych i w dobrach rządowych Autor wiele korzystał z dzieła barona Haxthausen, dobrego przewodnika w téj materyi.

Smutne jest, ale prawdziwe spostrzeżenie, że dola włościan, w prowincyach od Polski oderwanych, w kilkadziesiąt lat stała się daleko cięższa od doli włościan w starych guberniach. Zapewne wiele na to nieszczęścia nasze narodowe wpłynęły, ale i demoralizacyą pewnéj liczby obywateli, o ucisk obwinić trzeba.

O włościanach rządowych, tak mówi Krzyźtopor:

Położenie włościan rządowych nie jest jednostajne. Są między nimi całe osady, około 200,000 dusz, należące do zakładów rządowych i odrabiające robociznę w fabrykach i kopalniach; są znowu wsie nad traktemi położone, które mają obowiązek przewożenia poczty. Stan jednych i drugich nie jest kwitnący. Daléj jest do 750,000 dusz męzkich, w dobrach familijnych cesarza, zupełnie oddzielnie administrowanych. — Ale większość włościan rządowych stanowi klassę zwaną *Gosudarstwiennych Krestian;* można ich liczyć przeszło na 12,000,000 dusz męskich; wśród nich odwieczna słowiańska organizacya gminna, po dziś dzień przechowała się nietknięta Składając odrębną administracyą pod kierunkiem ministra nieruchomości cesarskich, tworzą niejako *status in statu.* Każda wieś, *sieło*, jest jakby rzeczpospolitą, która się rządzi i sądzi sama, w któréj ziemia jest wspólną własnością wszystkich, a tylko ruchomości stanowią oddzielną własność posiadaczy. Kilkanaście takich wsi, niby węzłem federacyjnym złączonych, tworzą włość, *wołost'*, w któréj znajduje się druga instancya administracyjna i sądownicza, za pośrednictwem okręgowego naczelnika podległa

izbie gubernialnéj, i mogąca wprost korespondować z ministrem i senatem. — W każdéj włości jest wspólny dom do narady i sądów, tudzież szkoła dla kandydatów do służby kancellaryjnéj przy administracyach gminnych. W każdéj wsi jest również dom wspólny na więzienie i śpichlerz gromadzki. — Zbiór ustaw *(Zwod Zakonow)* za cesarza Mikołaja wydany, obejmuje w części II., księdze V. obszerne i dokładne urządzenie tych gminnych administracyi.

Autor przytacza główniejsze artykuły prawa, które razem wzięte, pozornie tworzą piękną całość. Te gromady, czyli włości, mające swoje zbory wiejskie do narad, swoje zwierzchności obieralne wiejskie, z jedynymi pisarzami mianowanymi przez naczelnika okrężnego, swoje sądy obieralne wiejskie, swój zbór włościański, swój włościański zarząd obieralny, z pisarzem tylko mianowanym z góry, swój sąd włościański obieralny, choć zależny od izby gubernialnéj, bardzo swobodny mechanizm przedstawiają.

W praktyce wszelako, nie wszystko tam dobrze idzie. Krzyżtopor przyznaje:

Zdaje tię, czytając prawo, że mieszanie się policyi i sądów ziemskich bardzo jest ograniczone. Przecież taka jest przewrotność i zarazem zręczność urzędników policyjnych, taka z drugiéj strony trudność uzyskania na nich sprawiedliwości, iż zdzierstwa tych urzędników w dobrach rządowych, są plagą pożerającą znaczną część wznoszącéj się ich pomyślności. Turgeniew twierdzi, że te wsie mają się za szczęśliwe, w których opłaty przez sądy ziemskie wydzierane, nie przechodzą summy wszystkich czynszów i podatków rządowych. Drugiém nieszczęściem dla włościan rządowych są przechody wojsk i obowiązek dostarczania im podwód, przyczém największe dzieją się nadużycia. W samém zaś wewnętrznem urządzeniu, jakkolwiek pisarz nie ma głosu stanowczego, przecież będąc często sam jeden piśmienny, i sam jeden nie mogąc być przez włościan z miejsca ruszony, nabiera takiego wpływu, iż w rzeczywistości staje się dyktatorem wsi, albo i całéj włości.

To wszystko nie przeszkadza Krzyżtoporowi być zdania iż tylko:

w dobrach rządowych w Rossyi życie gminne rozwija się bez przerwy, i stanowi najsilniejszą podstawę przyszłéj pomyślności stanu włościańskiego, a zarazem przyszłéj wielkości państwa.

i jako:

prawo wydane za cesarza Mikołaja jest jedno z najlogiczniejszych i najgłębiéj pomyślanych.

Mybyśmy mniemali, że niema tam rozwinięcia, gdzie niema płodności i życia, a jednego i drugiego Rossyi przy schizmie i przy demoralizacyi rządowéj, niedostaje. Jesteśmy także zdania, że w rzeczy ustaw, raczéj o dobre wykonanie, niżli o logiczność układu idzie.

Zarzut, jako wspólność własności ziemi, i czasowość posiadania, w gminach rządowych rossyjskich polepszeniom gospodarskim przeszkadzają, zapisuje Krzyżtopor, ale nań nie odpowiada.

Urządzenie kolonii wojskowych za cesarza Alexandra i późniéj, wydaje się Krzyżtoporowi niebezpieczeństwem dla rozwinięcia gminnego życia w Rossyi. Widzi on w téj instytucyi, i szłusznie, najgorszy rodzaj poddaństwa.

Końcowe uwagi ustępu przytoczymy:

Bez wątpienia, wyjąwszy nieszczęśliwy pomysł kolonii wojskowych, pierwsze lata panowania Alexandra, natchnione były duchem wyobrażeń liberalnych. Pomijając ustawy, które zapewniły swobodniejsze powietrze wyższym klassom społeczeństwa — nie można zaprzeczyć, by los włościan nie zajął silnie jego uwagi. Lecz tu za każdym krokiem znajdował trudności i złą wolę; szlachta zapytana o zdanie względem sposobów zniesienia poddaństwa, wystawiała, że lud jeszcze nie dojrzały. Najzbawienniejsze pomysły spełzły na niczém, lub ograniczyły się na pojedyńczych próbach. Ze wszystkich prowincyi cesarstwa, szlachta niemiecka nadbaltyckich gubernii, najwięcéj mając stosunków z Prusami, najprędzéj pojęła korzyści zniesienia poddaństwa. W guberniach: kurlandzkiéj, inflanckiéj i estońskiéj, sposobem próby przeprowadzono to zniesienie. Nie była to regulacya na wzór pruskiéj. Po prostu podatek pogłównego, czyli podusznego, zamieniono na podatek gruntowy, i dozwolono chłopom przesiedlać się. Dalsze urządzenie stosunków z dziedzicem, zostawiono dobrowolnéj obu stron umowie Urządzenie to jakkolwiek niedostateczne, wydało najlepsze owoce... Cesarz Mikołaj pojął, że kierunek od Piotra W. przyjęty, kierunek ślepego naśladownictwa cudzoziemczyzny, nie zapewni pomyślności i siły, że téj, trzeba szukać w rozwinięciu rodzinnych, organicznych pierwiastków; dla tego to zwrócił się do narodowości rossyjskiéj. Dążność ta, bolesna dla ludów innego szczepu, berłu cesarskiemu podległych, jest zbawienna dla jednolitych, wielko-rossyjskich krajów. Cesarz Mikołaj zwracając rozwinięcie téj odnogi swych ludów na drogę rodzimą, więcéj zrobił dla jéj

przyszłéj pomyślności, niż zachwalony reformator Piotr W., lub liberalny Alexander. — Główne złe, przeciw któremu należy walczyć w Rossyi, jest brak uczucia prawności.... Ztąd ważném jest wydanie Zbioru Ustaw cesarstwa... Aby wykorzenić drugą plagę co zaraża Rossyą, to jest poddaństwo, nie są dostateczne cząstkowe regulacye; potrzeba ogólnych środków, ograniczających w całém państwie dziedziców. I w tym duchu cesarz Mikołaj kilka ważnych wydał postanowień. A naprzód ukaz, zabraniający stanowczo przedaży ludzi bez ziemi, który jest zniesieniem osobistéj niewoli; następnie, nakaz spisywania inwentarzy po majątkach prywatnych, który jest kamieniem węgielnym przyszłéj regulacyi. Ustalenie powinności chłopskich, zakaz odbierania im ziemi, jest ogłoszeniem zasady, iż odtąd nie wola pojedyńczych, ale prawo, stale ma rządzić klassą włościańską... Pod względem ekonomicznym, nader ważném jest rozporządzenie nakazujące w całém państwie zniesienie i zamianę istniejących szachownic gruntów, które w ostatnich latach wprowadzone w wykonanie, dopełniło pomiaru normalnego majątków, za cesarzowéj Katarzyny rozpoczętego. Równie logicznym jest ukaz, dozwalający dziedzicom i niejako zachęcający ich aby się układali z chłopami, poddając te układy pod zatwierdzenie władzy. Idzie tylko o to, żeby ten pierwszy krok nie był zarazem ostatnim. Inaczéj szybko się rozwiną dezorganiczne zarody. Biada Rossyi, jeśli daléj energicznie nie postąpi! Biada dziedzicom, jeśli nie będą korzystać z chwili, która im pozostaje do przeprowadzenia reform, spokojnie i bez wstrząśnień... Żeby przecież dziedzice mogli przystąpić do regulacyi, trzeba przedewszystkiém, by rząd zmienił pobór pogłównego, na podatek z ziemi, a zarazem uwolnił dziedzica od obowiązku żywienia włościanina, od chwili jak tenże przestanie być poddanym. Dopóki to nie nastąpi, najlepsze chęci napotkają niezwalczoną zaporę. Jakże żądać od dziedzica, by zniósł poddaństwo, by pozwolił swym chłopom opuścić majątek, jeśli wiecznie nań ciążyć będzie obowiązek płacenia podatków za nieobecnych; jakże żądać, by zwracał włościaninowi własność pracy, dobytku i ziemi, jeśli pozostanie na nim ciężar dbania o wyżywienie chłopa?

W dalszym ciągu przechodzi autor do Polski, i zaczyna od skreślenia wywodu historycznego.

Zaraz na wstępie uderzyły nas aforyzmy podejrzanéj wartości.

Gdy przeszłość nasza, POWIADA KRZYŻTOPOR, nie przedstawia stopniowego i jednostajnego rozwijania się tegoż samego pierwiastku, ale przeciwnie walkę przeciwnych sobie zasad, z których kolejno jedna lub druga brała górę, niepodobna w jednym obrazie objąć owéj przeszłości, lecz musimy podzielić ją na pewne charakterystyczne epoki.

Któreż dzieje pojedyńczego narodu pokazują stopniowe i jednostajne rozwijanie się tegoż samego pierwiastku? Owszém, czyż nie widzimy zawsze i wszędzie walki przeciwnych sobie zasad, to jest, walki złego i dobrego, z przemiennemi kolejami zwycięstw i przegranych? Jakiekolwiek są przecież objawy widome wolnéj woli ludzkiéj, każdy naród ma, i musi mieć w sobie myśl rdzenną, jedną, czystą, prawdziwą. Myśl owa, rozwija się i dojrzewa wśród najgwałtowniejszych targan, wśród najwyraźniejszych przeciwieństw, piastowana raz szczęśliwie, kiedyindziéj niefortunnie, przez ludzi wierzących w nią głęboko i wytrwale. Naród, którędy odepchnął ideę swego powołania, i raz stracił wątek pierwotny, śród walki przeciwnych zasad, rychłoby przestał być narodem. Dodajemy tu jako wniosek, że kiedy się oznacza epoki historyczne, trzeba wychodzić z pojęcia przemiennych okoliczności, a nie z pojęcia zasadniczych zmian wewnętrznych.

Walka dwóch pierwiastków, DALÉJ RZECZ SWOJĄ PROWADZI AUTOR, rodziméj słowiańskiéj demokracyi i obcego bo niemieckiego możnowładztwa, oto klucz do pojęcia dziejów naszych. Wśrod téj walki, kolejne ugruntowanie, lub osłabienie monarchicznéj władzy, wprowadza trzeci pierwiastek, którego także z uwagi spuszczać nie należy.

Jakże to wszystko powierzchowne i błahe!

Historyą polską dzieli Krzyżtopor na cztery okresy. Pierwszy rozciąga się do Mieczysława i ma się kończyć na ustaleniu absolutnego rządu. Drugi, obejmuje czasy Piastów, czyli dziedziczności tronu. Trzeci, przedstawia rozwinięcie, rozkiełznanie, a upadek demokracyi szlacheckiéj, i rozciąga się od pierwszych Jagiellonów do rozbiorów. Czwarty nakoniec, pokazuje nam usiłowania ku odbudowaniu i poprawie.

Nie będziemy się spierali o ten podział z autorem, który kistoryą nawiasowo trektuje, wspomnimy tylko, żeśmy znowu uderzeni zostali tem upor-

ném twierdzeniem, o samowładztwie Piastów, twierdzeniem bez podpory, a powracającém u największéj liczby naszych pisarzy.

Właściwy wywód historyczny, z razu ogólników się trzyma; zaczyna być zajmujący dopiero od epoki statutu wiślickiego.

Autor dobrze wyłożył podział na klassy, jaki się ze statutu wiślickiego pokazuje. W następstwie mówi:

Z powyższego obrazu łatwo się przekonać, że w owych czasach, własność ziemi, lubo jeszcze dostępna dla każdego, rzeczywiście skupioną była w ręku monarchy, duchowieństwa i szlachty. Wolność osobista, swobodność ruchów, oprócz nie licznych poddanych, zapewniona była wszystkim mieszkańcom. Również otwartym był dla każdego przystęp do naukowego wykształcenia, a za niém do najwyższych dostojeństw w duchowieństwie. Wprawdzie równość w obliczu prawa nie mogła istnieć przy dwoistości prawodawstwa; mimo to jednak, ustalenie tego prawodawstwa, skarcenie nadużyć, bezpieczeństwo osób i majątków, przypuszczenie do obrad całéj szlachty, mieszczan, a nawet części ludu wiejskiego, wolność handlu, przemysłu i zarobkowania, dostatecznemi były powodami do rozwinięcia materyalnéj pomyślności. Nadto, do upowszechnienia dobrego bytu klassy włościańskiéj i to się silnie przyczyniało, że przy małych ciężarach, posiadała w swém ręku większą część ziemi ornéj. Robocizna rzadko gdzie przechodziła dzień jeden tygodniowo od włoki.

Dla tego przytoczyliśmy powyższy ustęp, że autor, zapatrując się na zewnętrzne więcéj, jak na rzeczywiste podobieństwa, a na ogólne odmienne położenie baczenia niezwracając, utrzymuje w dalszym ciągu, iż w obecnéj chwili, ludność wiejska, na tym samym co w ówczas znajduje się punkcie.

Szereg praw ograniczających swobody stanu wiejskiego, poczynając od statutu Jana Olbrachta, z r. 1496 do r. 1573, wymienia Krzyżtopor po kolei.

Mówi potém o smutnéj doli włościan w całym kraju, i tu lekkomyślnie powtarza za Czackim (dokument, o którym Czacki wspomina, ścisłego sprawdzenia potrzebuje) że biskupi, gorzéj jeszcze od szlachty, z chłopami w dobrach duchownych postępowali.

Autor, który w historyi stanu włościańskiego w Polsce często przywodzi udzielony sobie rękopism pana E. S., przytacza za nim na czele ustępu o okresie IV. nazwiska pisarzy i właścicieli, którzy w obronie włościan za dawnych czasów przemawiali, albo się opiekowali włościanami. Między pierwszymi wymienia Kromera, Petrycego, Krasińskiego, Frycza Modrzewskiego, Jakóba Przyłuskiego, Marcina Szmigielskiego, Fabjana Birkowskiego, Piotra Skargę, A. Olizarowskiego, Jacka Liberyusza, Witwickiego biskupa Łuckiego, Antoniego Szyrmę jezuitę, Marcina Kurzenickiego, Opalińskiego, Starowolskiego, Ks. Rudominę, Ks. Gelarowskiego, Ks. Zrzelskiego; a między drugimi, Jana Tarnowskiego i Lwa Sapiechę.

Rzeczywista zmiana na lepsze, jak słusznie uważa Krzyżtopor, poczęła się od rozporządzeń sejmu z r. 1768. i od rezolucyi Rady Nieustającéj z lat 1776. i 1777.

Charakterystycznem jest piętnem téj epoki, MÓWI DALÉJ, że obrońcy stanu włościańskiego nie poprzestawają już na samych skargach, jak czynili ich poprzednicy, ale podają środki ulepszenia. Autor pisma: *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, w czasie bezkrólewia po śmierci Augusta II., pierwszy się odzywa, że położenie i los ludu są nie tylko przeciwne sumieniu, ale i dobréj polityce... Wielhorski, posłannik Konfederacyi Barskiéj w Paryżu, wzywa rady Russa i Mablego... Lecz ważniejszy od tych częściowych pomysłów był projekt przez Andrzeja Zamojskiego wypracowany, ułożony z polecenia sejmu roku 1776. i przedstawiony Stanom na sejmie r. 1778. Zamojski rozdziela chłopów na dwie klassy osobne, to jest wolnych, i przywiązanych do ziemi. Do ostatnich liczy tych, którzy zrodzeni w miejscu, osiedli bez kontraktów, mają załogi i odbywają pańszczyznę. Ci z gruntu bez pańskiego pozwolenia odejść nie mogą... Wskrzeszając dawne prawa Kazimierza W. i Jana Albrechta, z synów włościan przywiązanych do ziemi, dwom nakazuje pozostać na tejże ziemi, a reszcie dozwala udawać się do nauk i rzemiosł. Długów zaciągać, i zapisów kościołowi czynić, takim włościanom, bez pozwolenia pana, zabrania; zabezpiecza surowo zdrowie i życie chłopstwa od samowolności pańskiéj, kładąc nie tylko rygor kar pieniężnych za nadużycie, ale jeszcze obdarzając wolnością pokrzywdzonych. Wolnymi włościanami stanowi tych, którzy do dóbr wszedłszy, bez załogi dworskiéj, osiedli za kontraktem ustnym lub pisanym, (potomkowie sołtysów).. Ci mają wolność udania się gdzie wola, skoro kontraktom zadość uczynią; mają moc upominania się w sądach, mają prawo grunta lennem i emfiteutycznem prawem okupić i posiadać..... Przechodzić mogą chłopi z przywiąza-

nych do gruntu na wolnych, albo przez pismo dane od dziedzica, albo gdy jako trzeci z rodzeństwa, udają się na naukę lub do rzemiosła. Zakończa przepisem, aby w każdéj parafii, przy kościele była szkółka parafialna. Upadł ten projekt Zamojskiego, nawet wywołał na sejmie i po za sejmem silną opozycyą. Wszakże pozostał jako wyznanie wiary stronnictwa, chcącego szczerze poprawy Rzeczypospolitéj.

Dążność organiczna i czynem się w rozmaitych próbach objawiła. Już pod koniec panowania Augusta III, w dobrach książąt Czartoryskich, przedsiebrano niektóre częściowe ulepszenia. Późniéj Andrzéj Zamojski w jednym z kluczów Ordynacyi, Stanisław Poniatowski podskarbi W. X. Litewskiego, uwalniali od poddaństwa, zmniejszali pańszczyzny, lub je zmieniali na czynsze. Toż uczynił Szczęsny Potocki z włościanami ukraińskimi, którzy w czasie rzezi humańskiéj wiernie przy nim stawali. Radykalniejszą jeszcze reformę przeprowadził Joachim Chreptowicz podkanclerzy litewski; kazał albowiem wszystkie grunta orne w swym majątku pokrajać miedzami, mającemi kierunek równoleżników i południków, na prostokąty o jednéj włóce, następnie podzielił te grunta, co do ich dobroci na trzy gatunki, i stosownie ocenić je kazał. Te prostokąty, z których każdy stanowił osadę, rozebrali między siebie włościanie, mając zostawiony wybór, czy należytość dominialną gotowizną, ziarnem lub robotą uiszczać. Mimo pochwał, jakie opisujący urządzenie oddają mu, nie mogę nie uczynić całemu pomysłowi zarzutu niepraktyczności. Jeszcze dawniejszy był pomysł ks. prałata Brzostowskiego, który pod Wilnem założył wśród Rzeczypospolitéj jakby drugą Rzeczpospolitę, dając poddanym przywiléj zawiadywania swoim dochodem, jurysdykcyą na kształt sądu przysięgłych, nawet siłę zbrojną. W ogóle większa część pomysłów i prób w téj epoce dokonanych, obok jakiegoś utopicznego, szlachetnego natchnienia, nosi cechę bardzo powierzchownéj znajomości rzeczy, i mało praktycznego rozsądku.

Konstytucyą 3. Maja sprawiedliwie Krzyżtopor ocenia, przyczém uważa, że nie regulowała ona stosunków włościańskich, tylko uznała potrzebę regulacyi.

Konstytucya Księstwa Warszawskiego z r. 1807. nie może być równie wysoko postawiona.

Po szumnych i niewłaściwie użytych wyrazach »znosi się niewola,« (bo téj nigdy nie było), dodaje ona: »Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa; stan osób zostaje pod opieką trybunałów.« Zupełna swobodność ruchów, zupełne usamowolnienie pracy, dostępność własności i wykształcenia, oto teoretyczne następstwa ogłoszonéj zasady. Należało tylko prawu podać materyalną podstawę, inaczéj wszystko pozostawało martwą literą. Dnia 21. Grudnia 1807. wyszedł dekret króla saskiego, rozwijający ustawę. Art. 3. dekretu brzmi: »Zapewnia się dla rolników i włościan z wyrobku żyjących, chcących się »pozostać w miejscu teraźniejszego pobytu ich, zupełna wolność przemieszkiwania do roku, »byleby odbywali też same powinności którym dotąd podlegali.« A zatém przy najlepszych chęciach, przy powtarzaniu szumnych wyrazów wolności i równości, zniweczono prawo włościan do wieczystego posiadania swych osad, zmieniając je na jednoroczną dzierżawę, po upływie któréj, dziedzic z włościanami stają naprzeciw siebie, jakby całkiem obce, pierwszy raz z sobą traktujące strony. »Zdjęto włościanom z nóg kajdany, mawiał Badeni, ale »razem z bótami...« Kodex tylko wyrzekł zasadę usamowolnienia, ale że zaniechał rozwiązania stosunków wspólności i pańszczyzny, oświecenia pracującéj klassy, podania dziedzicom środków ułatwiających zaprowadzenie pieniężnego, przemysłowego gospodarstwa, wreszcie, że powierzył władzę wójtowską dziedzicom, to wszystko było powodem, iż zasada prawna pozostała teoryą bez zastosowania.

Czytamy daléj:

Jeden z głównych zarzutów jakie uczynić można Izbom Królestwa Kongresowego, jest ten, iż przez 15 lat pokoju nie zwróciły swych usiłowań ku rozwiązaniu tak ważnego zadania. Wprowadzono wprawdzie niektóre ulepszenia: zamiana dziesięcin wytycznych na osep lub opłatę pieniężną, oswobodziła rolę od raka co jej żywność pożerał; towarzystwo ogniowe było pierwszą próbą rozwinięcia zasady solidarności i assocyacyi; prawo hipoteczne, najdokładniejsze może w Europie, ustaliło własność ziemską; towarzystwo kredytowe uratowało ją od bankructwa; ale kwestya włościańska pozostała nietknięta.. Nie brakło na inicyatywie ze strony rządu. Książę Lubecki, zostawszy ministrem skarbu, wezwał rady powiatowe i wojewódzkie, aby objawiły swe zdanie względem kilku ważnych pytań w tym przedmiocie, nawet już ułożono projekt oczynszowania dóbr rządowych; lecz to wszystko pozostało projektem.

Że w r. 1831 sejm się gorliwiéj nie zajął tą rzeczą, i poprzestał na wyznaczeniu komisyi, tego mu wcale za złe wziąść nie można. Jego celem była wojna.

Tu autor wykłada, że bez ogólnego prawa, bez popędu z góry, trudno było pojedynczym dziedzicom, zwłaszcza mniéj zamożnym, przystąpić do dzieła. Więksi właściciele, u których niedogodności pańszczyzny są widoczniejsze, mieli jeszcze jakiegoś bodźca. Oni też prędzéj odważyli się na próbę.

O usamowolnieniu przez Staszyca dokonaném, tak pisze Krzyżtopor.

Jeden z pierwszych dał przykład ś. p. ksiądz Staszyc w dobrach Hrubieszów; lecz przykład ten, będąc raczéj pośmiertném obdarowaniem włościan, a więc właściwie jedynie dla duchownego bez naturalnych spadkobierców, za regulacyą, za wzór urządzenia uważanym być nie może. Jest tylko ciekawy ze względu wagi przyznanéj zawiązaniu instytucyj gminnych, ze względu rozległych zamiarów urządzającego, które wszakże tem po większéj części unieważnione zostały, iż zarząd gminny, nie będąc obieralnym, ale dziedzicznym, przez to samo był pomieszaniem dwóch wyobrażeń, zupełnie sprzecznych, to jest, gminowładztwa i dziedziczności. Gmina Wielko-Rossyjska przetrwała wieki i despotyzm władzy najwyższéj. Nie taki los czeka gminę Staszyca z dziedziczną starszyzną, bo ta, nie jest ani gminą, ani klanem, ale aglomeracyą ludzi, bez silnego zarządu, bez samoistnego żywiołu.

Następnie znajdujemy wykład zmian przedsiewziętych w ordynacyi Zamojskich:

Zmiany w ordynacyi Zamojskich odbyły się na większą skalę, bo rozciągnęły się na rozległe dobra, obejmujące, oprócz stu przeszło folwarków, 14000 rolnych gospodarzy. Główną myślą, kierującą urządzeniem, było, zapatrując się na stosunki angielskie, dojść do podobnych, bez wielkich kapitalnych nakładów. W tym celu, w r. 1833. następujące administracya ordynacyi przyjęła i ogłosiła zasady. 1) Dozwolono wszystkim włościanom, odrabiającym pańszczyznę, w miejscu tejże opłacać nadal czynsz, kwartalnie z góry, licząc za każdy dzień ciągły złp. 1, za każdy pieszy gr. 15, a to bez żadnego nowego pomiaru, tylko przy zachowaniu każdemu gruntów jakie poprzednio uprawiał. Przemianę taką prestacyi nazwano *okupem*. 2) Naznaczono nadto każdemu okupnikowi złp. 1 gr. 10 składki, i 12 dni rocznie, na potrzeby ogółu, pod rozrządzeniem administracyi dóbr, która tego funduszu i téj robocizny użyć miała na stawianie domów ochrony, folwarków, karczem i t. p. 3) Celem rozklasyfikowania ludności na rolniczą i wyrobniczą, dozwolono każdemu biedniejszemu pozostać przy chacie, ogrodzie, z prawem pasania jednéj sztuki bydła na wspólném pastwisku, pod obowiązkiem opłaty złp. 26 rocznie; możniejszym zaś dozwolono przybierać z gruntów porzuconych od tamtych, tyle ile każdemu będzie dogodném, za opłatą od morga obliczoną, stosownie do czynszu, po potrąceniu owych złp. 26. 4) Celem zapewnienia włościanom zarobku, zachowano folwarki dominialne, i te wypuszczono w długoletnie dzierżawy bezpańszczyzniane, pozwalając im tylko czasowéj robocizny od włościan co się okupić nie chcieli, lub nie mogli. Zabroniono dzierżawcom osadzać komorników, i włożono na nich obowiązek zaprowadzenia płodozmiennego gospodarstwa. 5) Zapewniono włościanom: że żadnemu, zobowiązania swe dopełniającemu, grunta odbierane nie będą; że przestrzeń poprzednio włościańska nie zostanie uszczuplona, chybaby włościanie byli w zupełnéj niemożności jéj obrobienia. 6) Zalegający w czynszu okupnik powracał do pańszczyzny, lub przechodził na ogrodnika. 7) Osady okupnicze mogły się zwiększać przybraniem pól pustych, ale nigdy nie mogły się dzielić. Stawianie nowych chat, było zakazane.. Do r. 184⅙ pomimo częstego powrotu do pańszczyzny mniéj zamożnych okupników, pomimo przejścia innych na ogrodników, liczba gospodarzy okupnych wyniosła 11,839. Wtenczas już gospodarstwo dominialne bezpośrednie całkowicie ustało; i folwarki puszczone zostały prawie wszystkie w długoletnie dzierżawy bezpańszczyzniane. Widząc to włościanie, i zgadując że w takich okolicznościach pańszczyzna byłaby nieużyteczną dziedzicowi, dla uzyskania lepszych warunków zaczęli gromadnie oświadczać się z chęcią do pańszczyzny. Aby temu zapobiedz, administracya ogłosiła iż odtąd nie wolno być pańszczyznianym; że okupnik zalegający w wypłacie, ma zrazu możność opóźnienia tejże opłaty z doliczeniem 5% od zaległości rocznie; jeżli długu nie zwróci, ulega exmisyi. Żeby jednak z drugiéj strony zachęcić okupników do wytrwania, otworzono im lasy, zwijając całkiem administracyą leśną, i powierzając ją samymże gromadom. Owoż dobra ordynackie mają lasy obszerne, ale mało odbytu na drzewo, tak że dochód z lasu nie pokrywał kosztów administracyi. Było to więc po prostu poświęceniem przyszłości potrzebom obecnéj chwili. Odtąd ustała całkowicie pańszczyzna w dobrach ordynackich, i byt okupników znacznie się polepszył. Ci którzy nie byli wstanie opłat uiszczać przeszli na ogrodników, komorników i parobków, znajdując w podwyższającéj się cenie najmu, sposób do życia. Trudniéj nieco było z folwarcznymi dzierżawcami, gdyż klassy téj właściwie nie ma w naszym kraju; należało ją niejako stworzyć, dostarczając mniéj zamożnym inwentarza na wypłatę, stawiając budynki, i t. p. Wszakże i te trudności pokonane zostały.

Całemu urządzeniu robi Krzyżtopor cztery zarzuty: 1) że niema tam właściwéj rękojmi prawnéj, a podstawę całą stanowi dobra wiara administracyi, z czego idzie, że właściwe usamowolnienie włościan nie nastąpiło w ordynacyi; 2) że nie zawiązano w ordynacyi żadnych instytucyi gminnych; 3) że zwinięcie dominialnéj administracyi i zastąpienie jéj bezpańszczyznianą dzierżawą, jest stosowne w Anglii, posiadającéj wielkie kapitały, a nie u nas, gdzie brak pieniędzy, i gdzie rola mniejszy od wszelkiego innego przemysłu procent przynosi; 4) że

cała pomyślność urządzenia musiała być okupioną zmarnowaniem lasów. Wykładamy zdania autora, nie rozbieramy ich, boby nas to za daleko zaprowadziło.

Z kolei wylicza Krzyżtopor inne próby. I tak zaraz napotykamy wykaz zasad przyjętych przez pp. Jędrzeja i Jana Zamojskich, tudzież p. Alexandra Wielopolskiego. Ci panowie zaczęli od okupu, ale uważając go za przejście tylko, przystąpili następnie do właściwego oczynszowania. Wysokość czynszu ustanowili nie wedle prestacyi, ale według oszacowania wartości ziemi. Czynsz mają im włościanie solidarnie opłacać, i w tym celu ze spółkami gromadzkiemi zawierają się 25cioletnie kontrakty na piśmie. Co się tyczy wartości budynków, ta wedle taxy zostaje ratami spłacana. Wszelkie wspólności opału i paszy na gruntach dominialnych ustają. Prawo *dominii directi* pozostaje najwyraźniéj zastrzeżone. Folwarki wypuszczają się również w 25letnie bezpańszczyzniane dzierżawy, o ile się znajdą dzierżawcy zdatni i zamożni; w przeciwnym razie pozostają w administracyi dziedzica.

Zasady, SĄ SŁOWA AUTORA, przyjęte przez wyżéj wspomnionych obywateli, właściwsze są i stalsze od systematu zaprowadzonego w Ordynacyi; lecz zawsze zasady te tylko przez możniejszych właścicieli przeprowadzone być mogą. Są one pięknym wzorem, ale bez pomocy rządu, bez ogólnego prawa krajowego, nie sposób aby były powszechnie naśladowane.

Toż samo da się powiedzieć o oczynszowaniu dóbr Augusta Potockiego i Adama Potockiego. Pierwsze różni się od systematu Zamojskich tem, że jest wieczyste. Drugie prócz tego nie wprowadza zasady solidarności.... Tymczasem solidarność przy usamowolnieniu jest środkiem arcy-pożytecznym. W wyjątkowém położeniu, tam gdzie dziedzic, jak Adam Potocki, nie uważa się za stronę, ale za opiekuna, pominięcie solidarności, a więc traktowanie z pojedynczymi, może zawiązać stosunki patryarchalne; lecz wpływ dziedzica zbawienny wyjątkowo, jeśli on jest chrześciańsko i filantropicznie usposobiony, jako zasada powszechna byłby nieszczęśliwym, mógłby zniweczyć *de facto* usamowolnienie.

O oczynszowaniu w dobrach rządowych i w dobrach przez rząd rozdanych, taką znajdujemy wzmiankę:

Zasady przyjęte są te same jak w Prusiech, z tą głównie różnicą, że w Prusiech regulacya prowadzi do wyłącznéj własności, u nas zaś do wieczystéj dzierżawy. Zresztą separacya zupełna gruntów folwarcznych od włościańskich dokonana, te ostatnie o ile możności w jeden obręb zebrane, własność budynków bezpłatnie zapewniona, wręb do lasu całkiem zabroniony, a pastwiska gromadzkie wyznaczone; zresztą wspólności wszelkie zniesione. Taxa gruntów starannie ułożona, według średnich cen żyta w okolicy, i stosownie do téj taxy i kwalifikacyi gruntu, wysokość czynszu oznaczona, z zastrzeżeniem, że po latach 55 nastąpić ma rewizya czynszu i nowe oznaczenie na téj samej zasadzie.

Krzyżtopor robi tu dwie uwagi. Powiada on naprzód: pomiar zaprowadza mniéj więcéj równość w posiadaniu, to się wkrótce okaże rzeczą niedogodną: jedni będą mieli zanadto ziemi, w stosunku do swojéj siły gospodarczéj, inni za mało; a ponieważ przepisy regulacyjne nic nie mówią o sposobie nabywania, więc nabycia jakie się porobią, pozostaną po za obrębem prawa. Utrzymuje powtóre: przyznanie bezpłatne budynków mogło się zrobić w dobrach rządowych, gdzie każdy włościanin był przyzwyczajony do myślenia o nich; inaczéj rzecz się ma w majątkach prywatnych; tam chłop wiecznie się na dziedzica ogląda; darowizna gdyby była przymusową, byłaby krzywdą dla właściciela, a względem włościan wprowadziłaby niesprawiedliwie niejednostajne uposażenie.

Wspomina jeszcze Krzyżtopor o regulacyach w mniejszych majątkach, ale dodaje że te nie były liczne, i że większość Królestwa Kongresowego po dziś dzień urządzona jest systematem pańszczyznianym.

Paragraf dotyczący ukazu cesarskiego z r. 1846. przytaczamy prawie cały:

Dnia 26 Maja (7. Czerwca) 1846. r., wyszedł ukaz cesarski, dopełniony odezwą Namiestnika Królestwa i reskryptem Rady administracyjnéj z dnia $\frac{14}{26}$ Listopada tegoż roku, zmieniający stanowczo postać rzeczy.

Widzieliśmy poprzednio, że prawo dziedziców polskich do własności ziemi, sięga czasów przedhistorycznych; że statut Jana Albrechta tak zgubny w swych następstwach, jakkolwiek zakazem kupowania i nakazem sprzedaży, pozbawił plebejów prawa do posiadania własności ziemskich, wszakże tych własności im nie wydarł; że późniejsze rozporządzenia, ścieśniając wolność osobistą włościan, i poddając ich pod jurysdykcyą dominialną, były wprawdzie krzywdą polityczną — lecz, że konstytucya 3. Maja, a jeszcze więcéj kodex Na-

poleona tę krzywdę w zupełności wynagrodziły; — a co się tyczy krzywdy majątkowéj, że téj doznali tylko kmiecie przez dowolne podwyższanie prestacyi; co się zaś tyczy prawa kmieciów do wieczystego posiadania swych osad, że to dopiero przez dekret z roku 1807. ostatecznie naruszoném zostało; że więc odtąd, prawnie, włościanin był niejako czasowym dzierżawcą, ale ziemia jak przedtém była wyłączną własnością dziedzica. W tém stanowisku nastąpiły ważne zmiany w r. 1846. Kazano spisać w każdym majątku tabele prestacyjne, okazujące uposażenie i obowiązki każdego włościanina posiadającego więcéj nad 4 polskie morgi gruntu. Tabele te, w komissyi spraw wewnętrznych rozstrząśnięte zostały; niektóre obowiązki, tak nazwane *darmochy* czyli gwałty, takie które co do ilości swéj lub natury były nieoznaczone, zostały zakazane; inne zaś, zatwierdzone, stanowić odtąd mają stałe prawidło dla stron obu. Odtąd włościanin uiszczający obowiązki tabelą objęte, nie może być ruszony z gruntu; ani też wolno mu odebrać, lub bez jego zgodzenia się i zatwierdzenia władzy, odmieniać gruntów. Rola przez nieuiszczającego się gospodarza opuszczona, nie może być wcielona do folwarku, ale musi być oddana innemu.

Jeśli rozporządzenie to chcemy ocenić ze stanowiska ściśle prawnego, nie możemy zaprzeczyć że naruszyło prawa dziedziców za Ks. Warszawskiego ustalone; lecz jeśli sobie przypomnimy, że nieograniczoność własności pól włościańskich, ustawą roku 1807. dziedzicom przyznana, była właśnie naruszeniem praw niegdyś kmieciom służących, musimy przyznać, że ukaz r. 1846., był przeciwnie wynagrodzeniem krzywdy. Wprawdzie przez ciąg lat 30stu panowania kodexu, w wielu miejscowościach porobiono regulacye gruntów, zmiany prestacyi, rugowania; lecz prawo nie mogło się wdawać w te szczegóły. Musiało przyjąć *status quo* za podstawę.

Żałować należy, iż ogłoszenie ukazu nastąpiło w sposób mogący zasiać ziarno nieufności między stronami; iż redakcya hołdowała poniekąd językiem opiniom komunistycznym; iż nazwała *bezprawiem* wszelką zmianę w prestacyach lub uposażeniu, kiedy właśnie prawo najwyraźniéj dziedzica do podobnéj zmiany upoważniało. Dla tego ukaz w wielu miejscach obudził we włościanach zamiast wdzięczności, niezadowolnienie. Ulżenie ciężaru przez zniesienie daremszczyzn nie odpowiedziało nadziejom szumnemi wyrażeniami obudzonym. Obmowa dziedziców, wystawienie ich jako spoliatorów, w chwili kiedy pod tem samém hasłem Galicya krwią się zalewała, było błędem politycznym.

Pod względem ekonomicznym, zważywszy że tabele prestacyjne nie przewróciły istniejących stosunków, tylko je ustaliły; że zniesione daremszczyzny były wprost przeciwne duchowi naszego prawodawstwa; zważywszy daléj, iż rozporządzenia te nadały podstawę samoistności stosunkowi włościańskiemu; że więc włościanie daleko więcéj stosunkowo zyskali, niż dziedzice materyalnie stracili; nie można, pomimo abstrakcyjnego naruszenia własności, a nawet pomimo zwichniętéj redakcyi, zbyć się nadziei, iż te rozporządzenia przyniosą zbawienne dla kraju następstwa, jeśli nie zostaną zarazem pierwszym i ostatnim krokiem regulacyi, ale przeciwnie, jeśli będą początkiem oględnie, sprawiedliwie i stopniowo przeprowadzonego zupełnego usamowolnienia.

Oto obraz położenia. Przedstawiliśmy go w pewnéj całości, aby zwrócić uwagę czytelników na historyczne rozwinięcie okoliczności dzisiejszych. Krytykę, do któréj tu i owdzie powódby się znalazł, pominęliśmy, nie chcąc wszystkich spornych kwestyi podnosić.

W rozdziale IV. noszącym napis: *O środkach poprawy stosunków rolniczych w Królestwie Kongresowém*, autor określa na wstępie zadanie jakie jest do spełnienia w téj części Polski.

Praktyczne przeprowadzenie, MÓWI ON, równości w obliczu prawa, usamowolnienie pojedynczych, przy zawiązaniu silnych i żywotnych stosunków gminnych, a obok polepszenia bytu materyalnego, podniesienie moralne i umysłowe stanu włościańskiego, nakoniec podanie włościanom środków jakby bez wstrząśnień i krzywdy niczyjéj dojść mogli do własności; oto zadanie, które spełnić mamy!

Krzyżtopor staje tu niejako na stanowisku prawodawcy, i nie rozróżnia tego, co rząd tylko zrobić może, od tego, co pozostaje w zakresie działalności obywatelskiéj: przyznajemy wszelako, że dokładnie a zwięźle rzecz całą przedstawia.

Jak oczywista, oświadcza się on zaraz z początku przeciw bezwarunkowemu nadaniu własności.

Historya, POWIADA, świadczy za dzisiejszymi właścicielami, wykazując że nie żadna grabież, nie żadna konfiskata jest źródłem własności w Polsce, ale nadanie, nabycie lub dziedzictwo. Przyznanie bezobowiązkowéj własności byłoby u nas czystą spoliacyą. Możeby nam odpowiedziano zdaniem; *salus populi suprema lex esto.* Zobaczmy więc jakieby u nas były skutki z pominięcia sprawiedliwości.

Oto naprzód bankructwo dziedziców! Spojrzyjmy na księgi hipoteczne, zajrzyjmy do działu IV., a przekonamy się, iż większość dóbr do $\frac{3}{4}$ części swéj obecnéj wartości jest odłużoną, a nie mało jest takich co jeszcze większe dźwigają ciężary. Dość zatém zmniej-

szyć intraty, aby dochód nie wystarczył na podatki i procenta; dość zniżyć wartość dóbr, aby summa długów przewyższała tę wartość... Lecz ostatnie bankructwo dziedziców poprzedzoneby było upadkiem gospodarstwa; a więc z jednéj strony pociągnęłoby za sobą zmniejszenie produkcyi, a tém samém podrożenie ziemiopłodów, — z drugiéj, pogorszenie położenia wyrobniczéj ludności. Uwolnieni od pańszczyzny gospodarze, nie potrzebowaliby ani parobków, ani najmu. Dziedzice bankrutujący nie mieliby czem płacić oficyalistów, służących, robotników. Nastąpiłoby zniżenie ceny najmu, zmniejszenie posad służby, odjęcie środków zarobku, a przytém podrożenie chleba, czyli w innych wyrazach nędza, najuboższéj klassy.

Rozważmy teraz, czy w takich okolicznościach wierzyciele hipoteczni nie uczuliby gorżko skutków rozporządzenia? Czyż zaufanie i kredyt nie byłyby zachwiane, czyżby kapitały nie szukały gdzieindziéj bezpiecznéj lokacyi? A zatém projektowana poprawa odstraszyłaby od rolnictwa kapitał, to jest, jedyną jego dźwignią.

Kiedy znowu postrach ogarnie spółeczeństwo, każdy ogranicza swe wydatki. Czyż w takiéj chwili fabryki mogą mieć odbyt, czy handel może być czynnym? A to zmniejszenie wewnętrznéj konsumcyi i handlu czyż może nie zmniejszyć dochodów skarbu? W budżecie Królestwa Polskiego na rok 1846. dochody stałe wynoszą ogółowo rubli srebrnych 2,380,483; dochody zaś niestałe, czyli z ceł, konsumcyi i t p. 8,744,174. Upadek dziedziców zniżyłby pierwszą cyfrę; ale zmniejszenie ruchu i konsumcyi daleko dotkliwiéj zniżyłoby drugą.

Zachwianie bogactwa narodowego — oto następstwo niezawodne filantropiczno-socyalistowskiego rozboju. Wprawdzie gospodarze zostaliby obdarowani, lecz ich liczba nie więcéj wynosi jak czwartą część ogólnéj ludności. Jakoż ogólna ludność kraju dochodzi 4,857,250; rolniczą zaś oznaczają na 3,584,414. W téj ostatniéj liczbie jest gospodarzy pańszczyznianych 274,014. Jeżeli uważymy, że na obdarowaniu zyskałyby i rodziny gospodarzy, i przypuścimy w przecięciu liczbę głów w rodzinie na 4½, wtenczas wypadnie że liczba osób mogących zyskać na bezwarunkowém zniesieniu pańszczyzny wynosi 1,233,056, to jest, około ⅓ ludności rolniczéj, a ¼ ogólnéj... Mamyż powiedzieć komornikom: wy, dla tego żeście biedni, pozostaniecie nadal jeszcze biedniejszymi; mamyż powiedzieć gospodarzom, wy, że się lepiéj macie, dostaniecie darmo własność gruntów. Przy takiém postępowaniu, jedni wieleby stracili materyalnie, ale daleko więcéj straciliby wszyscy moralnie.

Pojmuję że ludzie chcący zrobić li zawichrzenie, doradzają środki podobne, — w nadziei, że rozhukane fale społeczne, muł i pianę na wierzch wyrzucając, ich też razem z głębi kałuży wyniosą; ale nie pojmuję tych, co nazywając ten środek rewolucyjnym, za sprężynę powstania i odrodzenia użyćby go chcieli, — kiedy właśnie środek ten odejmując część sił żywotnych, paraliżując resztę, wszelkie powstanie, wszelkie odrodzenie, lub niepodobném czyni lub na długo odracza. Jeszcze mniéj pojmuję tych, co chcieliby postępować podobną drogą systematycznie, kiedy nic nie nagli.

Zarówno więc zasady odwiecznéj sprawiedliwości jak względy ekonomiczne, każą nam stanowczo odrzucić myśl zniesienia pańszczyzny bez wynagrodzenia, jako niesłuszną, niemoralną, nieprodukcyjną, niepraktyczną.

Niektóre uwagi Krzyżtopora, mianowicie uwagi o komornikach, dadzą się przeciw wszelkiemu uwłaszczeniu obrócić. Cóż to pokazuje? Oto, że w téj wielkiéj kwestyi, zawsze się musi wychodzić, nie ze stanowiska bezwzględnych maxym, ale właśnie ze stanowiska rozstropnie zrozumianéj zasady: *salus populi suprema lex esto*. Życie narodów, tak jak życie indywiduów, to ciąg nieprzerwany ofiar i ustąpień. Ustąpienia powinny być zgodne z moralnością, sprawiedliwe, rozsądne, przyzwolone, niewydarte, — spokojnie, z umiarkowaniem, z rozumem obliczonéj potrzebie odpowiadające, zawsze przecie nie przestają opierać się na poświęceniu, raczéj jak na ścisłéj słuszności. Nierozróżniając dostatecznie między zasadami religii i moralności, w rzeczy których nie ma żadnych koncessyi, a względami politycznemi lub ekonomicznemi, które do czasu i okoliczności, byle bez obrazy pierwszych, naginać można, trudno się wśród zawikłań interesów ludzkich kierować. Co się tyczy uwłaszczenia włościan, my mniemamy, że całą tę trudność lepiéj rozbierać na polu konieczności dzisiejszéj, jak na polu oderwanych pojęć. Przez to, przecina się droga wszystkim wywodom czysto teoretycznym, które ją tylko gmatwają.

Musimy jeszcze zrobić przyznanie, że wielka część wskazanych przez Krzyżtopora następstw bezwarunkowego nadania własności, objawi się i w skutek uwłaszczenia za wynagrodzeniem. Produkcya zmniejszy się, chleb podrożeje, wielu służących straci miejsce, spadnie cena najmu, dziedzice ograniczą swoje wydatki, kapitaliści nie od razu ufności nabiorą. Prawda, ten stan rzeczy

nie potrwa długo, wróci pomyślność, wróci zaufanie, bogactwo krajowe stokroć wzrośnie; ależ powiedzą teoretycy, że te same błogie następstwa pokażą się, choć po dłuższym nieco przeciągu czasu, i w skutek radykalniejszego wywłaszczenia.

Co jest godne uwagi, to że los klassy wyrobniczéj niekoniecznie się przez uwłaszczenie pewnéj liczby włościan poprawia. Doświadczenie, jakkolwiek niedawne, prowincyi polskich pod berłem pruskiém, wielce w téj mierze zastanowić powinno.

Z temi zastrzeżeniami, wywód Krzyżtopora o prawdopodobnych następstwach bezobowiązkowego nadania własności, za bardzo uderzający podajemy.

Zastanawia się jeszcze Krzyżtopor, kto ma ponosić ciężar wynagrodzenia dziedziców, i dobrze odpowiada, że nie skarb publiczny, ale samiż usamowolnieni włościanie.

Daléj utrzymuje, że należy o ile można dobrowolnéj umowie regulacyą zostawić. Tu zachodzi trudność, jak oznaczyć granicę wdania się rządu. Krzyżtopor dobrze tłómaczy.

Dobrowolność nie może być bezwarunkową, nie może prowadzić do stosunków innych jak te, które sobie zamierzył prawodawca. A zatém prawo ogólne powinno wskazać cel urządzenia, prawidła postępowania spornego, zasady oszacowania, i dopiero dozwolić im aby same te zasady, te prawidła zastosowały, poddając wszelkie uprojektowane operacye pod zatwierdzenie władz na to ustanowionych.

Dwa są sposoby usamowolnienia włościan: 1) oczynszowanie: 2) uwłaszczenie.

Za oczynszowaniem przemawia u nas nieliczne, ale szanowne grono obywateli, kupiących się koło znakomitego charakterem, umysłem, i zasługami męża, który w *Rocznikach gospodarskich* korzyści dzierżawy wykładał. Za uwłaszczeniem, odzywa się ogromna większość ludzi praktycznych. Krzyżtopor zaleca uwłaszczenie, i my dzielemy jego przekonanie.

Przytoczymy krótkie wyjątki z paragrafów téj rzeczy poświęconych:

Powiedzieliśmy, SĄ SŁOWA NASZEGO AUTORA, że forma dzierżawna produkcyjniejsza przy wielkiéj uprawie i przy natłoku kapitałów od bezpośredniéj administracyi dziedzica, przeciwnie przy małéj uprawie, czyli w gospodarstwach włościańskich, mniéj jest korzystną od małéj własności. Uważmy jeszcze, że w Anglii osady odpowiednie naszym gospodarstwom włościańskim zniknęły zupełnie, a w ich miejsce powstały folwarki; że ci włościanie którzy nie mogli przyjść na dzierżawców, zostali parobkami lub wyrobnikami, że przemysł angielski zatrudniając ¾ całéj ludności, otworzył im liczne zarobki. My więc, gdybyśmy chcieli zupełnie naśladować Anglików, powinnibyśmy także się starać o zupełne zwinięcie osad włościańskich, których 10 do 20 razem skupionych, utworzyłoby dopiero folwark, na którym wartoby racyonalnie gospodarować. Lecz do gospodarowania po angielsku wystarczyłaby czwarta część rąk dziś do rolnictwa użytych. Cóż przeznaczamy reszcie?

Nie wielka angielska dzierżawa, ale mała, do irlandzkiéj zbliżona, byłaby u nas możliwą; lecz mała dzierżawa jest mniéj korzystną dla kraju od małéj własności — zwłaszcza gdzie braknie kapitałów... Gdyby mała dzierżawa tak znakomite przynosiła korzyści, to byłaby się upowszechniła w Polsce od wprowadzenia kodexu, gdyż nic temu nie przeszkadzało — krom dwóch trudności zarówno istniejących dzisiaj i będących istnieć jutro; temi są; 1) trudność dla włościanina w zapłaceniu czynszu, 2) niepodobieństwo dla dziedzica zaprowadzenia bezpańszczyznianego gospodarstwa. Te to dwie przyczyny sprawiły iż dotąd tak mało jest majątków oczynszowanych w Królestwie; te same przyczyny i w przyszłości zgubny swój wpływ wywierać będą, jeśli cała regulacya ograniczy się na zamienieniu robocizny na pieniądze, z postawieniem formy dzierżawnéj jako zasady urządzenia.

Trzeba koniecznie silnej sprężyny, aby włościanina pobudzić do wysileń; trzeba, z drugiéj strony, podać dziedzicom fundusz do czynienia nakładów niezbędnych. Tą sprężyną dla włościanina może być tylko urok własności, tym funduszem dla dziedzica może być tylko zrealizowana od razu wartość kapitalna odstąpionéj włościanom ziemi.

Namiętność do własności ziemskiéj istotna w narodzie naszym; jest to siła, z któréj możemy korzystać. Dzierżawa bardzo mało budzi sympatyi. Jeśli to przesąd, toć uprzedzeń i przesądów ludów nie należy lekceważyć.

Krzyżtopor wykłada następnie, że fundusz do zapłacenia dziedziców znajdą włościanie na drodze kredytu, biorąc ziemię włościańską, tudzież dotychczasowe prestacye, za podstawę finansowego działania.

Zasada jest oczywista, i dziś w Prusiech widzimy jéj zastosowanie, w zaprowadzeniu banków rentowych.

Banki rentowe mają przeciwników, wiele osób uważa że ustawa która je zaprowadziła, naruszyła na nowo prawo własności. My inaczéj sądzimy. Mniemamy naprzód, że spłacenie czynszów wypływa koniecznie z przyjętych w chwili regulacyi prawideł zasadniczych; powtóre, że w dzisiejszych czasach usunięcie pieniężnéj zależności, tam gdzie już nie istniała zależność osobista, wyraźne za sobą ciągnie korzyści; w końcu, że kapitał, jaki się właścicielom wręce dostanie, jeśli dobrze użyty (w ogromnéj liczbie razy posłuży on na zniesienie części długów) we wielkiéj mierze za ubytek w dochodach nagradza. Już pierwsza regulacya naruszyła oderwane pojęcie własności, tymczasem pokazała się rzeczą konieczną i zbawienną. Przyjąwszy ją za taką, nie ma co spierać się z jéj następstwami. Być może że kapitał, odpowiadać mający opłacanym czynszom, za nisko naznaczono, wszelako cała operacya na rozsądnych i praktycznych opiera się podstawach.

Krzyżtopor coś podobnego do banków rentowych dla Królestwa zaleca. Biorąc za zasadę, że dziedzic może poprzestać na połowie wartości obliczonéj według cyfry pośredniéj, między cyfrą wykazującą roczny procent od wartości uposażenia, a cyfrą wykazującą wartość roczną prestacyi (rząd pruski także tylko połowę wartości gruntu włościańskiego dziedzicom przyznał), radzi tę wartość zmobilizować, to jest puścić w obieg papiery procentowe, i amortyzujące się na wzór listów zastawnych.

Zamiana prestacyi na czynsz pieniężny, POWIADA, puszczenie w kurs papierów procentowych, do wysokości połowy czynszów skapitalizowanych, użycie tego kapitału na wynagrodzenie dziedziców, obrócenie przytém całkowitego czynszu na amortyzowanie i procentowanie pożyczki, a tym sposobem podanie włościanom środka nabycia swéj roli na własność, i postawienie dziedziców w możności zaprowadzenia gospodarstwa bezpańszczyznianego, oto w kilku wyrazach droga, która nas do celu doprowadzić może.

Zarzut, że długi hipoteczne opierają się na całéj przestrzeni ziemi, że zatém nie można części téj ziemi, o ile obciążona, alienować; zbija autor uwagą, jako należy brać za czyn dokonany, rozporządzenia ukazu z r. 1846., rozporządzenia ograniczające prawa dziedzica a zatém i prawa wierzycieli hipotecznych.

Trudność odnosząca się do praw *dominii directi*, uprząta z należytą rozwagą.

Prawa *dominii directi*, są to prawa propinacyi, polowania, rybołostwa, kopalni. Owóż co się tyczy propinacyi, chce autor, żeby monopol sprzedaży trunków znieść bez wynagrodzenia, zostawiając jednak przy dziedzicach przywiléj wyłącznego warzenia, palenia i szynkowania. Dotąd zgoda. Ale zarazem przypuszcza, że rząd mógłby bez niesprawiedliwości zagarnąć przywiléj propinacyi, byleby tylko w takim przypadku wynagrodzenie obmyślił. Nie rozumiemy na co się zdało robić podobne przypuszczenie, zwłaszcza w dzisiejszém położeniu rzeczy w Królestwie. Rząd łatwoby się dał namówić do przyjęcia wskazanego sobie posłannictwa, zaprowadzenia równości w obliczu prawa, i zaprowadziłby równość ucisku policyjnego. W przyszłości mogą się okoliczności inaczéj ułożyć, ale teraz, i długo jeszcze, tylko więksi właściciele ziemscy dają i będą dawać jakie takie rękojmie umiarkowanych i opiekuńczych dla włościan w téj kwestyi usposobień. O polowaniu Krzyżtopor to samo prawie wyrzeka, co niedawno ogłoszona ustawa pruska: znosi przywiléj bez wynagrodzenia gminie, przyznając wolność wydzierżawienia myśliwstwa na gruntach włościańskich. W rzeczy rybołówstwa przyznaje wynagrodzenie, w razie jeśli dziedzic intratę z téj gałęzi ciągnął albo koszta jakie ponosił. Nakoniec kopalni dotykając, rozstrzyga, że prawo wyłącznego dobywania na sprzedaż kruszczów, obecnie odkrytych, winno pozostać i nadal własnością dziedzica.

Przechodzimy teraz do ważnego przedmiotu, między najgłówniejsze przez Krzyżtopora postawionego, do kwestyi urządzenia stosunków gminnych.

Podstawą, MÓWI ON, wszelkich środków podźwignienia stanu włościańskiego, przedwstępną czynnością wszelkiéj regulacyi, jest urządzenie stosunkow gminnych.

Prawdziwe powiedzenie; wszystko tu jednak zależy od tego, jak i do jakiéj granicy zasadę w życie wprowadzić.

O gminie jako takiéj, o gminie słowiańskiéj, o instytucyach gminnych, wiele piszą i rozprawiają. U niektórych ogólnik *gmina*, zastąpił dawniéj używany ogólnik *lud*. W gminie, powiadają, mamy szukać ratunku, na gminie oprzeć całe przekształcenie społeczne, urządzeniom gminnym powierzyć przyszłość Słowiańszczyzny. Są nawet, co łącząc socializm Zachodu, z mniéj lub więcéj ściśle oznaczonemi śladami lub zabytkami wspólności w gminie słowiańskiéj, wpadają w marzenia komunistyczno-słowiańskie, lub do niebezpiecznych ustąpień pochop biorą. Przypominamy, żeśmy z takiemi w r. 1848. rozprawiać się musieli, a i teraz jeszcze się znajdą. Czas przecież, całą rzecz na rzeczywiste pole sprowadzić i w rozsądnych zamknąć granicach.

Co do nas, jesteśmy przeciwnikami francuzkiego ześrodkowania politycznego, więcéj powiemy, we wszystkich instytucyach ludzkich, uznajemy jak najmocniéj potrzebę szczebli, i konieczność swobodnych na każdym szczeblu poruszeń. W harmonii świata nie widzimy, żeby się można obejść bez rodziny i ojczyzny; w harmonii państwa, uważamy że brak dobrych instytucyi gminnych, i dobrych instytucyi prowincyalnych, należyte rozwinięcie tamuje. Daléj idąc, przyznajemy, że gmina w Słowiańszczyznie miała i ma wysokie znaczenie, i że w ogóle do Słowian najmniéj centralizacyjny systemat przystaje. Ale tu koniec. Że nas ślepe uniesienie dla oderwanéj teoryi nie porywa, twierdzimy, raz, jako w każdém państwie istnieją pewne warunki wzajemnéj między instytucyami zależności, powtóre, jako historya nie zwraca się na przebyte szlaki.

Chcieć dzisiaj na stałym lądzie Europy, mniéj lub więcéj zupełnéj decentralizacyi, jest to samo, co się jedności narodowéj na korzyść jakiéjś rasowéj powszechności wyrzekać, co przystawać na niemoc polityczną w obec państw silnie uorganizowanych. Chcieć znowu wskrzeszać dawne kształty społeczne, jest to zadawać gwałt rzeczywistości, gwałt próżny, bezowocny, rzeczywistość albowiem rychło się o swoje prawa dopomina.

Krzyżtopor, któremu zarzuciliśmy na wstępie, że raczéj buduje teoryę doskonałego podług siebie stanu rzeczy, niźli szuka najpraktyczniejszego ułożenia istniejących stosunków, w kwestyi decentralizacyi trzyma się jeszcze rozsądnéj drogi środkowéj. Uderzyło nas, że wyżéj od gmin nic już oprócz administracyi i sądownictwa nie postawił; przyznajemy przecież, że węzeł między gminą a rządem oznacza wyraźnie. Inaczéj ma się rzecz ze słowiańskiemi zachceniami. Zachcenia te, doprowadzają roztropnego i umiarkowanego zkądinąd pisarza, aż do zasady wspólnego posiadania. Na początku swojéj książki wyłożył, że nie może być dobréj pracy i postępu, bez osobistéj własności, sam widzi, że wspólność nie istnieje ani w urządzeniach, ani w instynktach kraju, ma zresztą przed sobą przykład regulacyi w państwie pruskiém, a jednak w miejsce prostego i zgodnego z prawem cywilném uwłaszczenia, nasuwa myśl zbiorowych nadań gminom. I na jakiéjż podstawie opiera to odstępstwo od zasad własnych, ten krok wyraźnie wsteczny? Oto, na przykładzie Serbów i Kroatów, na przykładzie chłopów skarbowych w Rossyi. Pozwoli sobie Krzyżtopor powiedzieć, że te przykłady mało znaczą. Naprzód stan rzeczy, położenie i wymagania, są odmienne u nas, powtóre, instytucye tameczne nie są nam dostatecznie znajome. Trzebaby bliższego i umyślnego rozpatrzenia się na miejscu, żeby się przekonać, czy to, co nam podróżni, choć najpoważniejsi, pięknie wystawiają, zgadza się z życzeniami i potrzebami ludności, odpowiada wymaganiom dobréj uprawy. Jest na świecie wspólność wzniosła i godziwa, wspólność dobrowolna i oświecona: wspólność to chrześciańska, w klasztorach urzeczywistnienie mająca, do któréj się na drodze żywéj wiary, a nie na drodze ekonomii politycznéj, albo prawodawstwa dochodzi. Wszelka inna wspólność mało warta. W historyi świeckiéj, jeśli się gdzie zbiorowe posiadanie napotyka, to albo u plemion jeszcze w narody nie zawiązanych, albo w początkach istnienia narodów, albo wreszcie pod silnym des-

potyzmem, tamującym naturalny bieg zdarzeń; zawsze też ono piętno przejścia i tymczasowości nosi. Owóż nam nie powinno chodzić o zaprowadzenie, choćby tylko na lat kilkadziesiąt, niepewnego i chwiejącego się porządku rzeczy, ale o stanowcze rozwiązanie spółecznéj trudności.

U Krzyżtopora, wspólność z solidarności się niejako wyradza. Żąda on, żeby przedewszystkiém zawiązać współki solidarne gromadzkie, raz, dla dania silniejszéj podstawy kredytowi, powtóre, dla zapewnienia opieki małoletnim, jak ich nazywa, włościanom. Nam się zdaje, że to zbytnia pieczołowitość, zwłaszcza, jeśli mówimy o dzisiejszéj praktyce, a nie o idealnéj teoryi. Operacya finansowa, połączona z uwłaszczeniem, nie obejdzie się bez rękojmi rządu, która to rękojmia, już dostateczną całéj rzeczy da podstawę. Co się zaś tyczy opieki nad włościanami, w pierwszych latach ich samodzielności, myślimy, że tę opiekę tylko obyczaje zapewnić mogą. Jakiekolwiekbyśmy zresztą zaprowadzili stopniowanie, nie obejdzie się bez ciężkiéj proby, i bądź co bądź nie pierwéj się wszystko ułoży do równowagi, aż włościanie jakiegoś wyobrażenia o odpowiedzialności nabiorą. Zwracając się do ogólnéj zasady solidarności, powiemy, iż nam się zdaje, że ją dotąd źle u nas rozumiano. Solidarność zaprowadzano z góry, kiedy tymczasem jest to pojęcie lub fakt, opierające się na warunku wolnéj a oświeconéj woli. Solidarność nakazana, rychło się w przymus zamienia, prędko się też rozprzęga, skoro swobodniejsze nastaną okoliczności.

Tu niech nam wolno będzie w kilku wyrazach oznaczyć różnicę, jaka między nami a Krzyżtoporem w kwestyi uwłaszczenia zachodzi. Krzyżtopor stawia obok siebie dwie ostateczne zasady: wspólności przy długoletnich dzierżawach, albo bezwzględną rozrządzalność majątkiem; my pośrednią obierając drogę, chcemy od razu indywidualnéj własności, z pewnemi atoli dobrze określonemi zastrzeżeniami prawnemi, któreby ją od zbytniego rozdrobnienia ochroniły.

Wracając do kwestyi urządzeń gminnych, powiemy jeszcze, że je niepotrzebnie autor z demokratycznemi pojęciami pomieszał. Sam powiada i słusznie: »Organizacya gminna nie zależy od stosunków politycznych, od formy rządu, przy »każdéj da się zaprowadzić,« a jednak nieco pierwéj nasuwa, że: »urządzenie »gminne jest w duchu demokratycznéj organizacyi kraju;« kiedy indziéj nawet, łącząc z sobą dwie odrębne rzeczy, i nie pytając o fakta na poparcie swego twierdzenia, utrzymuje: »instytucye gminne, i równość demokratyczna, są główną »przeciw proletaryatowi zasłoną.« Takie czcze frazesa, nie przystały zdolnemu a poważnemu pisarzowi. Zresztą od proletaryatu, nie równość demokratyczna i gminne urządzenia, ale miłość chrześciańska, szeroko w społeczeństwie praktykowana, jedynie uratować może.

Krzyżtopor podaje całkowity projekt urządzenia stosunków gminnych. Dziwujemy się, że się podjął niewdzięcznéj pracy przeprowadzenia swojéj myśli aż do drobnych szczegółów, kiedy postawienie jasne a porządne głównych zasad wystarczało, i żałujemy, że całéj téj zabawki umysłowéj mierniejszym pisarzom, tak skorym u nas do układania praw, nie zostawił. Cóżkolwiekbądź, główne zarysy systematu przywiedziemy.

Krzyżtopor dwa szczeble w organizacyi gminnéj naznacza: *gromadę* i *gminę*. Gromada, zbiór włościan jednéjże wsi, a przynajmniéj blisko siebie osiadłych, stanowi najniższy obręb administracyjny włościański, i liczy najmniéj 30 chat. Zbiór gromadzki składający się ze wszystkich gospodarzy i wszystkich mieszkańców, którzy 30 lat skończyli, wybiera sołtysa, kasyera i radnych na lat trzy, naradza się także nad wspólnemi potrzebami. Postanowienia zboru idą pod zatwierdzenie wójta gminy. Administratorem gromady jest sołtys, który zarazem przewodniczy w radzie gromadzkiéj, gdzie zasiadają kasyer i radni. Sołtys zostaje pod bezpośrednią władzą wójta gminy. Jest płatny równie jak i kasyer z funduszów gromadzkich, (autor nie chce, żeby sołtysowi dawać wynagrodzenie w roli, powodów przecież jakie podaje, za dobre nie uznajemy; sołtys tak wiele do roboty mieć nie powinien, zresztą, cóż mu przeszkadza trzymać parobka?) Dominia,

to jest folwarki, plebanie, pojedyncze zakłady fabryczne po wsiach, stanowią same w sobie oddzielne całości, pod władzą familijną właściciela, niby słowiańskiego naczelnika rodu. Gminę, obręb administracyjny wyższego rzędu, składają: kilka lub kilkanaście gromad, dominium jedno lub kilka, pewna liczba pojedynczych pomniejszych właścicieli, o ile wszyscy tworzą jakąś całość terytoryalną. Obręby gminne urządzają się wedle obrębów parafialnych. Gmina liczy od 1000 do 5000 mieszkańców. Do ogólnego zgromadzenia gminnego należą delegowani gromad i właściciele folwarków, lub mniejszych posiadłości, osobiście albo przez swoich delegowanych. Przy głosowaniu, każdy z nich ma liczbę głosów odpowiednią liczbie osób, za którą się podatek gminny opłaca (tu Krzyżtopor szczególny środek finansowy nasuwa: radzi, żeby majętniejsi mogli nabywać większą ilość głosów, składając większy podatek). Zgromadzenie wybiera radę gminną, słucha rachunków, i rozpatruje interesa gminy. Rada gminna, składa się z prezesa i ławników. Ona wybiera wójta gminy i kassyera, kontroluje ich, rozpisuje składki, kontroluje zarządy gromadzkie, roztrząsa apelacye i skargi, robi przedstawienia z urzędu, apelacye do wyższych władz przeciw postanowieniom naczelnika powiatu zanosi. Wybór wójta gminy potrzebuje zatwierdzenia naczelnika powiatu. Wójt gminy zostaje pod bezpośrednią władzą naczelnika powiatu, jest najniższą instancyą sądową sporną, koresponduje z sądem powiatowym. Naczelnik powiatu ma prawo każdego czasu zawiesić go w urzędzie. Fundusze gminne powstają ze składek i opłat rozpisanych, z kar policyjnych, z darów i źródeł nadzwyczajnych.

Moglibyśmy Krzyżtoporowi z doświadczenia tutejszych prowincyi powiedzieć, że niema nic trudniejszego jak zebrać jakiś fundusz gminny, nawet od włościan, którzy już od lat wielu są właścicielami; aleź trudność tę sam on uznaje w wielkiéj mierze, kiedy wnosi, żeby tylko z początku uciec się do składek, a następnie część mającego się opłacać przez włościan czynszu, na fundusz gromadzki i gminny obrócić. Oczywiście, że w takim razie po zupełném usamowolnieniu, znowuby składki nastały.

Przyjrzyjmy sią teraz bliżéj regulacyi, o jakiéj mówi Krzyżtopor:

Sama, SĄ JEGO SŁOWA, projektowana przez nas regulacya, która ile możności winna być wypadkiem dobrowolnéj obu stron umowy, zależy naprzód na zupełném odłączeniu przestrzeni włościańskiéj od dominialnéj; daléj, na wyrażeniu w pieniądzach wysokości obowiązków włościańskich; na przerobieniu ksiąg hipotecznych, tak, aby jasno i dokładnie obejmowały nowo utworzone stosunki; a nakoniec, na spłaceniu należytości dominialnéj, za pomocą udzielonéj włościanom pożyczki.

Krzyżtopor bardzo sprawiedliwie zaczyna od separacyi ze zniesieniem wszelkiéj służebności. Bez tego niepodobnaby było ulepszyć kultury.

Żeby wynaleźć czynsz, jaki włościanie opłacać mają, słusznie wychodzi z pojęcia wzajemnéj zależności ziemi i pracy, starając się, jakeśmy to już powiedzieli, otrzymać cyfrę pośrednią między cyfrą wykazującą roczny procent od wartości uposażenia włościańskiego, a cyfrą oznaczającą wartość roczną prestacyi, dotychczas uiszczanych.

Aby wykryć roczny procent od uposażenia, bierze pod szacunek: 1) wartość zabudowań, 2) dochód roczny z ziemi (tu przyjmuje główne zasady przez rząd królestwa dla dóbr donacyjnych ogłoszone), 3) wartość inwentarza żywego i martwego, 4) cenę zasiewów dworskich, 5) wartość roczną opału przez dwór dostarczanego, 6) wartość roczną pastwiska na gruntach dominialnych. Od ogólnéj summy, która w ten sposób powstała, odtrąca jeszcze: a) $\frac{1}{6}$ część na nieprzewidziane wypadki, b) podatki włościańskie, gruntowe i opłaty kościelne. Reszta stanowi roczną wartość uposażenia.

Aby wykryć wartość roczną prestacyi, obrachowywa na pieniądze: 1) czynsze dotychczas opłacane, 2) osepy i daniny, 3) robociznę pieszą i ciągłą, stałą tygodniową i dodatkową, wszystko tak jak jest tabelami prestacyjnemi w skutek rozporządzeń rządowych z r. 1846 ułożonemi, oszacowane. Summa trzech cyfer daje roczną wartość prestacyi.

Gdyby wyrachowanie było ściśle dokładne, MÓWI KRZYŻTOPOR, i gdyby stosunki były zupełnie jednostajne, dwie te summy powinnyby się równać między sobą. Lecz to jest niepodobném. Żeby przeto otrzymać wypadek sprawiedliwy, należy wziąść średnicę między niemi.

Siedm starannie ułożonych tablic, czyli przykładów obrachunku, wyświęca należycie odmienne stosunki i okoliczności, jakie napotkać można. Zapewne i w tych tablicach i w poprzednim wywodzie szczegóły potrzebują sprawdzenia, wszelako cały systemat jest racyonalny, i do stanu rzeczy przez ukaz z r. 1846 stworzonego, dobrze przystaje.

Powiedzieliśmy już, że Krzyżtopor chce część czynszu włościańskiego na fundusz gromadzki obrócić. Swoje w téj mierze zdania, tak on usprawiedliwia:

Czynsz wynaleziony, jakkolwiek sprawiedliwy względem włościanina, względem dziedzica będzie za wysoki. Ma on zastąpić dotychczasowe prestacye, lecz prestacye te, inną wartość dla włościanina, inną dla dziedzica posiadają. Względem pierwszego, szacujemy je według czasu zajętego, względem drugiego, szacowaćby je należało według wykonanéj roboty. Słusznie zatém, aby część tego czynszu obróconą była na użytek publiczny.

W dobrach rządowych czynsz obliczony podług zasad rządowych, daleko jest niższy od tego jakiby wypadł według prawideł powyżéj wyłożonych, gdyż: 1) rząd oddaje *gratis* zabudowania; 2) nie liczy zasiewów i inwentarzy; 3) bierze niższą taxę prestacyi (w ogóle taxa prestacyi tylko w takim razie wpływa tam na wysokość czynszu, jeżeli czynsz według niéj obliczony, wypadłby niższy od czynszu obliczonego z roli).

Czynsz przez nas wynaleziony, byłby stosowny przy zachowaniu stosunków opieki dominialnéj, dla tego też przy regulacyi, czyli przy zmianie prestacyi i zarazem usunięciu téj opieki, nie pójdzie całkowicie na wynagrodzenie dziedzica, ale znaczna część jego obrócona będzie na instytucye gminne, czyli na zastąpienie opieki.

Przeciw uwagom Krzyżtopora, w rzeczy zredukowania czynszu przypadającego dziedzicowi, trudno co powiedzieć. Inaczéj się ma z przeznaczeniem dla przewyżki wynalezioném. O ile znamy włościan naszych, nie zdaje nam się, żeby zdołali oni dobrze użyć funduszu wspólnego. Swój własny interes każdy z nich łatwo rozumie; na zbiorowy interes dotąd są zupełnie obojętni. Długiegoby trzeba przygotowania, długiéj praktyki, nimby się rzeczy w téj mierze zmieniły. Czyż wówczas nie lepiéj summę dziedzicowi przynależną, od razu wedle jakiéjś stałéj zasady zmniejszając, krótszy przeciąg czasu do umorzenia czynszu naznaczyć?

Wiemy, że Krzyżtopor zaprowadzenie spółek gromadzkich zaleca. Owoż, spółkę gromadzką urządza jak następuje:

Zasadą fundamentalną będzie, że dotychczasowe atrybucye dziedzica na przeciąg amortyzacyi, przechodzą na gromadę; a więc ziemia staje się natenczas wspólną własnością wszystkich do gromady wpisanych. — Dzisiejsi gospodarze uważają się jako wieczyści dzierżawcy, mający prawo porzucić gospodarstwo, ale których wyrzucić z niego nie można, tylko za nieuiszczenie prestacyi. — Czynsz z budynków i ogrodu, oddzielnie będzie liczony od czynszu z pola. W razie nieuiszczenia prestacyi, odbiorą się naprzód gospodarzowi grunta, całkowite lub w części, i przejdą na chałupnika lub mniejszego gospodarza. — Chałupnik nieuiszczający czynszu i niszczący budynki, może być z nich exmitowany. — Wszelkie alienacye, sprzedaże, zamiany, sukcesye, są pod kontrolą władz gromadzkich, od nich również zależy osadzenie nowego gospodarza na pustce. — Z końcem amortyzacyi następuje niejako rozwiązanie spółki i podział; ci gospodarze, którzy od początku dzierżą osady, lub takowe kupnem, zamianą lub spadkiem nabyli, stają się wyłącznie właścicielami; ścieśnienia rozrządzalności ziemią, jakie okażą się potrzebne, później prawo oznaczy *(ta nawiasowa uwaga wcale nie wypływa z zasad położonych w dziele)*. Grunta zaś, które w skutku opuszczenia lub exmisyi stały się komunalnemi, i nadal takiemi pozostają.

Pomijamy paragrafy o uregulowaniu ksiąg hipotecznych, a przechodzimy do ustępu poświęconego instytucyi kredytowéj udzielającéj pożyczkę.

Krzyżtopor nie chce, aby pożyczka włościańska była połączona z pożyczką Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ani poddana pod władzę tegoż Towarzystwa; mniema, że utworzenie Towarzystwa kredytowego włościańskiego, byłoby niepraktyczném, i uważa, że skarb nie jest w położeniu udzielenia bezpośrednio pożyczki; dopiero tak ograniczywszy pole praktyczne, wnosi, żeby Bank polski wziął na siebie całą operacyą.

Udzielenie pożyczki nastąpiłoby wedle niego przez puszczenie w obieg obligów procentowych i mających się amortyzować, na wzór listów zastawnych, ubezpieczonych na całkowitych czynszach, wszystkich gromad solidarnie odpowiedzialnych.

Bank pożyczyłby spółkom gromadzkim kapitał w wysokości $\frac{50}{100}$ czynszu skapitalizowanego ($\frac{6}{10}$ czynszu szłoby na procent bieżący i amortyzacyą, a $\frac{4}{10}$ zostawałoby jako fundusz gromadzki, mający zastąpić opiekę dominialną, także jako rezerwa z razie niewypłacalności pojedynczych gromad.)

Amortyzacya nastąpiłaby w 26 lat.

Mówiąc o sposobie udzielenia pożyczki, Krzyżtopor wyraźnie zastrzega, że część pożyczki, niezbędna na zaprowadzenie gospodarstwa, ma być bez względu na długi hipoteczne oddana do rąk właścicielowi.

Że zaś wychodzi ze zdania, jako prawo powinno zachęcać do dobrowolnéj umowy, zostawiając stronom naprzód dwa lata do namysłu, powtóre naznaczając trzy lata więcéj, razem pięć lat, do chwili w któréj regulacya będzie przeprowadzona z urzędu, przeto daje radę, aby przyznanie pożyczek, które nie nastąpiłoby jednocześnie, odbywało się w pewnych okresach, naprzykład co lat pięć.

Władze, które wedle Krzyżtopora zajęłyby się zaprowadzeniem regulacyi, dzielą się na dwie instancye. Pierwsza instancya, którą nazywa *Komisyą regulacyjną powiatową*, ma na celu uprojektowanie ragulacyi na miejscu i składać się winna z ludzi specyalnych, miejscowych. Druga, którą mieni *Komitetem rozpoznawczym gubernialnym*, ma na celu roztrząśnienie projektu ze stanowiska ogólnego, i składać się winna z rolników, prawników, ekonomistów i finansistów.

Oto cały systemat, o ile zdołaliśmy dokładnie wyłożony. Wśród sprzecznych niekiedy, często wahających się, zdań autora, staraliśmy się wybrać to, co nam się zdało najbardziéj odpowiadającém położonym przez niego zasadom. Jak widzimy, niema tu nic nowego. Wszystkie główne zarysy podał już był autor *Kwestyi włościańskiéj w Polsce*, który nawet solidarność, choć w praktyczniejszych granicach, zalecił; Krzyżtopor podstawił tylko fundament naukowy i historyczny, tudzież myśli swego poprzednika uzupełnił, i w szczegółach przeprowadził. To, co swojego dodał, jest mniéj szczęśliwe, i nieraz czytając owe wywody o gminach i o wspólności, prowadzące do wniosków bez zastosowania, bez ścisłości praktycznéj, dziwiliśmy jak mógł nachylić się do takich mrzonek wytrawny umysł, co tak zdrowo naprzykład potrzebę czasu do zaprowadzenia zmian organicznych, albo uszanowanie praw nabytych rozumie.

Jeszcze słów kilka o ostatnim rozdziale:

Autor skupia tam w krótką treść wszystkie przez siebie wyłożone zasady, z troskliwością, tudzież z bystrością dopełniając lub objaśniając myśl swoją, i zawczasu odpierając zarzuty, jakie dzieło spotkać mogą.

Jest to znakomite zakończenie znakomitéj pracy, tylko jak w całym ciągu, tak i tu wielkiéj jasności i ścisłości wyrażeń, nie wszędzie ścisłość pojęć odpowiada.

Cóż naprzykład znaczy następujące rozumowanie:

Słyszę ztąd, jak nie jeden zbyt trwożliwy konserwatysta rzuci klątwę na projekt, że traci komunizmem, socyalizmem! Nie lękam się tego zarzutu. W każdéj myśli, która świat owładnie, w każdym błędzie, który głowy pobałamuci, musi być strona prawdziwa, inaczéj nie mógłby się upowszechnić. I w szalonych teoryach, które społecznością zatrzęsły, jest zaród prawdy, i to je właśnie niebezpiecznemi czyni. Wyśledzić ten zaród, oczyścić go z kłamstwa, które go owija, jak pszczoła z łona roślin zatrutych czerpać miód pożywny, to jest obowiązkiem prawodawcy.

Eklektyzm, który autora aż do pochwały urządzeń cesarza Józefa, i do zatwierdzenia zaboru dóbr duchownych we Francyi doprowadził, jak najswobodniéj w tym się ustępie objawia. Więc wszędzie na świecie jest coś prawdy, i tylko trzeba umieć ją wyszukać! My przenosimy dla ludzi prostsze i pewniejsze drogi. Nauka Chrystusa nakazuje chronić się złego, a nie śród złego wybierać, uczy pełnić sprawiedliwość, a nie oglądać się za wymagalnościami szalonych teoryi.

Jeśli gdzie złe wyobrażenia w potęgę się wzmogły, Chrześcianin uznaje w nich dopuszczenie boże i chłostę za grzechy; nigdy za konieczność je nie bierze. To znak, że się trzeba poprawić, nie hasło kompromisów. Prawodawca podający ucho na hałasy i wymagania, może na chwilę burzę odwrócić, ale społeczeństwa, ale narodu nie zbawi. Społeczeństwa i narody ratują ludzie prawi raczéj, jak ludzie zręczni.

Jeśli regulacya nastąpi, twierdzi Krzyżtopor, rozliczne wypłyną z niéj korzyści, a mianowicie: położenie tamy socializmowi, podźwignienie wiejskiéj ludności, podwyższenie produkcyi i uporządkowanie kraju. Pomijając socyalizm, którego się nie bardzo w Polsce obawiamy, zgadzamy się z nim całkowicie. Autor obiecuje, że w kilka lat po regulacyi, wszystko inną postać przybierze, i zawczasu cieszy się widokiem pięknych zabudowań dworskich, porządnych chat włościańskich, pól dobrze uprawnych, dróg i mostów doskonale utrzymanych. Jest w tém wiele illuzyi, boć regulacya nie może mieć przymiotów laski czarnoksięzkiéj; że jednak piękne nadzieje mogą się w części urzeczywistnić, to chętnie przyznajemy.

Sam Krzyżtopor, z rozsądkiem który go zazwyczaj cechuje, ogranicza swoje horyzonty.

Daleką, powiada, odemnie myśl jakiegoś zbawczego, jedynego środka, dalekiém twierdzenie, iżby regulacya sama przez się, już miała wszelkie złe w społeczeństwie uleczyć. To tylko raz jeszcze powtórzę, iż w kraju rolniczym, pod tym właśnie względem fatalnie urządzonym, i w epoce, w któréj socyalizm zagraża cywilizacyi, uporządkowanie tych stosunków jest główném, jest żywotném pytaniem.

Tu dodaje:

Wszakże żeby to uporządkowanie mogło być zbawienném, musi być w harmonii z innemi instytucyami społecznemi.

Krzyżtopor żąda naprzód naprawy prawodawstwa.

Kraj pragnący cywilizacyi, są jego słowa, nie może skuteczniejszego chwycić się środka, jak przyjęcie zasad prawodawstwa francuzkiego; wszelako przyjęcie bez żadnéj modyfikacyi i względu na własne położenie, szczegółowych przepisów francuzkich, jest jakby ustrojeniem się w suknią na kogo innego uszytą. Ten błąd u nas popełniono. Widzieliśmy, że skutkiem tego, stosunki pańszczyzniane, rządzące trzy czwarte części naszéj ludności, pozostały całkiem po za obrębem prawa. Jeśli teraz wspomnimy, jak możność przeprowadzenia najdrobniejszéj sprawy przez wszystkie instancye sądownictwa, czyni właśnie dla ubogich uzyskanie sprawiedliwości niepodobném; jak przewłoki i trudności przy subhastacyach zabijają kredyt hipoteczny; jak jednoroczna preskrypcya co do possessyi, przy naszych obszarach, nieużytkach i nieustalonych granicach, staje się zachętą dla złéj wiary sąsiada; jak niema żadnych stałych prawideł do określenia i ocenienia prestacyi, służebności, wspólności, przekonamy się, jak wiele jest do poprawy, do uzupełnienia... Jednem także z najważniejszych i koniecznych dopełnień w naszém prawodawstwie, jest normalne rozgraniczenie majątków. Wiele się tym przedmiotem zajmowano przed rokiem 1820., nawet prawo w tym względzie zapadło, lecz wykonanie jego do lat 12 odroczone, późniéj całkiem zaniechaném zostało. A jednak bez niego jakież niezwalczone zapory regulacya napotkać może!

Następnie autor zwraca uwagę na ulepszenie wychowania elementarnego. Chce on, żeby to wychowanie przybrało kierunek religijno-moralno-techniczny, żeby się jednak ograniczyło do wiadomości niezbędnych chrześcianinowi i rolnikowi. Jedna trudność go zastanawia. Z kąd wziąść ludzi zdatnych na nauczycieli wiejskich? Zdaniem jego, rząd powiniem otworzyć zakłady stósowne, zapewne seminarya, w rodzaju tych jakie posiadamy w prowincyach pod berłem pruskiém. Nastręcza się jeszcze pytanie: zkąd wziąść funduszów?

Dotąd fundusz stały, uważa Krzyżtopor, jeden dziedzic mógłby dostarczyć i niejedenby to chętnie uczynił, gdyby kierunek szkółki i wybór nauczyciela od niego wyłącznie zależał. Lecz żądać od kogo ofiary, a potém odjąć mu wszelką władzę i kontrolę, nadto przysłać mu, mimo jego woli, pokątnego pisarka, którego wypędzić nie może, a który będzie siał zaród nienawiści między dziedzicem i włościanami, układał skargi dla ostatnich, śledził czynności pierwszego i te w niekorzystném świetle władzy donosił, i dziwić się potém, że dziedzic nie chce łożyć na szkołę, jest to śmieszny zarzut.

Autor jest zdania, że nie należy ustanawiać składki przymusowéj na wszystkich mieszkańców, żąda przytém, żeby nauczyciele mieli stałe pensye, a wy-

chowanie elementarne zostawało udzielane bezpłatnie. Fundusze na szkołę miałby gotowe w swojéj gminie.

Przytaczamy teraz ustęp tyczący się ważnéj, choć na pozór drobnéj okoliczności.

Pasanie gęsi, trzody i bydła, jest jedną z głównych zawad do istnienia szkółki wiejskiéj, a razem źródłem rozpróżniaczenia i demoralizacyi młodzieży. Przy niem bowiem uczy się chłopiec lub dziewczyna wałęsać się dzień cały, uczy się pasać po cudzych gruntach, podbierać kartofle, groch i owoce obrywać. Pierwszym przeto krokiem do porządku i poprawy, powinien być zakaz pasania dzieciom, a włożenie na gromady obowiązku utrzymywania wspólnego gromadzkiego pastucha.

Krzyżtopor zaleca jeszcze urządzenie sal ochron dla dzieci, szpitalów dla chorych a kalek, ustanowienie zsypek, zaprowadzenie banków gromadzkich na wzór banków szkockich, wszystko środki dobre, wszakże nie piętno chrześciańskie, tylko piętno filantropii naszych czasow i ekonomii politycznéj noszące. Niema u niego wzmianki ani o bractwach kościelnych, ani o kongregacyach poświęcających się nauczaniu ludu, ani o Siostrach Miłosierdzia do przewodniczenia szpitalom, ani o tercyarkach do kierowania salami ochrony. A przecież w obrazie, w którym się życzenia z obfitością przypominającą odezwy dyrekcyi naszéj Ligi zgromadziły, było niezawodnie miejsce i dla życzeń katolickich.

Piękne i poważne zdanie książkę kończy.

Doskonałości, MÓWI AUTOR, człowiek na téj ziemi nigdy nie osiągnie; ale wzdychać do niéj i ciągle dążyć do niéj, oto jego chlubne zadanie, jego święty obowiązek!

Stanęliśmy tedy u kresu. Trud jaki podjęliśmy, z jednéj strony miał na względzie rozbiór krytyczny, z drugiéj skrócenie niejako. Chcieliśmy z pierwszego tego dzieła traktującego rzecz, jeźli nie zawsze dostatecznie, przynajmniéj całkowicie, podać czytelnikom szereg wyjątków, nieprzerwany ciąg stanowiących. Usiłowanie nasze niechaj pokaże, z jednéj strony, jak żywo pragniemy uwagę publiczną zwrócić ku tym wielkim kwestyom, niechaj posłuży z drugiéj, za dowód naszego szacunku dla zdolności i summiennéj pracy Krzyżtopora.

Książka jego nieraz nam przypomniała, jeśli nie co do siły pisarskiéj lub wytrawności, to co do zdrowego rozsądku i gorliwości obywatelskiéj, wielkie nasze wzory politycznego piśmiennictwa: Modrzewskiego, Orzechowskiego, Górnickiego, Konarskiego. Ich torem idąc, ma nasz autor bezinteresowną żarliwość i szlachetny, często nie pomiarkowany, popęd do odmian, do nowości, różny w tém wraz z poprzednikami od ludzi świętego natchnienia, jak Skarga i Żółkiewski, którzy więcéj do poprawy wewnętrznéj, jak do zmian w instytutach zachęcali.

Wspomnieliśmy o względach pisarskich. Prawda każe nam przyznać, że styl Krzyżtopora, jakkolwiek jasny, jest nadzwyczaj niedbały. Nie znać u piszącego uczucia poprawności, często brak uszanowania dla najprostszych reguł. Żałujemy tego, boć mamy przekonanie, że myśl dobra, gdy dobrze wyrażona, wiele na dostojności zyskuje.

W każdym razie, czytając tę książkę, często żałować nam przyszło, że nieszczęśliwe położenie ojczyzny sprawia, iż niema u nas pola, na któremby ludzie podobnéj umysłowéj wartości mogli działać, wzmacniać się doświadczeniem i dojrzewać śród praktyki spraw znaczniejszych. Jakoż boleść ogarnia, myśląc o marnujących się naszych umysłowych i moralnych potęgach! Tyle już ich zamierzchło, tyle minęło! Ufajmy przecież, że i ta strona naszych cierpień nie jest bez zasługi przed Bogiem.

Czy przynajmniéj książka Krzyżtopora, zrobi dobre wrażenie na obywatelstwie Polski kongresowéj, czy w sferach rządowych oświeci, naprowadzi? Trudno przewidzieć. Obywatele nasi mało mają sposobów zastósowania ogólniejszego myśli w niéj rozwiniętych; z drugiéj strony, zamiary cesarza Mikołaja pokryte są tajemnicą. Regulacya dotąd nie jak postęp, ale jak groźba na horyzoncie się podnosi. Cokolwiek jednak nastąpi, pisma o kwestyi włosciańskiéj mają niezmierną wagę narodową. Przyszłość, wiedząc żeśmy nie wszystko mogli, będzie chciała zobaczyć cośmy chcieli. Przyszłość z zamiarów naszych kraj osądzi.

WIZYTA BRACI MALINOWSKICH Z WARSZAWY, *odbyta w Krakowie dnia* 17. *Grudnia* 1830 *r.* — *Ustęp z pamiętników* HILAREGO MĘCISZEWSKIEGO.
Kraków u Jul. Wilda 1851.

Pan Męciszewski ogłosił krótki wyjątek ze swoich pamiętników, wyjątek, odnoszący się do zdarzeń zaszłych w Krakowie w r. 1830., po wybuchu rewolucyi listopadowéj. Pierwsze kartki wykładają postępowanie Senatu w obec poruszonych mieszkańców, i są istotnie zajmujące. Wszakże to wstęp tylko. Właściwe opowiadanie zajmuje się bytnością w Krakowie dwóch braci Malinowskich, wysłańców towarzystwa patriotycznego z Warszawy. Te studenckie odwiedziny, fakt niesłychanie drobny, p. Męciszewski podnosi do większych rozmiarów. Całą okolicznością bawi się z zadowolnieniem, drwi, wyszydza, wydwarza, widać jak mu miło, że może tyle ironii wylać. Z braćmi Malinowskimi obchodzi się, jak wprawiający do szabli rękę młodzian z drewnianą głową Turka; prawdziwie pastwi się nad nimi, szczególniéj nad Jakóbem. Jakiż cel téj broszury? Ohydzić p. Jakóba Malinowskiego? Aleć nie widzimy, żeby on był tak ważną, tak niebezpieczną indywidualnością. Rzucić śmieszność na Towarzystwo Demokratyczne, w osobie jednego z dawnych członków Centralizacyi? Przecież Towarzystwo jeszcze nie istniało w 1830. r. i p. Malinowski mógł w kilku latach z niedowarzonego młodzika w złoconym fraku, wyjść na porządnego człowieka. Bodźcem p. Męciszewskiego był wedle nas, popęd do schlebiania usposobieniu ludzi nachylających się do Austryi w Galicyi. Ten i ów śmieje się z pp. Malinowskich, a w istocie śmieszność rozciągając do patriotycznych polskich usiłowań, swoje mierne dla kraju usposobienie, płaszczem rozumu i dowcipu osłania. Smutny to symptomat, od jakiegoś czasu z prawdziwym go żalem uważamy.

Niezawodnie wolno jest naród oświecać o stronnictwach i o osobach, często podobne usiłowania odwagi cywilnéj dowodzą. *Opis zjazdu Wrocławskiego*, nawet *Wizyta braci Malinowskich*, mogły mieć swoje znaczenie w r. 1848. Ale wybierać porę dzisiejszą, żeby budzić niechęć przeciw wygnańcom, zwłaszcza kiedy się z drugiéj strony uniżoności obcemu rządowi oddaje, jest to rzecz zasługująca na surowe skarcenie.

DZIENNIK LITERACKI, *Pismo tygodniowe, wychodzące co Sobota we Lwowie.*
W drukarni Zakładu Ossolińskich. — Numer 1. z 3. Stycznia 1852.

Od dawnego czasu zawsze jakieś pismo literackie przy Zakładzie Ossolińskich wychodzi. Dawniejsze posiadały prawdziwą wziętość, ostatnie, *Pamiętnik*, mimo kilku zajmujących artykułów, nie doszło do istotnego znaczenia. Teraz ukazuje się *Dziennik*, który witamy tém przyjaźniéj, że pierwszy numer dobrą na przyszłość pozwala mieć nadzieję.

Nie wiemy czy *Dziennik* ma jaką styczność z Zakładem Ossolińskich, czy téż tylko obok niego się drukuje; w każdym razie nazwisko redaktora (jest nim P. K. Szajnocha) jest dla nas wielką rękojmią.

Numer pierwszy zaczyna się od artykułu wstępnego pod napisem: *Droga prostoty.* Są tam doskonałe rzeczy. Pozwolimy sobie kilka przytoczeń:

Pismo niniejsze, *oświadcza wydawca*, jest ściśle literackie. Gruntem przeto, którego wyłącznie trzymać się będziemy, jest pole umysłowe, pole literatury. W literaturze domagamy się narodowości. Czyni to mniéj więcéj każde peryodyczne pismo polskie...

Żyjemy w porze zamętu literackiego. Zdala patrzącym, zamęt ten wydaje się słusznie stagnacyą. Bliżéj stojąc, dostrzega się w nim nie tak stagnacyą jak właśnie zamieszkę i spotworzenie pojęć. Poezya nie ochłonęła jeszcze z szału wieszczbiarstwa. Mniemana naukowość płonie szałem odkrywania nieznanych przylądków wiedzy. Uczucie rozuzdało się w zagorzałość. Myśl wybujała w mrzonkę. Rzadki umysł łaknie zdrowego pokarmu rzeczywistości. Większa ich część łakoma jakiéjś manny jasnowidzenia... W takiéj rozsypce duchów, w takim zamęcie pojęć, jedynem ochrończem stanowiskiem, zdaje się nam droga zimnéj rozwagi, droga surowego rozsądku, droga trzeźwości. O ile sami od wpływu czasu

niedotknięci, zwoływać będziem usilnie na tę drogę, którą za najwłaściwszą dla charakteru narodowego uznajem. Albowiem tą drogą unikania wszelkiéj przesady, wszelkiéj potworności pojęć i uczuć, dochodzi się do prostoty, a prostota zda się nam właśnie najpierwiastkowszą, najzaszczytniejszą cechą słowiańskiego plemienia i jego polskiéj gałęzi.

Żałujemy, że piszący użył wyrażenia *zimna rozwaga;* przecież wystarczało słów *surowy rozsądek* i *trzeźwość.* Żałujemy także, że nie wyraźniéj Polskę śród słowiańskiego plemienia postawił. Ale idźmy daléj:

Nie w ciągłéj extazie umysłowéj, nie w zagorzałości uczucia, nie w krewkiém junactwie, nie w polakieryi polskość. Znamionował ją niegdyś, znamionował w ogólności moralną stronę całego plemienia słowiańskiego, przeciwny wszelkiemu zbytkowi, rozsądny, trzeźwy, naiwny pogląd na świat i życie. To prostoduszne, jasne usposobienie, nadawało umysłowi naszemu, ową niczem nieomgloną pogodność, która to tak długo uśmiechała się swobodnie, na wszelką przesadność wykształcenia plemion obcych. . Z tysiąca przykładów różnicy między obrazową przesadnością kultury obcéj, a prostotą polskiego umysłu, przywiedziem tu tylko przykład różnicy między wstępami współczesnych sobie statutów Złotéj Bulli Karola IV. a Wiślickiego.

Przyjmując wiele dobrego od Zachodu, daliśmy się zbyt snadnie wyzuć z wiela dobrego...

Katastrofa polityczna otrzeźwiła naród. Już to na sam widok zbliżającego się upadku, już to wnet po nim, ocknęła się głośno umysłowość narodu. Pomiędzy różnemi głosami jéj nowego, czerstwiejszego niż kiedykolwiek odżycia, zabrzmiał najdonośniéj głos uczucia, poezyi.

Lecz głos poezyi nie jest głosem jedynym. Obok niéj, a po części z niéj saméj, począł wywiązywać się coraz potężniéj głos różnorakiego, przedewszystkiém zaś historycznego rozumu, po głosie estetycznéj prawdy, głos prawdy umiejętnéj. Zdalaż tym głosom od siebie! Z osobna każdy z nich potężny i zbawienny; w nienaturalnéj ze sobą spółce, wynaturzają się oba nawzajem.... Tymczasem nieuchronném następstwem czasowych okoliczności przyszło niestety do téj spółki. Poezya zalała dziedzinę umiejętności, umiejętność zamieniła się w pole popisów wyobraźni. Wielcy poeci zaczęli marzyć o messyanizmie, mali poeci o gramatycznych misteryach abecadła, historyozofia wpadła na myśl pisania dziejów przyszłości. Dziejopisowie literatury narodowéj jęli gardzić rzeczywistą jéj częścią, literaturą łacińską, a zachwycać się idealną literaturą nigdy nienapisaną, literaturą ludową. Poważne głosy zasiewały jakiś dogmat rogaty o téj literaturze pisanéj i niepisanéj, niby o kole okrągłém i nieokrągłém; mniéj poważne sławiły podział literatury według podziału pisarzy wszystkich wieków, na postępowych i niepostępowych, niby stosowniejszy podział pola, po którém chodą białe lub czarne owce. Umiejętność ścisła tracąc niekiedy równowagę w powszechnym szale, lub zrzekając się narodowéj samodzielności, wydobywała z głębin duchowych lądy świadome siebie i nieświadome... Nie było i nie masz mrzonki, którаby nie mniemała mieć prawa do życia, do oświecania narodu... Ledwo co zmartwychwstałe słońce umysłowéj wiosny narodu, omgliło się nowym tumanem śniegu...

Chwilowa przypadłość, przypadłość jednakże niebezpieczna. Wiosenne nawroty zimy, dla owocu przyszłości najszkodliwsze. Dla tego, ile sił naszych, pragniemy przyczynić się do powstrzymania téj zawiei przesadnych pojęć, która wszystkie ścieżki literatury zasypała... Dążyć nam ku temu drogą, którą za jedynie zbawienną uznaliśmy, t. j., drogą trzeźwości i rozsądku, drogą prostoty. Ostateczności jednéj nie zwalczać nam drugą ostatecznością. Przeciw teoryi nie stawiać nam teoryi. Prawda nasza nie nosi barwy. Nie jesteśmy niczyimi hołdownikami. Podczas gdy dokoła sztandary pewnych jaskrawych dogmatów tkwią wywieszone, naszą byłoby chlubą, przypomnieć od czasu do czasu, cześć téj od Boga danéj nam władzy, która wszystkich różnobarwnych dogmatów źródłem i mistrzem, a któréj, jak owemu najwyższemu bóstwu starożytności, nie budować żadnych widomych świątyń, nie dawać żadnéj wyłącznéj barwy, nie przypisywać żadnego godła: cześć zdrowego rozumu

W kilku ostatnich okresach upatrujemy chłodny eklektyzm. Razi nas szczególniéj owa *prawda bez barwy*, obok czci *zdrowego rozumu.* Że jednak myśli piszącego są niejasno sformułowane, wolimy obwinić jego zbyteczny pociąg do neologizmów tudzież trudnéj składni, jak jego chęci i zamiary. Co się tyczy wróżb o kierunku pisma, te niech nam wolno będzie raczéj na godłach prostoty, rozsądku i trzeźwości, niźli na maxymach czysto racyonalnego pochodzenia oprzeć.

NEKROLOGI.

W miesiącu Grudniu r. z. umarł w Piemoncie, sławny niegdyś ze swoich satyr politycznych, poeta Berchet. Berchet w r. 1818. należał w Medyolanie do redakcyi pisma *Conciliatore*, wraz z kilku głośnymi pisarzami i patryotami, jak Gonfalioneri, Silvio Pellico, Romagnosi. W krótce potém wszedł do sprzysiężenia północnych Włoch. Po niefortunnych próbach w r. 1821 uciekł do Francyi, gdzie na księcia Carignano, późniejszego króla Karola Alberta, zjadliwą satyrę napisał. Tenże sam Karol Albert w kilkanaście lat później, otworzył mu wrota do ojczyzny. Berchet napisał dużo wierszy z okoliczności. Śmiałość i gorycz główną ich cechę stanowią. W ostatnich latach pozostał w cichém ukryciu.

Eliot Warburton. Tragiczna śmierć tego młodego i wielce obiecującego pisarza, dotkliwym przejęła smutkiem cały świat literacki. Był on jednym z pasażerów na statku parowym, *the Amazon*, który spłonął na morzu dnia 4. Stycznia bieżącego roku. Ze 161 osób znajdujących się na nim, tylko 31 pozostało przy życiu. Statek ten, przeznaczony do posługi między Anglią a Zachodniemi Indyami, dopiero pierwszą swą podróż odbywał. Wypłynął z Southampton 2. Stycznia, i zaledwo 110 mil morskich zrobił, w nocy z 3. na 4., nagle, z niewiadoméj przyczyny, w kilku minutach stał się pastwą płomieni. Wyratowali się tylko ci, którzy pierwsi do łodzi dopadli. Warburton, wedle opowiadania jednego z wyratowanych, lubo całkiem ubrany, stał nieporuszony przy kapitanie na pokładzie, kiedy na pół-nadzy i struchleli podróżni spieszyli by co prędzéj ginący okręt opuścić. Celem jego podróży była Ameryka, a w szczególności międzymorze Darien, gdzie z polecenia jednéj z handlowych kompanii angielskich miał się układać z wojującymi Indyanami, i gdzie życzył sobie jeszcze bliżéj poznać siedliska i obyczaje plemion, które już w swych dziełach tak malowniczo opisywał. Główniejsze jego utwory są: *The Crescent and the Cross* (Pół-księżyc i Krzyż), — *Memoirs of Prince Rupert and the Cavaliers*, — *Reginald Hastings*, i kilka pomniejszych. Ostatnie, noszące datę 1852 roku, ma tytuł: *Darien, or the Merchant Prince.* Co w tym utworze jest najwięcéj i najboleśniéj zajmującego, to jakieś dziwne przeczucie losu, który miał go spotkać, bo po kilkakroć razy opisuje katastrofy na morzu, i całą potęgą swego pióra wystawia okropność gwałtownego pożaru na okręcie. Przytoczeniem krótkiego wyjątku z jednéj z tych scen zakończymy niniejszy nekrolog:

»Wtedy nastała okropna chwila przerwy. Wraz jeden z hiszpańskich sta»tków oderwał zahaczające żelaza i na bok odpłynął, ścigany deszczem kul roz»palonych, któremi bukaniery zarzucili jego pokład i podziurawili całą budowę. »Każdy majtek rzucił się do gaszenia ich, o okręt sam z wiatrem poleciał. Wten»czas Lawrence (kapitan bukanierów), zawsze trzymając pistolet zwrócony ku »prochowemu magazynowi, krzyknął na swych ludzi, a ci w mgnieniu oko sko»czyli na pokład drugiego hiszpańskiego okrętu, którego załoga, przerażona »wciąż grożącym wybuchem prochów, poddała się prawie bez oporu. W kilka »minut powalono zwyciężonych na pokład, pomordowano i wrzucono w morze. »Czerwona chorągiew rozwinęła się nad żółto-szkarłatową banderą, która do»piero tak szeroko i tak dumnie z głównego masztu powiewała. Lecz tuba ka»pitana wnet odwołała zwycięzców. Z ust jego kilka krótkich wyszło rozkazów. »Kilku majtków zostało do uprowadzenia zdobytego okrętu, a reszta powróciwszy

»na własny drobny statek, chyżo odpłynęła wszystkiemi żaglami. Pierwszy ów »z hiszpańskich okrętów stał teraz cały w płomieniach. Trzy jego suche maszty »szybko paliły się, jako trzy ogniste słupy. Rozpaczająca załoga ścisnęła się na »tył okrętu, chcąc spuścić swe łódki na morze, lecz Lawrence zbliżył się z swym »statkiem, i zaczął sypać na ich pokład grad kul z ręcznéj broni, od których »wszyscy poginęli. W pośród nich stał Dominikan z założonemi rękoma, ocze- »kujący losu z niewzruszoną odwagą. Lecz skoro Bukanier tak się przybliżył, »iż się rozpoznać mogli, zakonnik odezwał się do Lawrenca jak do dawnego »znajomego, i rozkazał mu by zaprzestał strzelać, a przysłał łódź do przewiezie- »nia go na swój statek. Lawrence przeżegnał się i w tył się odwrócił. Strze- »lanie znowu powtórzyło się na minut kilka, lecz już płomienie z przodu okrętu, »włokły się ku tyłowi. Bukanier odsunął się, by uniknąć wybuchu który lada »chwila musiał nastąpić, a zbiedzeni majtkowie hiszpańscy, sami rzucili się do »morza. Tam przez chwilę pasowali się z wałami, lecz wnet, jakby wciągnięci, »zniknęli w głębinie, a skrwawiona woda pokazała, że rekiny już się z nimi za- »brały do pracy. Wzniosła postać zakonnika jeszcze na pokładzie cień rzucała »na piątrzące się z tyłu płomienie. Nagle one przygasły, jak gdyby się wżerały »całą siłą w spód okrętu, a po chwili jednym strasznym rzutem wybuchły do gó- »ry, i roztrzaskawszy okręt w kawałki, szczątki rozrzuciły szeroko i daleko »po morzu.«

W okropnym pożarze *Amazonki*, inny jeszcze pisarz śmierć znalazł. Mówimy tu o francuzkim autorze, który pod przybraném nazwiskiem G. Ferry umieścił w *Revue des Deux Mondes* Sceny z życia mexykańskiego. Nie pozwalamy sobie wykładać sądów Opatrzności, wszakże trudno odpychać poważnych wrażeń, jakie się rodzą na myśl, że w przeciągu kilku miesięcy, dwóch współpracowników *Revue des Deux Mondes*, dwóch wyobrazicieli najlżejszéj literatury, nagłą śmiercią przedwcześnie zginęło.

SPRAWY PUBLICZNE.

OSTATNIE WYPADKI I SPRAWA POLSKA.

Zaczyna się rok 1852., rok który naprzód wzbudził tyle obaw, tyle oczekiwań, a zaczyna się inaczéj jak sobie świat wyobrażał. Widzimy pomieszane przewidzenia roztropnych, rachuby polityków, nadzieje niecierpliwych. Nowe a wielkie poniżenie dla mądrości ludzkiéj, nowa nauka! a tyle nam ich od lat czterech zesłała Opatrzność, że nie w kierunku podobieństw i kombinacyi ludzkich, ale w kierunku zasad sterować zawsze trzeba.

Zasady o których mówimy, nie są to zasady przemienne, czasowe, ulegające wątpliwości, choć i te mają siłę; ale naprzód, zasady wiekuiste religii i moralności; powtóre, zasady trwałe, a niezawodne, wierności ojczyznie, wierności obowiązkom, zasady kojarzące, gojące i o ile bezinteresownie w sercu i umyśle zakorzenione, napełniające sumienia wielką światłością.

Wypadki paryskie nie dotykają bezpośrednio Polski, niemniéj mają dla nas wagę, boć jesteśmy dziećmi oświaty zachodniéj, członkami europejskiéj rodziny, boć w nieszczęśliwém naszém położeniu, każde ważniejsze zdarzenie zewnętrzne, głęboko umysły polskie porusza.

Ze wszystkich powyższych powodów, widzimy potrzebę, naprzód rozjaśnić kwestyę francuzką, powtóre oddzielić od niéj obowiązki krajowe, i znowu je potem wielkiém wstrząśnieniu przypomnieć.

Zaczynamy od Francyi, kładząc na wstępie kilka niezbędnych uwag treści ogólniejszéj.

Nigdyśmy nie sądzili, nigdy nie sądzimy wypadków z wyłącznego stanowiska tych lub owych kształtów politycznych. Niewzruszoność, jednostajność konieczną, przyznajemy tylko rzeczom religijnym; na świecie przypuszczamy i przyjmujemy najswobodniejszą rozmaitość.

Jest szkoła, która utrzymuje, że pewnym pojęciom religijnym, muszą pewne polityczne urządzenia odpowiadać. Za dni naszych, głęboki myśliciel Donoso Cortes z wielką siłą dyalektyki rozwija to stare zdanie. Zachowując dla potężnego tego szermierza prawdy katolickiéj uszanowanie najgłębsze, pozwalamy sobie przecież inaczéj jak on myśleć. My mniemamy, że prawda boża bezwzględna posiada niezmierzoną, nie do objęcia umysłem naszym żywotność, i że jéj objawy względne najrozliczniejsze formy obiąc mogą. Nam się zdaje, że w tem zniesieniu granicy między dwoma szeregami pojęć jest ujma wszechmocności, ujma dobroci Stworzyciela. Wszystko w świecie fizycznym przedstawia rozmaitość zlewającą się w harmonię, dla czegożby miało inne prawo światem moralnym rządzić?

Co niezawodna, to, że każdy układ towarzyski musi do harmonii bożéj przystawać. Dualizmu w świecie chrześciańskim nie rozumiemy.

Inna jest przecież rzecz przyjmować dualizm, a inna uznawać, zawsze w granicach prostéj moralności, nieuchronne wnioski z danych okoliczności wypływające. Rygor konieczny jest w rzeczach wiary; w sprawach świata, zastanowienie i umiarkowanie są prawem doświadczenia tudzież rozsądku. Broń nas Boże, żebyśmy złe albo mierność stawiali kiedy na świeczniku, żebyśmy się ślepemi popędami powodowali; wszelako godzi się nam śród złego wybierać złe najmniejsze, i zaspakajać się rzeczami, które z innéj miary ani uniesieniom naszym ani wyobrażeniom nie odpowiadają.

Po rewolucyi lutowéj, choć zrażeni i zbici z toru, nie pofolgowaliśmy niechęci, ale schylając się przed zrządzeniem mądrości bożéj, radzi przystawaliśmy na wszelką uczciwą możebność, i skwapliwie jęliśmy wynosić pojawy dobrego w społeczeństwie. To usposobienie chcemy zawsze przechować, nie ze słabości ale z umiarkowania. [1])

---

[1]) Niechaj nam wolno będzie przytoczyć tu wyrazy skreślone przez nas w kilkanaście dni po rewolucyi lutowéj, jeszcze przed wypadkami Berlińskiemi. Powtórzenia tego nie robimy dla próżnéj chwalby. Mierna to rzecz, dowodzić że się słuszność miało; w razie niniejszym chodzi nam jedynie o uwydatnienie pojęć naszych i o zwrócenie uwagi na ich niezmienność

Pisaliśmy w domówieniu do *Spraw Włoskich* (wydanie lipskie, str 263. i następne):

»Nie oglądamy się na wypadki i nie wysilamy na odgadnienie, jakie systemata do »czasu zwyciężą. Wiemy, że Bóg jest w dziejach i że tryumf ostateczny należy się praw»dzie chrześciańskiéj.

»Wstrząśnienia społecznego we Francyi nie spodziewaliśmy się. Myśmy myśleli, że »monarchia konstytucyjna jest kształtem odpowiadającym dzisiejszym potrzebom towarzy»skim tego kraju; rozumowaliśmy w następstwie tego przypuszczenia. Myśleliśmy tak »i rozumowali razem ze stronnikami i razem z przeciwnikami ustawy zasadniczéj z r. 1830.

»Bądź co bądź, zmiany w formach rządowych uważamy za rzecz obojętną. Nie »przypuszczamy, nigdyśmy nie przypuszczali kształtów koniecznych. Dziś jak przedtém »ostrzegamy, że każdy kształt polityczny za środek nie za cel brać należy. Wszelki a taki »tylko stan rzeczy, w którym panuje miłość, cnota, ład towarzyski i wolność w całéj »obszerności, na współczucie nasze, na uniesienia dusz szlachetnych zasługuje.

»Pierwsza wiadomość o rewolucyi francuzkiéj mocno nas uderzyła. Poczuliśmy obawę »żeby się nie zatrzymał ruch oświaty, żeby szlachetny wpływ Francyi na Europę nie »zmalał, przez chwilę także objęła nas bolesna wątpliwość, czy się terroryzm nie wróci.... »Dotąd obawy pokazały się płonne, z głębi serca Bogu za to dziękujemy.....

»Z upadkiem obalonego rządu, przegrana dotknęła gruby materyalizm, cześć bałwo»chwalczą dla pieniędzy, i ową pochopność w klassach wyższych do używania życia, nie »oglądając się na cnotę i na powinności obywatelskie. Z całéj katastrofy pozostaje wielka »nauka, że na instynktach samolubnych i na strachu, porządku społecznego nie godzi się »i nie nada opierać.

Jakież było położenie rzeczy we Francyi, w chwili kiedy nastąpiły wypadki grudniowe?

Zwycięzka od lat sześciudziesiąt klassa średnia, w znacznéj większości pozbawiona uczucia religijnego, zmateryalizowana w pojęciach i w dążeniach, zazdrośna władania, przyjęła za kształt najodpowiedniejszy położeniu kraju urządzenie parlamentarne angielskiego pochodzenia. Próżno jednak znakomite umysły pracowały nad ustaleniem tego porządku rzeczy. Klassie średniéj zabrakło ducha politycznego. Rządząc się więcéj namiętnościami jak zasadami, przesądy troskliwie pielęgnując, uciemiężała religią, prześladowała tradycyjne wielkości z jednéj strony, z drugiéj folgowała niepowściągnionéj żądzy bogactw i używania. Wspaniała teorya organizacyi arystokracyi angielskiéj, w granicach rozszerzających się, dostępnych, rozumowych, w wykonaniu pozostała martwą literą. Nic się nie ustaliło, nic nie urządziło, i fale rewolucyjne często podnoszące się z niezamkniętych przepaści, nie przestały obalać, kilkakrotnie na nowo poczynanych robót.

Rewolucya lutowa najmniéj była do przewidzenia, dopuścił jéj wszakże Pan Bóg, jak gdyby dla upokorzenia rozumów ludzkich, i dla pokazania całéj rozciągłości złego w społeczeństwie.

Rewolucya lutowa przyzwolona przez niestałą, łatwo obojętniejącą klassę średnią, sprowadziła przegraną mieszczaństwa. Zwalony wówczas został jedyny porządek, który mógł ostateczne nabytki lipcowe utrwalić.

Cóżkolwiekbądź, że massy nie umiały sformułować swoich żądań, mieszczaństwo odzyskało do czasu ster rzeczy publicznéj, wygrało nawet ową krwawą bitwę czerwcową, w obronie ładu towarzyskiego przodkując.

»Zkądinąd, wygrana ludu paryzkiego powinna zastanowić poważne umysły. Oto »w narodzie oświeconym nie idee przemogły, nie zasady, ale siła .. Siła otrzymała zwy»cięztwo. Uważajmy daléj, że zrujnowane zostały do szczętu podania prawności, które »trudno będzie wskrzesić, a bez których żaden porządek społeczny się nie utrzyma. Patrzmy »jeszcze, że znowu Paryż całéj Francyi zmianę narzucił. Fakt ten wyświeca niebezpieczeń»stwo zbytecznegoześrodkowania. Fakt ten prędzéj czy późniéj do oddziałania prowin»cyi przeciw stolicy poprowadzi.

»Łatwość z jaką najzupełniejsza przemiana została dokonana, dowodzi braku zasad »w kraju. Pokazuje się widocznie, że znaczna większość jest obojętna w polityce, i że przez »skeptycyzm rada przechyla się na stronę zwycięztwa. Od lat sześciudziesiąt nastające po »sobie zmiany zachwiały wszelką pewność w umysłach, i stało się, że ogromna liczba ludzi, »zamiast czekać spokojnie przy chorągwi sumiennie obranych przekonań, kłopotliwie wy»patruje jakie wstrząśnienia nastać mogą, żeby się do nich przygotować. Obojętność i luź»ność zasad nie są dobremi poznakami. Trzeba wiary i przekonań do budowy trwałéj »podstawy towarzyskiéj.

»Życząc ze stanowiska ludzkości, żeby się stan dzisiejszy rzeczy utrzymał we Fran»cyi, chcielibyśmy dopatrzyć się stronnictw wiernych swoim dawnym przekonaniom, »a jednak szczerém sercem ojczyznie służących...

»Cokolwiek nam przyszłość gotuje, pamiętajmy, że wyobrażenia cnoty, miłości i wol»ności, nigdy być prawdą nie przestaną. My cudzoziemcy, każdy fakt wedle tych wyobraa»żeń sądźmy. Nam powinno być jedno jak się Fraacya urządzi, byleby się urządziła na »zasadach moralności chrześciańskiéj. Nie zewnętrzne kształty, ale wartość wewnętrzn»narody wielkiemi robi i wpływ ich na losy świata ustala.

»Dzisiaj jeśli uas co zajmuje we Francyi, to przedewszystkiém widok zasad praw»dziwych, organicznych, usiłujących się wydostać na wierzch; jeźli co pociąga, to objawy »szczerego przywiązania do kraju u ludzi najrozmaitszych opinii, a którzy łączą się pod »hasłem niebezpieczeństw ojczyzny. Przykład to zaiste godny naśladowania...

»Jeźli nam kto przypomni, żeśmy innego rodzaju nadzieje na przyszłość wyrazili: »żeśmy zapowiedzieli czasy, w których miały panować zasady, przekonanie i siła moralna, »uchylając głowę przed dopuszczeniem bożém oświadczamy, że cokolwiek zaszło, nie tra»cimy wiary, że najlepszą, najzupełniéj wymaganiom oświaty odpowiadającą, najtrwaléj »ulepszającą drogą postępowania, jest droga, którą obrali O'Connell, Montalembert i Pius IX.

»Ruchy gwałtowne prędzéj czy poźniéj wywołują oddziałanie, a w sumieniach ludz»kich zostawiają zamęt i niepewność, które co najmniéj do znużenia i obojętności pro»wadzą...

»Boże błogosław krajowi naszemu, błogosław światu całemu, daj nam zawsze ufać »w prawdę, w cnotę, w miłość, w wolność, zawsze wierzyć w przyszłość, zawsze się »spodziewać, i jeśli można, przejrzeć na drogach, któremi nas prowadzisz.«

Wtedy zaślepione chwilowém powodzeniem spróbowało uwiecznić swoją władzę, i narzuciło krajowi konstytucyą pełną sprzeczności, a dążącą tylko do tego, żeby rząd niepodobnym, Zgromadzenie zaś obieralne wszechwładném uczynić.

Francya zaprotestowała przez obór Ludwika Napoleona, człowieka, który oprócz tego że odpowiadał poetycznym wspomnieniom chwały narodowéj, miał jeszcze ten urok, iż wyobrażał czasy porównania wszystkich pod silnemi rządami jednego.

O wolność mało wtedy chodziło, radykalizm *odczarował był*, jak dobrze powiedział wielki jeden mówca, *świat od wolności.*

Że zachowawczym żywiołom społeczeństwa groziły nieostygłe jeszcze lawy socyalizmu, utworzyło się wielkie stronnictwo porządku, obszerny obóz, gdzie wszyscy, wśród zamętu sprzecznych interesów, w nieporozumienia popadli. Strach przecież skupia tylko, ale nie łączy. Samolubne dążenia rychło się odstrychnęły jedne od drugich, i wszczęła się gra intryg, zaciekła, niepowstrzymana względami dobra ojczyzny.

Jak za Karola VI. w obec Anglików, tak dziś w obec socyalizmu, mało kto wołał: »Niech żyje Francya,« tylko słyszeliśmy powtórzenie okrzyków: »Vive Bourgogne,« albo »Vive Armagnac;« w okrzykach: »górą Henryk V.,« »górą kże Joinville i hr. Paryża,« »górą Bonaparte.«

Darmo Francya jeszcze raz pokazała że się chce ratować, i upomniała się drogą petycyi o zmianę konstytucyi. Oprócz stronnictwa prezydenta i małéj garstki bezinteresownych patryotów, wszystkie inne zastępy głuchemi na głos kraju pozostały.

Trzy intrygi: legitymistowska, orleanistowska i bonapartystowska szły swoim torem, a naprzeciw nich organizował się socyalizm, pochłonąwszy w swoich szeregach nieśmiałych albo niesumiennych republikanów, odsuniętych w grudniu r. 1848.

Intrygę bonapartystowską uważamy za najmniéj winną: wywołały ją i poprzedziły inne. Ludwik Napoleon, jakąkolwiek mieć może ambicyą, nicby był nie podołał przeciw prawności, gdyby mu nie byli utorowali drogi współzawodnicy, przeciążając szalę i wyraźnie niezgodami Francyą do socyalizmu popychając. Oni sami zamknęli przed nim kolej prawności.

Przyznajemy, wolność i prawność są wielkiemi, godnemi wszystkich uwielbień rzeczami, wszelako społeczności przedewszystkiém żyć muszą, a ten kto władzę w ręku dzierży, najskuteczniéj je może ratować. Zrozumiał to Ludwik Napoleon, nie wchodzimy z jakich powodów, i dla tego czynowi jego w Grudniu, czynowi gwałtu, nawet przeniewierstwa, cały niemal naród przyklasnął.

Prezydent powiedział prawdę w swojéj odezwie: «Dzisiejszy stan rzeczy »trwać dłużéj nie może. Z każdym dniem zwiększają się niebezpieczeństwa »kraju.«

Słuszność słów powyższych uznała Francya, dyktaturę więcéj jak siedmiu milionami głosów zatwierdzając. [1])

Że dyktatura musiała nastąpić, wątpliwości nie podpada. Chodziło tylko o to czy naród miał przyjąć dyktaturę Zgromadzenia a po niéj znowu kłótnie stronnictw, czy dyktaturę prezydenta.

Krew pociekła i jest to rzecz bardzo bolesna, ale widzielibyśmy nierównie większe okropności, gdyby prezydent nie był zmusił socyalistów do wydania bitwy wpierw, nim się prawdziwie uorganizować zdołali.

---

[1]) Czytaliśmy w jednym z dzienników paryzkich:

»Jak dziesiątego Grudnia tak i dzisiaj, lud oświadczył że chce być rządzonym. Fran»cya w anarchią popada przypadkiem, obłędem albo niespodzianie. Kraj to rządu i jedno»ści. Francya trzecie dopiero miejsce w szeregu rzeczy które kocha, wolności daje.«

Że organizacya socyalna już miała mocne zawiązki, pokazały powstania grudniowe, jakkolwiek opisy ich skreślone w przerażeniu, lub pod natchnieniem ducha stronnictwa, przesadzone być mogą.

Nie chcemy pominąć jednego wielkiego zarzutu. Ludwik Napoleon złamał złożoną dobrowolnie przysięgę. Jest to zawsze rzecz obraźliwa dla sumień. Co do nas, szanujemy i wynosimy wierność przysięgom, uważamy przecież, że w naszéj społeczności nikt ich nie dochowuje, że krzywoprzysięstwo polityczne codzień się pojawia u góry i u dołu, i że każdy rozgrzesza ludzi swojéj opinii. W obec tylu różnorodnych faktów nie pozostaje nam jak objawić gorące życzenie, żeby raz położono koniec téj poniewierce najświętszych rzeczy, przymus przysięgania politycznego znosząc.

Ludwik Napoleon obalił porządek parlamentarny, który we Francyi od 1814. r. panował. Nie możemy powiedzieć żeby nas to nie obeszło. Szanujemy jak najmocniéj szlachetne instytucye angielskie, a i w innych krajach nawykliśmy do fluktuacyi politycznych, w następstwie jawnego obradowania idących. Co jednak przyznać musimy, to że nie do każdego narodu i nie do każdego czasu przystają urządzenia potrzebujące koniecznie historycznéj, a nie sztucznéj podstawy.

Konstytucya prezydenta w znacznéj mierze odnawia rozporządzenia konstytucyi z r. VIII. rzeczypospolitéj. Obie przyszły w chwili zwątlenia, zniechęcenia, tęsknoty za silnemi rządami, łatwo więc i z téj strony podobieństwo ich wytłómaczyć.

Zresztą, konstytucye pisane mało znaczą; wszystko zależy od ich wprowadzenia w życie. Konstytucya z dnia 14. 8tycznia 1852. r. to przynajmniéj ma dobrego, że drogi odmianom nie zagradza. [1])

---

[1]) Sam Ludwik Napoleon wyłożył swój sposób zapatrywania się na rzeczy, w dobrze napisanéj jeszcze przed 2. Grudnia broszurce, wydrukowanéj pod tytułem: *La révision de la Constitution.*

W broszurce téj utrzymuje słusznie Prezydent, że złe nie leży w kształcie rządu ale w gruncie rzeczy, dodaje przytém, że i konstytucye i rządy obalał dotąd systemat parlamentarny, rzucający cień na władzę wykonawczą. A jednak powiada: całém dążeniem historycznem Francyi była jedność, dla któréj równie królowie jak Danton i Robespierre pracowali.

W miejsce rządu parlamentarnego zaleca Prezydent rząd reprezentacyjny. Cały ten ważny ustęp przytaczamy:

»Zapyta nas kto, jaki systemat ze względu na dojrzałość, zastanowienie, doświad»czenie i pożytek kraju, stawiamy wyżéj od mechanizmu parlamentarnego, osądzonego i od»rzuconego przez wszystkich, co podziału na stronnictwa, wystawności, scen teatralnych, »osobistych znaczeń, próżności mównicy, nie przenoszą nad spokój, pomyślność i chwałę »narodu.

»W imieniu zdrowego rozsądku, opartego na doświadczeniu lat trzydziestu, odpowia»damy: niechaj rząd we Francyi będzie jak chce, monarchiczny czy republikancki, po»rządku, spokoju, bezpieczeństwa kraju nie trzeba szukać po za systematem politycznym, »którego zasady położone zostały w latach 1799., 1802. i 1804. przez największy jeniusz »obecnych czasów.

»Jest to systemat *reprezentacyjny*, odpowiedni Francyi, a nie systemat *parlamentarny*, »w Anglii przyjęty.

»Żeby ten systemat zdrowo osądzić, trzeba przedewszystkiém odsunąć z myśli ogro»mną postać dziejową która nad nim panuje; jakoż cesarz Napoleon na siebie ściągając »całą uwagę świata, pozostawił w cieniu wielkie zebrania tworzące podstawę jego instytucyi »politycznych.

»Wszyscy unosimy się nad urządzeniami cywilnemi i wojskowemi téj epoki, bo, choć »nadwątlone przywłaszczeniami parlamentarnemi, istnieją one dotąd, i codzień widzimy ich »działanie. Przeciwnie urządzenia polityczne, upadając razem z cesarstwem, nie pozosta»wiły po sobie nic oprócz zmięszanych wspomnień, których charakter łatwo przeistoczono.

»Zobaczmy myśl instytucyj napoleońskich, zaprowadzonych na początku stulecia; »w nich to Francya odpoczęła po wstrząśnieniach rewolucyjnych.

»Montesquieu rozdział i niepodległość władz mieni podstawą wolności. Dodaje przy»tém że jeżli gdzie człowiek, izba albo kasta, który prawa stanowią, mają zarazem w ręku »siłę wykonawczą, wtedy rodzi się despotyzm, bezrząd i anarchia.

»Owoż instytucye napoleońskie oddzielają zupełnie władzę wykonawczą od władzy »prawodawczéj.

Nie mamy wątlipowości, że Ludwik Napoleon zrozumiał usposobienie kraju, że zadosyć uczynił życzeniom ogromnéj większości, pragnącéj odwetu za wstrząśnienie lutowe, i że porę sposobną uchwycił. Ale czy jest on człowiekiem zdolnym wyleczyć z niemocy wewnętrznéj, uorganizować ojczyznę? Na to niepodbna jeszcze odpowiedzieć.

Francya nie tyle wymaga politycznych urządzeń, ile wewnętrznego odro-

---

»W systemacie Cesarza rząd wnosi ustawę. Rada Stanu składająca się z najzdol- »niejszych i najbieglejszych w prawie, rozbiera, wypracowywa projekt, i przedstawia go »Ciału prawodawczemu. Ciało prawodawcze przyjmuje albo odrzuca projekt, albo w końcu »zwraca go rządowi, po dyskusyi z komisarzami Rady Stanu. Senat stojący na straży »instytucyi, przestrzegający harmonii władz, a mający między innemi prawo odwołania się »do wszechwładnego ludu już to w rzeczy zmiany konstytucyi, już to gdy zajdą nieprze- »widziane trudności, Senat rozbiera z kolei projekt ustawy ze stanowiska konstytucyi »i przekłada ją naczelnikowi rządu do ogłoszenia, albo z radą żeby nie ogłaszać.

»W końcu, naczelnik rządu ogłasza prawa i pilnuje ich wykonania za pośrednictwem »ministrów, którzy od niego tylko zależą, którzy do Izb nie chodzą, żadnych dyskussyj »z Ciałem prawodawczém nie miewają, i będąc wolni od kłopotów parlamentarnych, mogą »się wyłącznie rządzeniu oddać.

»Korzyści systematu rozpoznać łatwo.

»Wolność rzeczywista, poważna, widzi swoją rękojmię w tem, że stanowienie podatku »od Ciała prawodawczego zależy. Choć bez zgubnego przywileju początkowania, choć bez »wszechwładztwa, Izba prawodawcza, mająca w ręku budżet, posiada istotną niepodległość.

»Ciało prawodawcze nie ma bezpośrednich stosunków z ministrami, nie może wpły- »wać ani na ich wyniesienie, ani na ich obalenie; oprócz tego że jest pozbawione począt- »kowania, pojedynczy jego członkowie nie posiadają niesłychanego przywileju niepokojenia »umysłów kiedy im się podoba. Tym sposobem agitacye, koalicye, intrygi znamionu- »jące życie parlamentarne od r 1814. wszelki powód tracą.

»Rząd ze swojéj strony zajęty działaniem nie rozprawianiem, rządzeniem nie układa- »niem i bronieniem praw, może cały swój czas, całą myśl swoją i całą siłę, których nie »zużywa w mizernych zapasach, do starań o dobro powszechne zwrócić.

»Spory trybuny między mówcami Izby i Rady Stanu zdolne są jeszcze zająć umysły, »ale nie mogą sprowadzić przesileń ministeryalnych. Rząd patrzy na nie spokojnie, a bez- »interesownie uważając którzy z mówców Ciała prawodawczego są najzdolniejsi, naju- »czeńsi, najzręczniejsi, żeby im wrota Rady Stanu otworzyć.

»Uważamy za jeden z głównych błędów systematu parlamentarnego, że sytemat ten »stawia jako jedyny cel przed oczy wszystkich ambicyi, wszystkich talentów, wszystkich »politycznych zdolności wielkiego kraju, kilka tek ministeryalnych. Ztąd idzie że zamiast »służyć szczerze krajowi, wszystkie rozumy pracują nad jałowém i nieszczęsném dziełem »obalania władzy by ją zdobyć.

»Wielką przeto zręczność, wielką znajomość serca ludzkiego i charakteru francuskiéj »społeczności pokazał prawodawca r. VIII. i r. XII., kiedy rozszerzył koło dostojeństw, »i wszystkim zdolnościom, wszystkim wyższościom miejsce to w Senacie, to w Radzie Stanu, »to w ministerstwie zapewnił.

»Pojąć nie można, że instytucye podobne, dzieło wielkiego człowieka, instytucye »równie wygodne dla monarchii jak dla rzeczypospolitéj, porzucone zostały dla nędznych »naśladowań angielskich lub amerykańskich, zaleconych przez nieznanych adwokatów, nie- »znanych dziennikarzy, nieznanych literatów.

»Historya sześciudziesięciu lat ostatnich pokazuje że w kraju jak Francya, podzielo- »nym na mnóstwo stronnictw, pełnym niezmordowanych i niezaspokojonych ambicyi, Izby »targane wewnętrznemi walkami koalicyi i koteryi, nie są zdolne przyjąć stały kierunek, »nie są zdolne nadać go rządowi, który nieuchronnie do przepaści prowadzą. Fakta usu- »wają wszelką wątpliwość w téj mierze. Karola X. i Ludwika Filipa zrzuciły z tronu »koalicye parlamentarne; obie rowolucye, lipcowa i lutowa, sprowadzone zostały przez »Izby, niemające wyobrażenia o rozciągłości złego jakiego się dopuszczały.

»Byłoby nierozsądkiem i nieużytecznością, po trzech doświadczeniach rozpoczynać »czwarte w tych samych warunkach. Wypadek konieczny wskazany jest naprzód.

»Jeźli rząd przypuści obok siebie fikcye konstytucyjne i wszechwładztwo parlamen- »tarne, jest nieuchronnie zgubiony; na jedno mu wyjdzie, czy będzie ustępował jak Lu- »dwik XVI., próbował iść przebojem jak Karol X., czy się do matactw jak Ludwik Filip »uciekał; Francya w takim razie musi się gotować na czwartą rewolucyę, ostatnią zape- »wne, bo w niéj pochłonięte zostanie społeczeństwo.«

Broszura z któréj wyjątki podaliśmy, została przetłómaczona na język niemiecki i wydana w Berlinie u Deckera p. t. Die Revision der Verfassung, z przedmową napisaną w duchu tych, co żądają przejrzenia konstytucyi pruskiéj.

dzenia. Sześćdziesiąt lat nieustannych zmian, i to wśród ruin których namnożyła bezbożność, namnożył materyalizm XVIII. wieku, osłabiły pojęcia, zachwiały sumienia, popsuły charaktery. Trzeba teraz ludzi poświęconych, coby bezinteresownie wysokie posłannictwo naprawy przyjęli, tak jak trzeba czasu, żeby jakiś środek z dobrych żywiołów utworzyć, i skupić w niego wszystkie siły krajowe.

Przewodnik w takiéj wielkiéj robocie powinien odznaczać się zasadami, energią, umiarkowaniem i roztropnością. Postawiony na przejściu epok, przejściu ciężkiém a długiém, ma nic nie poświęcić z rzeczy wiecznietrwałych, wszystko przyjąć z odmian, które niecofniony bieg wprowadził.

U Ludwika Napoleona widzieliśmy dotąd roztropność, widzimy ciągle siłę; nie możemy po za kombinacyami zręczności dojrzeć zasad wyraźnych. Co się tyczy jego umiarkowania, o tém od pewnego czasu powątpiewamy.

Potęga bez granic niebezpieczna dla śmiertelnych. Ludwikowi Napoleonowi powodzenie zawróciło głowę. Otoczony rodziną, która oprócz imienia, żadnego prawa do szacnnku nie posiada, ministrami z podrzędną ambicyą, dworakami o lichéj przeszłości, zaczyna marnować tę niesłychaną potęgę, którą mu okoliczności w ręce dały, a która obrócona ku dobremu, mogła tyle błogosławionych następstw sprowadzić.

Niezmierna liczba ludzi poczciwych we Francyi i Europie była za nim w pierwszych dniach Grudnia. Teraz zrażone współczucie ostygło.

Zemsta wywarta na Jenerale Oudinot w akcie mianującym Jła Levaillant marszałkiem, na przeciwnikach politycznych w ogłoszonéj liście preskrypcyjnéj [1]), i na rodzinie Orléans za pośrednictwem konfiskaty [2]), odstręczyła od prezydenta najlepiéj nawet usposobionych. Każdy czuje że namiętnością nie zbawia się społeczeństw.

Rządy dyktatorskie prezydenta jeszcze z jednéj źle nas uderzają strony. Ciągle on popada w manię, która była opanowała rząd tymczasowy po r. 1848. Zamiast czekać za regularniejszemi stosunkami, obala, naprawia, przekształca i urządza wszystkie instytucye.

Dziwna niewstrzemięźliwość u człowieka który ma za sobą niedawny przykład bezskuteczności podobnego trybu postępowania.

Drobiazgowe naśladownictwo epoki cesarskiéj, przedewszystkiem śmiesznością uderza. Zaledwie z całego szeregu rozporządzeń w tym duchu wydanych, jedno przywrócenie orłów, owych zwycięzkich orłów Napoleona, da się usprawiedliwić.

Co teraz pocznie prezydent, pytają się wszyscy z niespokojnością. Jedni wróżą ogłoszenie cesarstwa, inni zapowiadają wojnę i czasy pretoryańskie, inni jeszcze przewidują próby socyalizmu rządowego.

Nasze widzenie rzeczy jest zupełnie odmienne, ileżeśmy jeszcze zupełnie o nowym porządku rzeczy we Francyi nie zwątpili. My mniemamy że siła zdarzeń, że ogólne zmęczenie i pragnienie bezpieczeństwa dla robót wewnętrznych, czyściejszym natchnieniom, skromnym zamiarom, roztropnym sposobom, przewagę ostateczną zapewnią. Wiele osób przypomina analogią między początkami prezydenta a początkami Oktawiana; analogia jest niezła, myślimy tylko że dzisiejszy Oktawian nie przemieni się w Augusta, boć cesarstwo bez uchwały zwycięztw, byłoby śmiesznością.

Zanadto także szanujemy Francyą, żebyśmy mogli przypuścić, iż podobna tam władzę na poniżeniu charakterów ugruntować.

---

[1]) Łatwo pojąć że rząd chwiejący się usuwa do czasu swoich nieprzyjaciół za granicę; ale kiedy kto ma wyraźnie za sobą dziewięć dziesiątych kraju, wtedy trudno mu konieczność proskrypcyi usprawiedliwić.

[2]) Konfiskata własności rodziny Orléans, gwałci wszelkie pojęcia prawa zwyczajnego, tak jak jest ze wszech miar nieszlachetnym postępkiem. Spodziewać się należy że sądownictwo francuzkie, znane ze swojéj niepodległości, znajdzie sposób obalenia decyzyi otwierającéj drogę komunizmowi rządowemu. Mamy również nadzieję, że duchowieństwo odmówi udziału w niegodziwéj zdobyczy.

Nadzieje zresztą nasze, że się na horyzoncie francuzkim wypogodzi, opieramy w wielkiéj mierze na ważności i zacności tamtejszego żywiołu katolickiego.

Ludwik Napoleon przez zręczność szanuje katolicyzm i katolików. Katolicy zachowując swoją niepodległość, zdołają, jesteśmy o tém przekonani, szlachetnie skorzystać ze swobody, jakiéj im pierwéj odmawiano, a jakiéj dostąpili teraz. Katolicy zajmują we Francyi wysokie stanowisko.

Najznakomitsi z pomiędzy nich pracowali od lat dwudziestu, żeby sprawę religii niezależną od spraw politycznych uczynić, i dziś większość biskupów i księży, większość pisarzy religijnych wyraźnie tę niezależność praktykuje. Zgadzają się w tym punkcie: kardynał arcybiskup z Rheims i biskup z Arras Parisis i ks. Lacordaire i ks. Gerbet i p. de Montalembert i redaktorowie dziennika *Univers*, i nawet do pewnego stopnia, pobożni i legitymiści, jak p. de Falloux i p. Laurentie.

W czasie niedawnych intryg parlamentarnych, jedni katolicy umiarkowanie i bezinteresowność zachowali.

Z prezydentem nie stanęli w przeciwieństwie (robimy tu wyjątek co do legitymistów katolików) ani przed 2. Grudnia ani póżniéj, bo pamiętali że on przywrócił papieża w Rzymie, zapewnił wolność nauczania, pozwolił na odprawienie Soborów, zniósł przepisy utrudniające działalność zakonów, bractw, instytucyi dobroczynnych, słowem, pokazał im zaufanie, jakiego dawno od rządów świeckich nie doświadczali. Z drugiéj strony, ani powrócenie Panteonu, ani nakaz szanowania niedzieli nie skłoniły żadnego z naczelników zastępu religijnego, do przyjęcia politycznéj pozycyi w rządzie gwałcącym najprostsze zasady.

Przystąpienie katolików francuzkich do jakiegobądź faktu politycznego nie było nigdy w ostatnich czasach bezwarunkowe. Pan Montalembert pisał zaraz po 2. Grudnia: »Jak nie sądzę przeszłości, tak wcale nie myślę zaręczać za przy»szłość; zajmuje mnie teraz głównie chwila obecna. Głosując za Ludwikiem Na»poleonem, nie będziemy głosować za wszystkiém cokolwiek zdziałał, zrobimy »tylko wybór między nim a ruiną Francyi... Proszę uważać że wcale nie zale»cam bezwzględnego zaufania, ani nieograniczonego posłuszeństwa; nikomu nie »oddaję się na ślepo. Dalekie odemnie wszelkie bałwochwalstwo, równie bałwo»chwalstwo siły bagnetów jak bałwochwalstwo rozumu w ludzie. Ograniczam się »do szukania jak i gdzie robić co dobrego w szrankach możebności.«

To samo prawie, choć nieco przychylniéj do prezydenta, mówił *Univers*. [1])

---

[1]) Dziennik *Univers* jest teraz bardzo znakomicie pisany. Szczególniéj uderzają w nim artykuły pióra naczelnego redaktora Ludwika Veuillot. Trudno bystrzéj, jędrniéj i śmieléj rzeczy przedstawiać. Żeby nie pewna przesada myśli i sposobu, także nie pewien brak dobrego smaku, małoby tam do życzenia pozostawało.

My Polacy mamy prawo żal do dziennika *Univers* czuć i objawiać. Dobrze zainformowane co do spraw francuzkich, pismo to grzeszy wielką w rzeczach obcych niewiadomością, a że ma wyłączne pociągi, jak np. pociąg do Austryi, wszystko na wschodzie Europy z austryackiego stanowiska sądzi. Ztąd pochodzi pewna nieprzychylność dla wszystkiego co polskie, nieprzychylność grzeszna u ludzi, którzy jako obrońcy powszechnego, nie francuzkiego lub austryackiego kościoła, występują.

Z jednego z artykułów Francyi tyczących się przytaczamy długi wyjątek. Rady jakie Ludwik Veuillot daje legitymistom, są mądre i szlachetne, co więcéj w pewnéj części (położenie jest tak odmienne, że zastosowania wprost zrobić nie możemy) i dla nas się przydadzą.

»Pozostańcie w dobrach waszych. Tam wydawajcie wasz przychód; w miastach pie»niądz wasz zbogaca tylko waszych nieprzyjaciół. Pozostańcie na wsi. Weźcie się do »wychowania dzieci, wprawiając je do pługa i do szabli, wśród tych, którymi się im kie»dyś opiekować, których im kiedyś bronić przyjdzie. Wyprzedajcie brylanty, złoto i sre»bro, by pozakładać szkółki i klasztory, by popodnosić kościoły, by pozaprowadzać po »wsiach bractwa pobożne i miłosierne. Zostawcie adwokatom, kupcom i literatom trud »rozprawiania, tworzenia ustaw i budowania rządów. Co macie być ostatnimi z mieszczan, »bądźcie pierwszymi z wieśniaków. Przyjdzie czas, może już przyszedł, kiedy panowanie »wielomówstwa i bezgralstwa, kiedy przemoc sofizmatu, upadną w obec zdrowego rozsądku »ludu..... Ah! natchnienie co was popchnęło do wdania się w szermierkę słowa i pióra, »było złém i fałszywém. Nie wyszedł z tych szranków ani jeden niezłomny wyobraziciel

Jedną rzecz musimy przyznać z żalem. Kilku biskupów za daleko w sposobie objawienia swoich dobrych dla prezydenta chęci poszło. Dziś pewnie żałują oni zbyt gorącego uniesienia, niemniéj złego wrażenia jakie spowodowali zetrzeć trudno.

Legitymiści katolicy, poważnie i zacnie obowiązki swoje w obec katastrofy grudniowéj zrozumieli.

»Wypadek głosowania z 20. Grudnia, pisze p. de Falloux, uważany z naj-»ogólniejszego stanowiska, pokazuje że w kraju panują dwa uczucia głęboko pra-»wdziwe. Oto jak je formułujemy: — Dla wielkiego narodu niema pomyślności »bez silnéj władzy. Władza nie istnieje bez jedności.

»Nie chciałbym odnawiać sporów, wielu dziś nadużywa téj broni, muszę jednak »przyznać, że sprzeczności i rozterki wiele złego w sferach urzędowych narobi-»ły... Jeżeli zresztą przypominam przeszłość, czynię to jedynie aby mieć prawo »powiedzieć moim przyjaciołom: Zanoście wszędzie słowa bezinteresowne zgody »i miłości ojczyzny; pozostawajcie w szlachetnéj prawdzie równie względem wy-»gnanych książąt, jak i względem rządu! Więcéj jak kiedykolwiek zalecajcie po-

---

»zasad waszych. Ci co się odznaczyli w końcu, już prawie nie należeli do was. Lepszy »był jeden Lescure jak dziesięciu Chateaubriandów.

»Macie trzy powołania; przedewszystkiém pług, daléj szabla, w końcu sądownictwo. »Wyżéj tego, jedno kapłaństwo wam pozostało, niżéj, nic. Niżéj przestajecie być sobą sa-»mymi. Tam przyjmują was jako odstępców, którym się z łaski wrota odmyka, posą-»dzają, zazdroszczą; tam nawet przymioty wasze na niższość was wskazują.....

»Gdybyście zamiast pójść na deputowanych, dziennikarzy, fabrykantów, albo zamiast »próżnować, byli pozostawali księżmi, rolnikami, sędziami, gdybyście byli tak użyli ośm-»nastu lat panowania Ludwika Filipa, straconych wśród intryg stronniczych i uciech po-»dwójnie niszczących, gdybyście byli co roku poświęcili na święte i korzystne dla ludu »zakłady to co was kosztowały karnawały paryzkie, bylibyście zostali samo z siebie pa-»nami Francyi po Ludwiku Filipie.

»Wieluż jest takich pomiędzy wami, którzy przez te lat ośmnaście oddali spółeczno-»ści prawdziwą i wyraźną przysługę?

»Chciałbym żebyście mnie wszyscy mogli usłyszeć, i powtarzam: Weźcie nowy hart »w ożywczéj krynicy waszych chrześciańskich i wiejskich początków. Opuśćcie miasta, »gdzie nigdy nie będziecie niczém inném, jeno spożywającymi; powróćcie na wieś, gdzie »możecie zostać wszystkiém. Przestańcie zbogacać kupców, a dajcie pomoc włościanom. »Zajmijcie znowu położenie panów (seigneurs), to jest starszych (seniores) w okolicy, stró-»żów wiary i podań, roztropnych przewodników w naśladowaniu nowości, przodkujących »w czystości obyczajów, przyjaciół władzy. Nie bójcie się współzawodnictwa dorobkowi-»czów, którzy was nienawidzą i osławiają, którzy wam dokuczają ile mogą. Współubie-»gajcie się z nimi tylko o szarfę mera, zostawcie im resztę. Przy władzy będą oni mieli »przywary. Pokażą się jakimi są, drwiącymi, także rozrzutnymi a sknerami; potracą ma-»jątki na zbytki, spekulacye i roskosze. Kiedy wy będziecie roznosić jałmużnę, oni się »lichwą trudnić nie powstydzą, kiedy wy podacie rękę chłopu, oni go obryzgają swoją »głupią pogardą. Lud pozna swoich przyjaciół. Niechaj wtedy męty miast burzą się, ro-»bią rewolucye i ciskają na was nieczyste wyroki, bezczelność zatrzyma się u granicy roli »wiejskiéj. Błotnista fala nie dosięgnie progów waszych zamków, bo się rozbije o wał »chałup.

»Nie mówcie że to co wam zalecam jest niepodobne. Udało się wszystkim z pomię-»dzy was, którzy spróbowali. Nie mówcie że się bez wszystkiego tego obejdzie. Ja wam »obowiązek tylko wskazuję.

»Jeżeli jest za późno, jeżeli w duszach waszych nie brzmi zachęcenie do wielkich »ofiar, jeżeli mniemacie jak tylu innych że spółeczeństwo może się uratować bez trudu »i bez cnoty, jeżliście niezdolni obyć się bez miasta i jego roskoszy, bez upojeń, hałasu, »bez zaspokojeń jakie dają próżniacze bogactwa, jeżli chcecie pozostać dworakami popular-»ności, wiecie co to znaczy? Oto że przyszła godzina waszego upadku, żeście stracili »ducha waszego stanu, i że oprócz iskierki dumy rycerskiéj, nic was nie odróżnia od rewo-»lucyi, która was zwyciężyła. Ta iskierka może z was zrobić najodważniejszych obroń-»ców własności, pierwszych męczenników umierającego towarzystwa; życzę tego zaszczytu »i téj pociechy starym waszym nazwiskom, mniej jeszcze zaćmionym jak wasze stare cnoty. »Zaszczyt to przecież jałowy. Zginiecie szlachetnie, ale nic nie uratujecie, ani spółeczeń-»stwa, ani samych siebie. Peryod wiekowy barbarzyństwa rozpocznie się, i pod stęporem »rewolucyi, w ciemnościach, odtworzy się z żywiołów, które zna jeden Bóg, siła towa-»rzyska, któréj pozwoliliście upaść.«

»jednanie stronnictwom, umiarkowanie i sprawiedliwość władzy, moralność i po»rządek ludnościom. Wolności nie wspominam; dziśby ten wyraz był źle zro»zumiany; przyjdzie przecież czas na nią, skoro jéj konieczne warunki szczerze »w życie wprowadzimy.

»Radźcież téż gwałtowniejszym, żeby byli cierpliwymi. Ludy skołatane dłu»giemi i rozmaitemi rewolucyami, nie wracają do prawdy prostém uniesieniem »wiary; ich powrotu wtedy dopiero można się spodziewać, kiedy się błąd wy»czerpnie i osłabi. Ktokolwiek usuwa jedną przeszkodę, maże jedną gorycz, roz»prasza jeden przesąd, ten powrót o którym mowa przyspiesza. Najlepszy bodaj »sposób służenia jakiéj sprawie, jest jednać dla niéj miłość powszechną. Zresztą »broniąc społeczeństwa w najistotniejszych jego zasadach, służymy dobréj spra»wie: wszystko co dla niéj zrobimy Pan Bóg przyjmie. Niechaj to naszéj odwadze »i naszéj ambicyi wystarczy.

»Polemika dawnych stronnictw została na długo zamknięta, bodaj już więcéj »nie odżyła! Wszelako kraj nasz odznaczający się bystrością, prędko się w no»wém położeniu rozpozna. Miarą ludzi nie będą uniesienia i namiętności, ale czy»ny dojrzałe, zasługa poważna, istotna, bezpośrednia. Wejdźmy w tę koléj. »Gdziekolwiek chodzi o los Francyi, ani się usuwać nie powinniśmy, ani się dać »wyprzedzać.«

W ogóle tryb postępowania ludzi regligijnych, w których ręku przyszłe odrodzenie Francyi spoczywa, wszystkie ich rady, wszystkie słowa, utwierdzają nas w zaufaniu, z jakiém się na przyszłość Francyi zapatrujemy.

Naród w którego wnętrzu tyle się dzieł wiary i miłości codzień poczyna, który nieprzestaje męczeństwami zdobywać dla Chrystusa nowych krajów i ludów, który najlepiéj umie natchnienia miłości bliźniego w czyn zamieniać, i dotąd początkuje słowem i przykładem na drodze praktyki chrześciańskiéj, który jeszcze oprócz tego ma ludzi, co z prostotą a bezinteresownie, z gorliwością a w sposób pełen umiarkowania, obowiązków publicznych dopełniają, jest zaiste wielkim narodem. Francya wcale się nie nachyla do upadku. Ta matka wzniosłych myśli i pięknych czynów, nie tak łatwo wydziedziczona z opieki bożéj zostanie. Przyszłość Francyi dziś jeszcze ciemna. Nie wiemy czy jéj Pan Bóg przeznaczył znaleść wielkiego człowieka, coby rzeczpospolitę ugruntował, czy powrócić do monarchii prawowitéj, która religijnie nie może być koniecznością (zawsze przypominamy, że papieże dali namaszczenie Karlowingom i Napoleonowi) ale która jako zasada wielką siłę wyobraża; w każdym razie mamy przekonanie, że skoro miną chwile przejść, oddziałań, prób, przypadkowości i znurzenia, znowu się przed nią droga wielkich przeznaczeń i zasług dla świata otworzy.

Dla nas widok wszystkiego co się za Renem dzieje nie powinien bez korzyści przeminąć.

Wiele umysłów polskich unosiło się ślepo dla pewnych kształtów politycznych, wierzyło w zbawienność pewnych instytucyi, teraz dla nich pora przekonać się, że kształty polityczne i instytucye same jedne nie zapewniają szczęścia ani potęgi.

Są znowu pomiędzy nami ludzie w mniejszéj daleko liczbie, którzy przypisując sobie jakoby wyłączną praktyczność, dogmatyzują po każdéj przemianie europejskiéj, i dziś lekceważą wolność, a wiele o władzy i o prawach władzy rozprawiają.

Tym ostatnim przedstawiamy parę krótkich uwag:

Rozumiemy doskonale, że po nadużyciach jakie dokuczyły Francyi, kraj ten chwilowo dla wolności zobojętniał; mówimy chwilowo, boć Francya rychło czy na drodze instytucyi, czy na drodze obyczajów, do czci i praktyki poważnéj wolności powróci; ale czego nie umiemy sobie wytłómaczyć inaczéj jak naśladownictwem, to tych wstrętów lekkomyślnych w naszém krajowém położeniu. Oddani na łup nienawiściom, zależni od samowoli najpodrzędniejszych indywidualności, ograniczeni w każdéj najprostszéj robocie, pozbawieni bezpieczeństwa osób, a jak

pod rządem rossyjskim i bezpieczeństwa majątków, powinniśmy się przecież byli nauczyć uszanowania dla rękojmi wolności. Kiedy inaczéj czynimy, schlebiamy tylko obcéj przemocy, schlebiamy grubo i bezużytecznie.

Co się tyczy czci dla władzy, pomijając wszystkie pogańskie przesady i wszystkie bałwochwalstwa świeckie, zwracamy baczność ludzi religijnych mianowicie, na dwa sposoby uważania rzeczy u samychże katolików. W obecnéj chwili różnica uwydatniła się z jednéj strony, w liście pasterskim księcia kardynała Wrocławskiego z dnia 6. Listopada (zobacz Kirchlicher Anzeiger Ner 49. z r. z.) z drugiéj w liście p. de Montalembert do professora Hermana Müller[1]) (list napisany 14. Grudnia, ogłoszony został w nadreńskich dziennikach). My jakkolwiek przejęci czcią głęboką dla cnót i pobożności księcia kardynała, w sumieniu naszém skłaniamy się za zdaniem p. de Montalembert i to zdanie radzibyśmy widzieć przyjęte przez ludzi poważnych w Polsce.

Kombinacyi politycznych w skutek wstrząśnień francuzkich, my Polacy nie powinniśmy tworzyć. Kombinacye zwykle nas zawodzą. Nieraz powtarzaliśmy, że jeśli mamy czego od wypadków zewnętrznych oczekiwać, te wypadki raczéj nas zaskoczą ze Wschodu jak z Zachodu.[2]) Pozostajemy przy tem zdaniu. Wszelako radzibyśmy żeby przestano u nas oglądać się za zwodnemi podobieństwami, i żeby raz doświadczenie tylu strzaskanych nadziei, i tylu gorzkich zniechęceń, myśli i czynności krajowe na prawdziwsze szlaki zwróciło.

Zdarzenia rozmaicie układają się i obracają; te które nam się wydają przeciwne, mogą pomyślność, mogą dobro sprowadzić. Wszystko w téj kolei niepewne i omylne. Jest przecie droga, na któréj ani się omylić, ani zrazić, ani odstręczyć niepodobna. O téj drodze dawno i niezmordowanie powtarzamy.

Wewnętrzną siłą żyją narody, wewnętrzna siła najniefortunniejsze okoliczności przemaga, a jeśli uświęcona tchnieniem religii, sprowadza błogosławieństwo boże. Wszelki gwałt wywołuje odwet. Siła moralna nawet najpotężniejszą nienawiść do ustąpień zmusza.

Pisaliśmy w Styczniu r. 1850 (*Przegląd* tom X. str. 106): »Jedyna robota »prawdziwa, jedyna robota bezpieczna w kraju się dla nas, na gruncie naszym »znajduje.« To samo teraz utrzymujemy.

Mówiliśmy wówczas o powinnościach narodowych i dziś chcemy o nich napomknąć.

Zaczynamy od obowiązków względem kościoła.

»Kościół katolicki, były nasze słowa przed dwoma laty, daje duchowną i hi»storyczną podstawę naszemu moralnemu istnieniu. Powinniśmy mu ufać, po»winniśmy go bronić i o jego siłę się starać. Ludzie świeccy nie mogą chcieć »wpływać na kierownictwo rzeczy kościelnych; ale godzi im się pomagać władzy »duchownéj, godzi im się przekładać téj władzy z całém uszanowaniem, gorliwe »o dobro religii życzenia. Bardzobyśmy byli radzi żeby się u nas żywsze zajęcie »do rzeczy kościelnych obudziło, żeby się objawił silny udział w kwestyach ta-

---

[1]) P. de Montalembert w piśmie swojém odpowiada na doniesienie że się utworzyło w Niemczech stowarzyszenie prasy katolickiéj i zachowawczéj. Oto krótki wyjątek z listu.

»Spodziewam się że jest między nami zgoda na jednę rzecz. Myślę że u panów »tak jak u mnie duch zachowawczy zależy na obronie wiekuistych zasad społeczeńskich, »a nie na obronie błędów czy słabości tego lub owego rządu.

»Historya Niemiec, téj ojczyzny Józefa II., dowodnie pokazuje że rewolucye czę»ściéj jeszcze nastają z góry jak z dołu. Owóż kto się w granicach prawa opiera świec»kiéj władzy, ile razy ta władza w obręb duchowny wkracza, ten jéj saméj oddaje naj»większą usługę, wskazując gdzie tajemnica jedynéj siły, któréj rewolucye nie mogą po»dołać.«

[2]) Wielu u nas mniema że Rossya cieszy się z grudniowego coup-d'État, i tém bardziéj na Ludwika Napoleona powstaje. Rossya nie może być zadowolniona z wydarzenia, które ubezpieczając rządy niemieckie, jéj wpływ osłabia, a rozwiązanie kwestyi francuzkiéj odsuwa na długi czas. Im niespokojniéj w Paryżu, tém Rossya więcéj znaczy w Europie.

»kiéj niezmiernéj wagi, jak zwołanie soboru prowincyalnego, jak urządzenie aka-»demii duchownéj, prowadzenie istniejących seminaryów, założenie seminaryów »początkowych, wydawnictwo dzieł i pism religijnych, wzmocnienie dawnych, »powołanie do życia nowych bractw religijno-dobroczynnych i t. d. Pragnęli-»byśmy także żeby ogólnie lepiéj zrozumiano jaka jest ważność powołania du-»chownego, także iż brak księży może się stać jedném z największych nieszczęść »krajowych.«

Do tego co poprzedza niewiele mamy dodać, zwracamy tylko uwagę na sposób, w jaki odznaczyliśmy posłannictwo ludzi świeckich co do spraw kościelnych. Powiedzieliśmy że mają obowiązek pomagania, prawo poważnych przełożeń. Taka była ciągle praktyka katolicka. Nigdy kościół, owa matka wspólna, nie odsuwał świeckich od udziału w swoich sprawach; żądał tylko od nich roztropności i posłuszeństwa dla swoich wyroków a urzędu biskupiego. Pobudzać się ciągle do lepszego, ciągle sobie obowiązki przypominać, to najpewniejsza rękojmia owéj miłości, która powinna wszystkich katolików zagrzewać.

Co do nas, w ciągu roku ubiegłego daliśmy w piśmie naszém miejsce pracy o soborach, pracy, do któréj sami pobudziliśmy zacnego kapłana, pełnego żywéj o dobro kościoła polskiego troskliwości. Nie przeto było naszą myślą przepisywać biskupom co czynić powinni. Rozprawa o soborach miała na celu zwrócenie uwagi na zbawienne środki naprawy i ożywienia, których się jęły wszystkie kraje katolickie; a nie przymus lub krytykę. Spodziewamy się że zostanie należycie zrozumiana i że większość naszego duchowieństwa, przyjmując ją ochotnie, da dowód jako rozumie że nie ci co chwalą i pochlebiają, ale ci co się starają prawdę głosić, największą o dobro kościoła czują gorliwość.

Mówiliśmy o prawie przełożeń; korzystając z tego prawa, pozwalamy sobie przy dzisiejszéj sposobności z całém uszanowaniem władzy duchownéj oświadczyć, że gorliwych katolików dotknęło niedawno wyniesienie na syndyka w dyecezyi poznańskiéj osoby mogącéj posiadać naukę i przymioty osobiste, ale ze zdań ogłoszonych nieodpowiadającéj urzędowi, który wymaga wyraźnéj dla rzeczy katolickich przychylności.

Kiedyśmy życzenia nasze w r. 1850. wyliczali, nie wspomnieliśmy o dwóch ważnych bardzo przedmiotach, o ćwiczeniach duchownych dla księży i o missyach. Kwestye te pozostawiliśmy inicyatywie duchownéj.

Dziś o jedném i o drugiém wiele słychać, a missye nawet wkrótce się rozpoczną.

Missye odprawiać mają Ojcowie Jezuici. Z tego powodu widzimy się znagleni do oświadczeń, których szczerość położenia od nas wymaga.

W r. 1847. pisząc o sprawach włoskich, wypowiedzieliśmy o zakonie Jezuitów zdanie, które może być mylne, ale które w każdym razie na sumiennem opiera się przekonaniu. Nikt wyżéj od nas posłannictwa i wielkich zasług Jezuitów w zapasach z reformacyą nie wynosi; wszelako w czasach późniejszych niejeden zarzut zrobić im musimy. W Polsce obawialiśmy stę, obawiamy się dotąd ich dążności kosmopolitycznéj, która się częściéj jeszcze na korzyść władzy jak na korzyść religii obraca. Cóżkolwiek bądź, ciężkie prześladowania jakich doznali w ostatnich latach, zawziętość nieprzyjaciół religii, która się przeciw nim zwracać nie przestaje, oto powody do zastanowienia się i rozwagi. Nie możemy wszystkiego odwołać, ale przyznajemy, że w obec chwalebnych znojów missyonarskich zakonu w ostatnich dwóch latach, wyobrażenia nasze o przyszłości Jezuitów zmieniły się. Dziś kiedy mają rozpocząć u nas dzieło święte, kiedy ludowi naszemu przynoszą mannę pożywną słowa bożego, żadnego wstrętu na drodze ich nie stawiamy. Błogosławieni zawsze przychodzcy w Imie Pańskie, błogosławieni podwójnie pracownicy, którzy się do dzieła zbawienia w kraju pozbawionym wielu pociech religijnych biorą. Miło nam szczególniéj będzie powitać między nami O. Antoniewicza, tego wielkiego serdecznego kaznodzieję, którego słowa i pisma uleczyły z tylu oschłości, tyle nędz moralnych opatrzyły.

Rozszerzyliśmy się nieco o obowiązkach naszych katolickich, o innych szczegółowo dziś nie wspominamy.

Jeden przecież ustęp z artykułu napisanego w roku 1850. pozwolim sobie jeszcze przytoczyć.

»Ziemia żywicielka, mówiliśmy, daje nam silny punkt oparcia. Kto posiadania »téj ziemi nie szanuje, kto ją łatwo z rąk wypuszcza albo o nią nie dba, ten toruje »drogę obczyźnie, ten o ile jest z niego, ojczyznę zaprzedaje. Największe nasze »skarby w roli się ukrywają; dobrą uprawą, wytrwałą pracą wydobyć je można »na wierzch. Skoro większość posiadaczy ziemskich będzie miała tę uczciwą mi»łość własną, by nietkniętą spuściznę przodków dzieciom zachować i jeszcze »choć mały kawałek dziedzictwa przysporzyć, łatwiéj przyjdzie kraj od zalewu »obcego ratować.«

Czcić Boga, wierzyć w przyszłość ojczyzny, żyć przykładnie, dzieci starannie wychowywać, i pilnować roli, oto najgłówniejsze polskie powinności. Byleśmy je wypełnili, możemy być o los kraju spokojni. Kiedy Pan Bóg chwilę zbawienia naznaczy, wszyscy wtedy gotowi się pokażą.

Na dziś trzeba roztropności, zaufania w sprawę, wyrzeczenia się siebie i tego umiarkowania, które pozwala rozpoznać się i uspokoić wśród rozlicznych przemian świata.

Pamiętajmy że namiętności i uniesienia przemijają, ale co nie przemija, to prawda wiekuista i obowiązek.

GŁÓWNIEJSZE POMYŁKI DRUKU

W POSZYCIE VIII. R. Z.

Str.	Wiersz
348	19 od góry, zamiast: III., połóż: IV.
„	7 od dołu, przywróćić: sua potestate.
349	7 od d., zamiast: sen, czytaj: seu.
„	3 od d., zam.: coecequales, czyt.: coequales.
„	2 od d., czytaj: coomnipotentes.
352	19 od góry, zamiast: aby, czytaj: oby.
353	13 od d., zam.: immemorum, czyt.: immemorem.
354	25 od g., zam.: podrzudków, czyt.: podrzutków.
355	9 od d., zam.: Sategunt, czyt.: Satagant.
356	5 od d., zam: przyjmowani, czyt: przyjmowania.
„	„ od d., zamiast: tegoż, czyt.: tychże.
358	12 od d., zam.: audient, czyt.: audiunt.
„	11 od d, zam.: pronuntiant, czyt.: pronuntiunt.
360	4 od d., w texcie, zamiast: exekucye, czytaj: exekwije.
361	17 od d. w t., zam.: wiary, czyt.: umowy.
„	2 od d. w t., zam.: lecz reszta sądu, czyt.: bo zresztą sądy.
„	„ od d. w t., zam.: zważali, czyt.: zważały.
362	3 od góry, zamiast: iżby, czytaj: izby.
„	20 od g., zam.: wieloliczne, czyt.: nielogiczne.
„	16 od d., zam.: często, czyt.: czysto.
365	23 od g., zam.: żeństwo, czyt.: małżeństwo.
„	31 od g., po: aż, dodać: skoroby.
„	39 od g., zam.: Concili si, czyt.: Conciliis.
„	40 od g., przywróćić: honestate.
„	48 od g., po: quatenus, dodaj: per.
„	49 od g., zam.: males, czyt: malas.
„	„ od g., zam.: orubescere, czyt:: erubescere.
„	51 od g., przywróćić: devotam.
366	2 od g., zam.: desolatione destata, czyt: desolatione desolata.
366	11 od g., zam.: praesipimus, czyt.: praecipimus.
„	16 od g., zam.: vestam, czyt.: vestem.
„	17 od g., przywróćić: modestia.
„	19 od g., przywróćić: injuria.
„	20 od g., przywróćić: ab ignaris.
„	22 od g., przywróćić: quoscunque.
„	23 od g., zam.: vetinere, czyt.: retinere.
„	26 od g., przywróćić: opportune.
367	17 od g., zam.: afferent, czyt.: afferant.
„	32 od g., zam.: zdziwieni, czyt.: dziwnemi.
„	15 od d., zam.: kommunii, połóż: „communi."
370	8 od g., zam.: biskupów, czyt.: biskupa.
„	35 od g., zamiast: opatrzyłaby, czyt.: opatrzyła była.
371	3 od g., zam.: chłopom, czyt.: chłopców.
„	5 od g., zam.: będą, czyt.: będzie.
373	6 od g., zam.: passunt, czyt.: possunt.
„	9 od d., zam.: studenta, czyt.: studenda.
„	ostatni, zam.: enopobunt, czyt.: enodabunt.
374	14 od g., przywróćić: credenda defensantes.
„	20 od g., zamiast: hebdomadans, czytaj: hebdomadam.
382	19 od d., przywróćić: irascimini et nolite peccare.
384	18 od g., zam.: Barmijusza, czyt.: Raroniusza,
386	22 od g., zam.: stanie, czyt.: sławie.
393	9 od d., zam.: nostra, czyt.: nostrae.
394	11 od d., zam: westfalką, czyt.: westalką.
400	33 od g., zamiast: IV., czytaj: VI.
419	23 od g., zamiast: szkół, czytaj: dzieł.
420	18 od d., zam.: dama znana, czyt.: damę znaną.
423	10 od g., zam.: dawnych, czyt.: dawnym.
425	8 od g., po: po: zamknął, dodaj: się.

NIEKTÓRE POMYŁKI DRUKU

W POSZYCIE BIEŻĄCYM.

Str.	Wiersz.
33	30, zamiast: ku sumiennemu atoli, czytaj: ku sumiennemu bowiem.
45	45, zam.: lisy, czyt.: listy.
46	39, zam.: nawet, czyt.: a wnet.
49	31, zam.: sola, czyt.: solo.
57	10, zam.: uderza go, czyt.: uderza.
61	1, zam.: pokut, czyt.: pokus.
65	18, zam.: słonne, czyt.: skłonne.
74	5, zam.: Krzycząc, połóż: krzycząc.
77	18, opuść: owo przed pauzą.
83	37, po: ale, dodaj: je.
83	wiersz przedostatni. zam.: należą do kierunku, połóż: nie należy do kierunku.

Poznań, czcionkami W. Deckera i Spółki.